

Odkrywca Knausgård po raz pierwszy po polsku



Geir
Zulliksen

HISTORIA PEWNEGO MAŁŻEŃSTWA

*Muszę sobie wyobrazić,
jak się czuła tamtej wiosny,
któregoś z tych dni,
zanim to wszystko się wydarzyło.*



*geir
gulliksen*

**HISTORIA
PEWNEGO MAŁŻEŃSTWA**

Przełożyła Iwona Zimnicka

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2017

Spis treści

[Okładka](#)

Strona tytułowa

[Strona redakcyjna](#)

[przypisy końcowe](#)

Tytuł oryginału
HISTORIE OM ET EKTESKAP

Redakcja
Ewa Jastrun

Projekt okładki
Katarzyna Bućko

Zdjęcia na okładce
© Kees Smans/Moment/Getty Images
© Frederic Cirou/PhotoAlto Agency RF Collections/Getty Images

Korekta
Maciej Korbański

Redaktor prowadzący
Anna Brzezińska

Copyright © Geir Gulliksen og H. Aschehoug & Co. (W. Nygaard), Oslo 2015
Published by agreement with Copenhagen Literary Agency ApS, Copenhagen
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017
Copyright © for the Polish translation by Iwona Zimnicka, 2017

This translation has been published with the financial support of NORLA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-659-3

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Ta opowieść jest fikcją literacką, wszelkie nawiązania do wydarzeń historycznych, rzeczywistych instytucji, miejsc lub osób wykorzystano, aby stworzyć fikcyjny wszechświat.

*sometimes I think this whole world
is one big prison yard
some of us are prisoners
the rest of us are guards ¹*

1

- Możesz opowiedzieć o nas?
- O nas?
- Opowiedz mi, jakbym nic nie wiedział.
- Byliśmy parą.
- Tak. Coś więcej?
- Byliśmy mężem i żoną. Pobraliśmy się.
- I jeszcze?
- Byliśmy rodzicami. Mieliśmy razem dzieci.
- Nie o to mi chodzi. Opowiedz o nas dwojgu. Co się z nami stało?
- Żyliśmy razem.
- Dbaliśmy o siebie nawzajem?
- O co ci chodzi? Owszem, dbaliśmy.
- No a potem, pewnego dnia?
- Potem, pewnego dnia? Chcesz, żebym o tym opowiedziała?
- Muszę usłyszeć, co się z nami stało. Nie rozumiem tego.
- Dla mnie to też nie jest całkiem jasne.
- A nie mogłabyś mimo wszystko opowiedzieć?
- Chyba nie potrafię. Nie, nie chcę, nie mogę.
- Chcesz, żebym ja opowiedział? No dobrze.

2

Muszę sobie wyobrazić, jak się czuła tamtej wiosny, któregoś z tych dni, zanim to wszystko się wydarzyło. Była w połowie życia, wchodziła przez otwarte drzwi do wszystkich pokoi i we wszystkie sytuacje. Otaczające ją ciała przypominały życzliwy las, lekko poruszała się między nimi, potrafiła rozmawiać z każdym. Dawniej zawsze nosiła długie włosy, ale odkąd związała się ze mną, strzygła je na krótko i farbowała na ciemniejszy kolor. Każdej nocy spała na boku, z dłonią pod własnym policzkiem. Leżałem za nią, sypialiśmy nago, obejmowałem ją, a ona czuła na plecach ciepły przód mojego ciała. Nocą byliśmy tylko we dwoje, rano budziliśmy się po różnych stronach łóżka. Budziłem ją ja albo dzieci. Pokoje były jasne, głosy łagodne. Długo nie da się tego pamiętać inaczej niż jako nieoczekiwane i niezasłużone szczęście. Siadywaliśmy razem przy owalnym stole, duński design ze stali i białego tworzywa. W tamtą sobotę, kiedy go kupowaliśmy, był dla nas zdecydowanie za drogi, ale przywykliśmy już do takiej sytuacji, dług rósł, a my o nim nie myśleliśmy. Siadywaliśmy przy tym stole rano i wieczorem, dzieci odrabiały przy nim lekcje. Później zrobił się za duży, to ona go dostała, a nowa kuchnia, w której go ustawiła, była mniejsza. W końcu go sprzedała, teraz stoi u innych ludzi: stół dostał nowe życie, jak wszystko, co należało do nas obojga.

Jeździła na rowerze pod jasnymi koronami drzew. Oddychała przez otwarte usta. Wbiegała po schodach za każdym razem, kiedy musiała się dostać na wyższe piętro, czyli często. Nigdy nie jeździła windą, nie lubiła stać

w miejscu. Tego dnia rano miała wykład dla pracowników któregoś z ministerstw. Poszło jej dobrze, czuła, że jej słuchają (ich twarze obracały się ku niej jak rośliny, które się budzą i wyciągają do światła). Później dyrektor do spraw komunikacji chciał zawrzeć z nią nową umowę, ustalili, że porozumieją się mailowo; podchodziły kolejne osoby, żeby podziękować za wykład. I nagle, już przy wyjściu, zatrzymał ją jakiś mężczyzna, nie mogła zrozumieć, w jaki sposób to zrobił. Stała, czekając na niego, a on przedzierał się przez tłum; patrząc na nią, przytrzymywał ją wzrokiem. Coś było w jego oczach, coś łagodnego i natarczywego, pewnego siebie i poszukującego, nie potrafiła tego określić. Nawet już po wszystkim nie wiedziała, co to mogło być, nie umiała tego wytłumaczyć sobie, a z całą pewnością mnie.

Był wysoki i rzucał się w oczy, ale nie tylko z powodu wzrostu. Miał pociągłą twarz, oczy odrobinę skośne, a na skórze drobne blizny, może jako następstwo zmagania się z pryszczami. Nie był zbyt przystojny, nawet ja, niebędąca zbyt obiektywnym obserwatorem, powinienem mieć prawo tak powiedzieć. Ale miał coś kuszącego i niewyjaśnionego w oczach, a może w uśmiechu lub w sposobie, w jaki przechylał głowę na bok. Czekala, aż do niej podejdzie, a on zbliżał się uśmiechnięty, z determinacją przepychał się między ludźmi wychodzącymi z sali. Poczula uderzenie gorąca, nie wiedziała dlaczego. Chwilę później już stali i patrzyli na siebie, ona z nadzieją, że jej twarz wyraża coś w rodzaju rozbawionego wyczekiwania: co on tak bardzo chce jej powiedzieć? Jej twarz miała mu przekazać, że on ją zatrzymuje i chociaż nie jest pewna, czego od niej chce, to jest skłonna z umiarkowaną życzliwością przyjąć wszystko. Zaczął mówić. Coś o perspektywie zdrowia publicznego, czyli właśnie o tym, co interesowało ją najbardziej. Powiedział coś, co mogłoby paść z jej ust, ale uważała, że sformułował to lepiej. A może było inaczej? Może to, co mówił, wydawało się lekko zniekształcone, jakby

się wysiłał, żeby dostosować się do jej perspektywy, ale nie bardzo to potrafił, ponieważ nie był w stanie zrezygnować z własnej. To ostatnie jest raczej nadinterpretacją z mojej strony, nikt nie musi mi tego tłumaczyć, sam dobrze wiem. Albo było przeciwnie: uznała, że jego opinie wnoszą coś nowego, pokazują pewną swobodę. Wszedł razem z nią z sali, towarzyszył jej w drodze na dół po wszystkich schodach. Doszli do jej roweru i dalej rozmawiali, gdy go odpinała i szykowała się do jazdy.

Później jechała wolno ulicami, zmierzała do biura, ale się nie spieszyła. W to przedpołudnie wszystko chciało się jej pokazać: drzewa, lipy czy klony, nie interesował jej ich gatunek, lśniąca sroka ładnie kręcąca ogonem, młode listki, które ledwie się poruszały na niedostrzegalnym wietrze. Dobrze się czuła. Czuła, że lubi siebie i swoje życie. Wszystko, co żyło, otwierało się przed nią, wszędzie, gdzie tylko się znalazła.

Niczego się nie bała.

Kiedyś była młodą dziewczyną, teraz stała się dorosłą kobietą. Miała dwadzieścia pięć lat, kiedy ją poznałem, to już dawno temu, a ja byłem od niej o kilka lat starszy.

Nazywałem ją Timmy. Nosiła zupełnie inne imię, zwykłe dziewczęce imię, ale sama nie za bardzo je lubiła. Pewnego wieczoru, kilka tygodni po tym, jak zostaliśmy parą, leżeliśmy w łóżku w jej starym mieszkaniu i oglądaliśmy w telewizji Timmy'ego Świerszcza². Właściwie niczego nie oglądaliśmy, spędziliśmy w łóżku kilka godzin, wstaliśmy coś zjeść, znów się położyliśmy i tak długo byliśmy zajęci sobą, tym, co nasze ciała mogą razem osiągnąć, że w końcu potrzebowaliśmy przerwy. Popijaliśmy wodę, przerzucąłem kanały telewizyjne, przeskoczyłem jakiś stary film Disneya, a ona poprosiła, żebym do niego wrócił. Pooglądaliśmy go i oboje się wzruszyliśmy, ale tylko ja płakałem. Miałem wtedy małe dziecko, z którym nie spędziłem tego dnia, podobnie jak całego tygodnia, bo wolałem być tutaj, w łóżku z nią.

Zrozumiała, że to jest powodem moich łez. Udawała jednak, że sądzi, iż wzruszył mnie film, a później powiedziała, że zawsze wołała Timmy'ego od Pinokia, od Chipa i Dale'a, a nawet od Dumbo. Identyfikowała się z Timmym Świerszczem, ponieważ on zawsze starał się obrócić każdą sytuację na dobre, brał parasol i wychodził, śpiewał szczerze, z nadzieją, nawet kiedy wokół niego się ściemniało i nie miał pojęcia, gdzie jest.

– To przecież ty – powiedziałem. – To ty jesteś Timmy. Przecież zawsze chcesz wszystko naprawiać i nigdy się nie poddajesz, dopóki nie osiągniesz tego, czego pragniesz.

Podziwiałem ją już wtedy, taki był mój sposób na kochanie jej. Zrozumiała to dopiero później i długo przytłaczała ją myśl, że w moich oczach wydaje się taka fantastyczna. Odpowiedziała, że nigdy nie myślała o sobie jako o świerszczu, a ja – w ramach flirtu – zażartowałem, że podoba mi się sposób, w jaki ociera swoje tylne nogi o moje. Samo w sobie nic to nie znaczyło, nie było nawet zbyt zabawne, zorientowała się, że żałuję tych słów, że się zawstydzilem, że nie przywykłem do mówienia takich rzeczy. Zrozumiała, że przy niej staję się swobodniejszy, i to ją wzruszyło, albo się zakochała, jeśli w ogóle jest jakaś różnica między jednym a drugim. Od tego wieczoru zacząłem nazywać ją Timmy. Przewisko przylgnęło, stało się raczej spieszczeniem, stało się jej imieniem, sama tak o sobie mówiła. Wielu naszych przyjaciół też zaczęło się tak do niej zwracać, koledzy z pracy również, kiedy zaczęła pracować.

Siedziała w swoim pokoju w biurze w świetle monitora. Przeglądała raport. Zajmowała się nim już długo, a dzisiaj szło jej lepiej. Pracowała skupiona, niczym się nie rozpraszała, nie otwierała maili ani nie sprawdzała wiadomości w internecie. Z okna miała widok na przedszkolny plac zabaw. Patrzyła na dzieci bawiące się w piaskownicy, ale ciągle myślała o raporcie. Miała wątpliwości co do niektórych tabel, liczby jej się nie zgadzały. Zrzuciła

buty pod biurkiem, potarła o siebie bosc stopy. Dłonią pogładziła kark, przypominało to pieszczotę. Drugą dłoń wsunęła pod bluzkę i dotknęła brzucha, przeniosła ją na biustonosz, przez chwilę bawiła się ramiączkiem.

Zadzwoził telefon, musiała uwolnić dłoń, żeby go odebrać. Dzwonił kolega z pracy, który musiał zostać w domu z chorym dzieckiem, prosił, żeby przesała mu jakiś dokument. Odszukała dokument wśród tych dostępnych dla wszystkich pracowników i wysłała. Wróciła do punktu, w którym jej przerwano. Pomyślała o obiedzie, o mnie. Pomyślała o perspektywie zdrowia publicznego i o rowerze, o tym, czy w lesie będzie dostatecznie sucho, żeby pojeździć w weekend. Chciała wybrać się na rower sama albo z dziećmi. Najchętniej sama, bo miała ochotę na szybką jazdę, na wyciśnięcie z siebie wszystkiego. Pomyślała, że jest dopiero wtorek.

Spojrzała na zegarek. Pracowała skoncentrowana przez godzinę. Pomyślała, że może pójdzie siku, ale zdecydowała, że popracuje bez przerwy aż do lunchu. Chciała poprosić Kjersti o sprawdzenie części raportu. Zmieniła jednak zdanie, postanowiła, że poradzi z nim sobie sama. Była ambitna i obawiała się, że ktoś może uznać ją za słabą i niekompetentną. Na ekranie zobaczyła poruszający się cień. Za oknem przeleciała duża wrona, ciężko bijąc skrzydłami, kierowała się ku drzewu rosnącemu koło przedszkola. Przysiadła na cienkiej gałązce i na niej się huśtała. Timmy postanowiła wstrzymać się z rozmową z Kjersti. Zdecydowała, że jeszcze trochę popróbuje sama. Wrona przeniosła się na grubszą gałąź, nastroszyła pióra i przekrzywiła łeppek, obserwując dwójkę dzieci, maluchy, ledwie dwuletnie, które siedziały nieruchomo w piasku z łopatkami w rękach. Przyłożyły łopatki do piasku, ale nie kopały w nim, tego się jeszcze nie nauczyły.

Przeciągnęła się powoli, z rękami wysoko w górze. Bluzka jej się podwinęła, odsłaniając goły brzuch. Pomyślała o mężczyźnie, z którym rozmawiała wcześniej tego dnia. Była pewna, że usiłował z nią flirtować. Nie podjęła

flirtu, ale potraktowała go miło, z otwartością, musiał to zauważyć. Spodobała jej się rozmowa z nim. Spodobały jej się jego dłonie. Wyobraziła je sobie na własnych udach. Dość duże męskie dłonie na jasnej gładkiej skórze. Lubiła swoje uda, teraz już je lubiła, wcześniej nie, ani trochę, były takie delikatne, ale odkąd zaczęła biegać, stały się mocniejsze, bardziej umięśnione. Wyczuwała mięśnie po ich wewnętrznej stronie, chociaż siedziała nieruchomo. Pomyślała, że wieczorem opowie mi o tym mężczyźnie, z którym zaczęła rozmawiać po wykładzie. Na pewno mi się to spodoba. Lubiła to, co się działo między nami, kiedy opowiadała mi o innych mężczyznach, którym się przyglądała lub którzy przyglądali się jej. Wiedziała, że lubię o tym słuchać. Nie rozumiała dlaczego, ale to nie było takie ważne, nie musiała wszystkiego traktować jako problemu do rozwiązania.

Wstała i wyszła na korytarz. Zapomniała, że jest boso, więc wróciła i włożyła buty. Skierowała się do pokoju Kjersti, która pomagała jej już wcześniej. Drzwi do koleżanki były otwarte, a pokój pusty, ale monitor ciągle się świecił. Mogła więc iść do toalety, Kjersti pewnie w tym czasie wróci. Na korytarzu panowała cisza, wiele osób zapewne miało spotkania gdzieś na mieście. Przeszła obok recepcji, pozdrowiła siedzącą tam dziewczynę, która pracowała na zastępstwo. Rozważała, czy się nie zatrzymać i do niej nie zagadnąć, ale nie chciała się dekoncentrować. Weszła do toalety i zamknęła drzwi na klucz, stanęła przy lustrze. Była z siebie zadowolona, chociaż włosy miała trochę za długie. Postanowiła coś z nimi zrobić. Obciąć na krótko i ufarbować. Zadała sobie pytanie, czy nie powinna zacząć się malować. Odrobina kredki do oczu nie zaszkodziłaby, mnie by się to nie spodobało, ale z czasem bym się przyzwyczyła. Usiadła na sedesie, usłyszała odgłos strumienia moczu, mocno uderzającego w wodę. Poczła płynącą z tego radość. Radość z takiego mocnego sikania, radość ze starannego, powolnego podcierania się, radość z ponownego ubierania się, z opakowywania się w ubranie jak dziecko rano,

a potem z mycia rąk. Z mycia rąk i z wążania ich, z zapachu lekko perfumowanego mydła i wilgotnej skóry.

Już wychodziła, ale zmieniła zamiar i zawróciła do lustra. Zaczęła studiować własną twarz, a jednocześnie wsunęła rękę w spodnie. Było za ciasno, więc je rozpięła i opuściła. Dotknęła się, dwoma palcami sięgnęła do gładkości należącej już do wnętrza ciała. Trudno było tam dotrzeć ze spodniami opuszczonymi na wysokość kolan, ale to, że jest ciasno i niewygodnie, też jej się podobało. Poruszyła końcami palców, przeglądając się w lustrze. Lekki rumieniec w górnej części policzków. Pomyślała o raporcie. Pomyślała też o tym, czy zdoła dojść tutaj, stojąc przed lustrem w pracy i dotykając się sama. Przypuszczalnie nie. Potrzebne byłoby do tego coś specjalnego. Pojawiły się pojedyncze niewyraźne obrazy i zaraz zbladły, nagie ciała.

Czy mogło tak być? Nie, posuwam się za daleko, wszystko znów wskazuje na mnie, na mój repertuar, mój uporczywy rejestr, a nie na nią. A więc było raczej tak: poszła do toalety, myślała wyłącznie o raporcie, a myjąc ręce, zerknęła w lustro na swoją twarz. Sądziła, że coś na niej będzie wyglądało inaczej, ale nie wiedziała dlaczego. Ktoś przechodził korytarzem, zaczęła, aż kroki się oddalą. Zapadła cisza.

Nagle wiedziała już, co trzeba skorygować, wyraźnie miała to w głowie, więc otworzyła drzwi łazienki i szybko ruszyła korytarzem. Pokój Kjersti ciągle był pusty, wszystko jedno, i tak poszła prosto do siebie i zaczęła pracować, jeszcze zanim usiadła. Postanowiła wydrukować cały raport i sprawdzić go od samego początku. Założenia zostały sformułowane niejasno już na wstępie. Skierowała się do drukarki z nadzieją, że po drodze nikogo nie spotka. Korytarz był pusty, drukarka szumiała, nagrzane kartki życzliwie wpadały jej prosto do ręki. Miała ochotę śpiewać. Ale odkąd dzieci podrosły, prawie nigdy nie śpiewała. Miała ochotę prędko pobiec, wyobraziła sobie sprint po

długich, szerokich schodach, na których szczycie nie ma nic. Wbiegła na samą górę, ale nie chciała zawracać, przypominało to obraz z filmu, ze snu, z filmu naśladowującego sen. Korytarz był długi i pusty, towarzyszył jej odgłos kroków, odwróciła się, żeby sprawdzić, czy jest sama. Po powrocie do swojego pokoju usiadła z kartkami na kolanach. Zrzuciła buty, odsunęła krzesło do tyłu i położyła nogi na biurku. Miała duże stopy, lubiła je, lubiła chodzić bosy, lubiła siedzieć i poruszać palcami u stóp.

* * *

Była głodna, a do lunchu została jeszcze godzina, zjadła więc jabłko. Ogryzła je aż do małego ogryzka, który odłożyła na parapet. Leżały tam już dwa inne, pomarszczone. W domu nie mogłaby go zostawić, ale tutaj lubiła tak robić. Pozwalała sobie na bałagan, na uwolnienie się od moich wymagań co do porządku na blatach i stołach. Usłyszała głosy na korytarzu, to koledzy wracali ze spotkań poza biurem. Słuchała ich kroków, pospiesznego szelestu teczek ocierających się o marynarki, szczątków rozmów płynących korytarzem, rozpoznawała każdą z tych osób.

Opuściła stopy na podłogę i przysunęła krzesło bliżej monitora. Znow otworzyła dokument i zaczęła nanosić poprawki, które zrobiła ręcznie. Oparła się chęci pozdrowienia przechodzących korytarzem, nie chciała teraz z nimi rozmawiać. Usiadła tak, aby widzieli, że pracuje. Skoncentrowała się na wyglądaniu na skoncentrowaną, a tym samym straciła koncentrację. Miała ochotę się poddać. Miała ochotę wyjść się przewietrzyć. Miała ochotę wrzucić w Google nazwisko mężczyzny, z którym rozmawiała wcześniej tego dnia. Wstała i wyszła do pokoju Kjersti. Koleżanki ciągle nie było. Przypomniała sobie, że Kjersti mówiła, że wybiera się do lekarza. Znow więc wróciła do siebie z postanowieniem, że robi sobie przerwę, i od razu sprawdziła pocztę elektroniczną. Nie mówiła „poczta elektroniczna”, tylko

„maile” jak wszyscy inni, to ja zawsze mówiłem o poczcie, to ja chciałem, żeby używała określenia „poczta elektroniczna” zamiast „maile”, ale nie mogła się do tego przemóc. Wszyscy mówili „maile”, więc dlaczego miałyby mówić inaczej? Wierzyła w rozwiązania pragmatyczne, kiedy ja wybierałem najtrudniejsze. A więc sprawdziła maile, niewiele w nich było, tylko jedna wiadomość elektroniczna ode mnie.

Napisałem, że myślę o niej, a przede wszystkim o tym, co robiliśmy kilka godzin temu. Ona już o tym zapomniała, ale teraz znów miała to przed oczami. Klęczała na czworakach, oparta na kolanach i łokciach, a ja mocno brałem ją od tyłu, tak jak lubiła. Trzymałem ją za biodra, chwilę później poczuła moją dłoń na karku, pchnąłem jej twarz w materac. Przypomniała sobie własny głos, swój krzyk w poduszkę. Lubiała słyszeć własny krzyk. Brałem ją, ona pozwalała się brać, krzyczała. Lubiała tak o tym myśleć, że jest brana. Moment wcześniej patrzyliśmy na siebie w lustrze, na dwa ciała, jedno na drugim, jedno robiło coś z drugim, drugie na to pozwalało. Gdy teraz o tym pomyślała, poczuła w podbrzuszu tępe pulsowanie.

Odpowiedziała mi krótko i z czułością, mniej więcej w tym samym duchu, w jakim do niej napisałem. Zwykle tak do siebie pisaliśmy. Wyjrzała na plac zabaw, jedna z małych postaci odwróciła się w jej stronę, pewnie spojrzała w niebo, ale ona miała takie wrażenie, jakby dziecko wzrokiem szukało jej okna. Powiedziałem kiedyś, że mógłbym mieć więcej dzieci. Ona nie chciała, absolutnie, ta faza już dawno była za nią. Mieliśmy dwoje dzieci razem, a poza tym moją córkę z pierwszego małżeństwa, to wystarczy. Chciała więcej pracować. Chciała więcej trenować, chciała biegać, jeździć na rowerze, nauczyć się wspinać. Chciała brać wszystko, co istnieje dla kogoś, kto jest dorosły i już nie musi zajmować się maleńkimi dziećmi.

Wśród pozostałych maili było zawiadomienie o zebraniu w biurze, a także

kilka głosów w dyskusji na temat strony internetowej Głównego Urzędu do spraw Zdrowia. Zastanawiała się, czy nie odpowiedzieć na ostatni mail, ale w końcu go skasowała. Radość z pozbywania się małych problemów. Wysłała do Kjersti maila w żartobliwym i lekkim tonie, niezobowiązującym, w którym się do siebie odnosiły, z pytaniem, czy byłaby tak miła i pomogła jej przejrzeć tabele w tym kłopotliwym raporcie. Pracowała już nad nim tak długo, że zyskała osobowość. Trudny typ, rozwijał się nie tak, jak sobie tego życzyła, stale coś się w nim nie zgadzało. Mówiła o nim tyle, że nierzadko pytałem, jak on się czuje: *Czy raportowi nic nie dolega?*

Często rozmawialiśmy o pracy, zwłaszcza o jej pracy. Przywykła do dzielenia się ze mną wszystkim. Albo prawie wszystkim: konfliktami, negocjacjami, lekkim poirytowaniem, ale również tym, co uważała za interesujące, zabawne lub podnoszące na duchu. Była z tej pracy zadowolona, chciała być osobą zadowoloną, przychodziło jej to bez trudu.

Sprawdziła wiadomości w internetowych wydaniach gazet, lekko i niezobowiązująco zagłębiała się we wszystko, co się pojawiło. Przyszedł nowy mail, otworzyła go, nazwisko rozpoznała nie od razu, dopiero kiedy zaczęła czytać. Dziękował w nim za niedawną rozmowę, ładnie i ciepło wyrażał się o jej wykładzie, skojarzyła jego głos, życzliwość, zainteresowanie, urok czy co to było. Chyba coś w rodzaju umiarkowanego uroku, bo w tym wszystkim, co pisał, w tych pochwałach i superlatywach, wychwyciła coś innego: on się jej nie oddawał. Wyczuwała lekki opór, pewne napięcie towarzyszące tej ofensywie. To ją poruszyło. A może był po prostu zarozumiały, bo pisał głównie o własnych przemyśleniach i najwyraźniej nie martwił się, czy ją to zainteresuje. Napisał też, że może będą mogli współpracować, ponieważ w ministerstwie szykuje się pewien projekt, w którym chętnie by ją widział. Z pewnym oporem również temu pozwoliła się oczarować, chociaż na udział w kolejnych projektach nie miała ani czasu,

ani ochoty. Na koniec, *by the way*, napisał, że mieszkają niedaleko od siebie. Rozpoznał ją, kiedy weszła na mównicę, ale nie wiedział, skąd ją zna. A to właśnie dlatego. Są niemalże sąsiadami. Może ona też uprawia jogging? Napisał, że jest tego prawie pewien. Był prawie pewien, że widział, jak uprawia jogging.

A więc wyszukał ją po nazwisku, żeby się dowiedzieć, gdzie mieszka, i może zrobił to dokładnie w tym samym czasie, kiedy się zastanawiała, czy nie wyszukać jego. Znalazł adres, ale na tym nie poprzestał. Stwierdził, że musiał ją gdzieś już wcześniej widzieć, że widział, jak biega. Czy po jej sylwetce rozpoznał, że musi biegać?

Pisał o „joggingu”. Kto jeszcze używa tego słowa? To było określenie z lat dziewięćdziesiątych, osiemdziesiątych, teraz brzmiało trochę dziwnie. Kojarzyło się z jego okularami, z ich brązowymi szklami. Wstukała jego nazwisko w wyszukiwarkę i zdumiała się, że jest od niej starszy. Rzeczywiście mieszkał niedaleko, wiedziała dokładnie, który to dom, wielokrotnie koło niego przebiegała. Zaczęła się zastanawiać, czy ona też go wcześniej nie widziała. Oglądała jego zdjęcia i rozpoznała na nich coś, co zrobiło na niej wrażenie. Coś, co ją poruszyło. Pewność siebie, ale ze swego rodzaju wycofaniem. Wyszukała więcej zdjęć, jedno pochodziło ze strony internetowej ministerstwa, inne z wywiadu w czasopiśmie fachowym. No i znalazła też fotografie ze strony klubu sportowego.

Był trenerem narciarstwa.

Siedziała wpatrzona przed siebie, myśląc, że ona też chciałaby być trenerką.

Wystraszyła się, gdy nagle stanęła za nią Kjersti, nie usłyszała, jak wchodzi.

– Co za twarz.

Chciała zamknąć stronę, ale nie mogła tego zrobić, za bardzo rzuciłoby się

to w oczy, jakby miała jakieś tajemnice. Zamiast tego obróciła się razem z krzesłem i popatrzyła na Kjersti, przyciągnęła do siebie jej spojrzenie, żeby koleżanka oderwała je od monitora.

– Straszysz mnie, kiedy wchodzisz tak cicho.

– Martin mówi, że tupię jak koń.

– On cię przecież zna.

– Nie wiem. Mamy w domu tyle schodów, to dlatego. Twierdzi też, że sapię jak wieloryb.

– Na pewno i tak cię kocha.

– W to raczej wątpię. Wytrzymuje i czeka, aż coś się wydarzy. Za każdym razem, kiedy idę do lekarza, ma nadzieję, że to będzie coś poważnego. Woli zostać wdowcem, niż się rozwieść, taki jest próżny. Za to ty masz męża, który cię kocha, to od razu widać. A mimo to przyglądasz się temu typowi?

– Chce, żebym dołączyła do projektu organizowanego przez Ministerstwo Zdrowia.

– Do p r o j e k t u. Tak to się teraz nazywa?

– To zupełnie niewinna historia, Kjersti. Zainteresowania zawodowe.

– I ty w to wierzysz?

– Kjersti, potrzebuję pomocy.

– Ten twój raport tak cię dręczy?

– Wydaje mi się, że jest jakiś błąd w tabelach.

– A nie możesz tych tabel po prostu odesłać do tego, kto je przygotował?

– Jestem odpowiedzialna za ten raport. Zastanawiam się, czy założenia są dobre.

– Pokaż mi te błędy.

Kjersti przysunęła sobie gościnne krzesło do monitora i usiadły razem. Często pracowały, siedząc obok siebie. W domu opowiadała mi o Kjersti, o jej żagłówce, o małżeństwie, o kiepskich żartach, o jej drobiazgowości

i czepianiu się szczegółów. A Kjersti opowiadała o mnie. Musiała jej opowiadać, nie wiem co, ale przypuszczałem, że o swoim szczęśliwym małżeństwie. Z pewnością o tym też mówiła. Byliśmy dumni z naszego małżeństwa, i ona, i ja, tak jak wtedy, gdy człowiekowi rodzi się dziecko i wychodzi z nim na spacer, pokazuje je całemu światu, jakby nikomu innemu nie dane było przeżyć takiego szczęścia.

Pozamykała strony internetowe, na które wchodziła, zamknęła też program pocztowy i znów otworzyła raport. Do końca dnia pracowała razem z Kjersti. Z biura wyszła nieco później, niż zamierzała, ale wiedziała, że jestem w domu. Mimo to wysłała mi SMS-a z informacją, że już jedzie.

I że mnie kocha. Musiała tak napisać, przecież mieliśmy taki zwyczaj, prawda? Nie pamięta tego wyraźnie. Ta, którą była, będąc ze mną, i tak już nie istnieje. Ten, którym byłem z nią, też już nie istnieje. Kiedyś istnieliśmy, żyliśmy razem, lecz to życie już się skończyło, a ona zdążyła zapomnieć, kim byliśmy. Znalazła się poza zasięgiem tamtych wydarzeń, ja także. Nikt już nie wie, jak się do siebie zwracaliśmy. Kim była ze mną? Pamięta moje spojrzenie na siebie. Za każdym razem, kiedy przechodziła przez pokój, patrzyłem na nią. Zdarzało się, że ona również na mnie patrzyła, nie za długo i nie za często. Pamięta jednak, że nasze spojrzenia się spotykały, chociaż nic nie miało się zdarzyć, nie miało paść żadne słowo. Co mówiły wtedy nasze spojrzenia? Że jesteśmy zadowoleni z siebie, z naszego życia, że dobrze nam się układa? Znaleźliśmy siebie, zbudowaliśmy wspólne życie, lubiła tę, którą była, będąc ze mną.

Patrzyła na mnie z dobrze znaną i straszną czułością. Ta czułość nie była taka straszna dla mnie, dla niej również, przynajmniej wtedy. Dopiero później zaczęła postrzegać naszą wymianę czułości jako właśnie coś takiego: coś, czym się wymieniamy, co dajemy sobie w ramach wzajemności, coś, czym płacimy za obecność tej drugiej osoby.

W tych pokojach to był on, ten, który był jej mężem, ten, który zwykle

śledził ją wzrokiem, kiedy przechodziła przez pokój. Teraz nie pamięta już mojej twarzy, nie potrafi jej przywołać, z wyjątkiem naszych przypadkowych spotkań. Nie pamięta, jak moja twarz ją obserwowwała, jak zawsze byłem na nią otwarty. Wie, że tak musiało być, że towarzyszyło jej moje spojrzenie, życzliwe, otwarte, pełne podziwu, zakochane. Ale nie pamięta już, jak wyglądało życie obserwowane przez to spojrzenie, przez tę twarz.

Jechała rowerem do domu w popołudniowych godzinach szczytu. Zwykle jeździła najszybciej, jak umiała, trochę dla treningu, a poza tym nie znosiła, kiedy jakiś inny rower ją wyprzedzał. Cieszyła się też na powrót do domu. Ale nie tego dnia. Patrzyła na swoje dłonie na kierownicy, na stopy na pedałach i na poplamiony asfalt pod kołami. Nie spieszyło jej się. Dojechała do domu, zsiadła z roweru i przeprowadziła go przez furtkę. Odstawiła rower, zapięła go, wolnym krokiem przeszła po żwirze. Coś ją wstrzymywało. W sakwie rowerowej miała pełno papierów, zabrała z pracy wydruk, żeby jeszcze rzucić na niego okiem wieczorem, potrzymać go w cieple do rana, żeby nie zapomnieć, co znalazła razem z Kjersti. Przeszła obok kuchennego okna i zobaczyła, że stoję w środku przy blacie. Usłyszała, że nasze dzieci też tam są, w głębi kuchni. Po zapachu poznała, że obiad jest już gotowy, z radia leciała muzyka, drzwi i okna były otwarte.

Coś ją wstrzymywało, ale odepchnęła to na bok. Nie pamięta, w co była ubrana. Nie pamięta, czy miała na sobie sukienkę, tę z krótkim rękawem, bo zbliżało się lato, czy tę cienką w czerwone i zielone kropki. A może ciemną dzinsową, którą ja jej kupiłem. Albo tę w niebiesko-granatowe paski. Albo dwuczęściową, zielono-czerwoną, z kołnierzykiem i cieniutkim paskiem. Albo jednokolorową, czerwoną, z trochę za dużym dekoltem. Ale tej chyba nie włożyła, skoro miała mieć wykład? Może była w garsonce, może w jasnej spódnicy, która sięgała jej tuż nad kolana, i w bluzce. W którejś z białych bluzek albo w tej brązowej, połyskującej złocisto, z haftami na kołnierzyku. Ta

bluzka była nieco za ciasna, materiał między guzikami się rozchyłał, w szparach dawało się dostrzec jej jasną skórę. Uważała, że trochę nie wypada jej nosić, ale czasami i tak ją wkładała. Mogła też mieć spodnie i T-shirt, jasne płócienne spodnie i fioletowy T-shirt, ten z kwiatowym nadrukiem. Zaczęła kupować droższe ubrania niż dawniej i świetnie wiedziała, z którego sklepu pochodzi każda rzecz i czy kupiła ją sama, czy dostała ode mnie, lecz akurat w tej chwili o tym nie myślała. Mogła mieć na sobie sukienkę z krótkim rękawem, tę jasną, na górze przypominającą koszulę, tę ze sztywnym kołnierzykiem, z fałdami na dole, przez to dość szeroką na wysokości kolan, jak spódnica. Sukienka miała tę zaletę, że świetnie pasowała do tamtego szarego żakietu, który tak lubiła nosić, nazywanego przez Kjersti żakiem biurowo-karierowym.

Ale chyba już wystarczy.

Wróciła do domu, przysłała do mnie i do dzieci. Czekaliśmy na nią, jak często się zdarzało. Wszyscy chcieliśmy, żeby już była w domu, cieszyliśmy się na jej widok, każdy na swój sposób. Stałem przy blacie, odwróciłem się w jej stronę, zauważyła, że mięknę na jej widok, wzruszam się, zamroczony czułością. Podeszedłem i ją objąłem, odwzajemniła uścisk, lekko, czuła jedynie lekkość, przyjemne odrętwienie. Wiele osób musiało się obejść bez takiego uważnego oddania, z jakim była witana, a wiele pragnęłoby czegoś podobnego. A ona już od tak dawna żyła wśród tej czułości i troski, przyzwyczała się do tego, niektórzy powiedzieliby pewnie, że była przez to rozpieszczona, a może po prostu zaczęło ją to nudzić. Już była w ruchu, chciała iść dalej, wyjść z naszego świata, tego, który stworzyliśmy wspólnie, wejść w inny świat. Ale na razie jeszcze nie wiedziała, że nie będę mógł tam do niej dostrzeć. Miała to wszystko odrzucić od siebie, *What a waste*.

Byliśmy tam, w tych pokojach. Rozbrzmiewały w nich nasze głosy, ciała

siedziały na krzesłach, leżały na łóżkach, dłonie wyciągały się i dotykały elektronicznych czujników, nosiły telefony, filiżanki i spodeczki. Ona zasnęła na kanapie, obudziła się, ja czytałem, któreś z nas pomogło młodszemu dziecku w lekcjach. Ona oglądała telewizję, ja czytałem albo pisałem, ona przeglądała swoje papiery, siedzieliśmy obok siebie na kanapie i rozmawialiśmy czystymi, szczerymi głosami. Opowiedziała mi o czymś, co się wydarzyło w pracy, o jakieś kłótni w dyrekcji. A potem opowiedziała mi o tym mężczyźnie, którego spotkała. Ja pytałem, ona odpowiadała, lekko i zabawnie, zaśmiałem się z czegoś, co o nim powiedziała, o tym, że był w koszuli z krawatem, szerokim krawatem w duże wzory, opowiedziała o tym w zabawny sposób, ani trochę go nie deprecjonując. Zorientowała się, że przedstawia mi go oczarowana i jakby wzruszona – wzruszające było to, że wcześniej o nim nie wiedziała, że nagle zaczął istnieć, w pobliżu nas, w białej koszuli z szerokim krawatem, i że czegoś od niej chciał.

Nieco później wyszła do innego pokoju i rozmawiała przez telefon, dzwoniła jej siostra. Przerwał jej nasz młodszy syn, wtedy mnie zawołała, po imieniu, tak jak to miała w zwyczaju. Do syna powiedziała: *spytaj tatę*, i wróciła do rozmowy z siostrą. Coś się stało, siostra się rozwodziła. Przejęliśmy się tym i mogliśmy poczuć się zagrożeni, ale wcale się tak nie poczuliśmy, jeszcze nie dotarliśmy do tego punktu, wierzyliśmy, że nasze życie jest bezpieczne. Kuchnia została sprzątnięta, lampy zapalały się w miarę, jak się ściemniało. Wkrótce miały pogasnąć, jedna po drugiej.

Szliśmy już spać, staliśmy razem w łazience, myjąc zęby, położyła mi rękę na ramieniu, jakby po koleżeńsku, uśmiechnęła się do mnie w lustrze. Razem leżeliśmy nadzy w łóżku. Odwróciła się do mnie, ja się odwróciłem do niej. Dłoń na udzie, policzek na ramieniu, ręka na karku, palce we włosach. Usta otwierają się pod drugimi ustami, jedno kładzie się na drugim, jedno krzyknęło i zaraz krzyknęło to drugie. Nasze głosy w tym niewielkim pokoiku ogłosiły

triumf nad samotnością, tak to brzmiało. A mimo wszystko kiedy później myślała o tych głosach, tych wołających pod sufit po ciemku, wydały jej się pełne skargi, poszukujące i samotne. Jakby każde z nas z osobna wykrzykiwało swoje nieszczęście.

Dzień później ona wkłada buty do biegania, zawiązuje sznurówki, woła do mnie albo do dzieci, że nie będzie jej godzinę. A potem zamyka za sobą drzwi. To nie mogło być następnego dnia, musiało minąć ich kilka, ale te dni jej przepadły. Tak jak przepadła większość naszego wspólnego życia: ona już nie pamięta. Z tego czasu zapamiętała jedynie pierwsze spotkanie z nim, drugie spotkanie z nim, trzecie. I pamięta, jak wszystko wokół niej runęło.

* * *

Było popołudnie, niskie słońce, przebrała się w strój treningowy i przeszła wysypaną żwirem alejką, pełna wyczekiwania, jak często się zdarzało. Zawsze oczekiwała, że wydarzy się coś dobrego. I wszystko jej się układało. Zamknęła za sobą furtkę i zaczęła biec, najpierw dość spokojnie, ulicą, przy której mieszkaliśmy. Kiedy dotarła do jej końca, z lekkością dziecka pokonała dziurę w płocie i znalazła się w zagajniku. Tam już biegła szybciej. Początkowo spotykała dzieci i spacerowiczów, musiała się zatrzymywać albo zbaczać z drogi, żeby ich wyminąć, ale im głębiej wbiegała w las, tym szybciej mogła biec.

Ścieżka pod jej stopami była miękka, podłoże się ugięło. Słyszała własny oddech, pulsowało jej w skroniach, jeden bark trochę bolał. Wiedziała, że ból minie, gdy tylko się rozgrzeje, i już za tym tęskniła, cieszyła się na myśl o biegnięciu bez myślenia o tym, że biegnie. Biegła ścieżką okrążającą osiedle. Często wbiegała głębiej w las, skąd już nie widać było domów. Leśne poszycie przecinała tu plecionka ścieżek, ale ona powiedziała sobie, że chce

mieć światło, popołudniowe światło, tak ładnie oświetlające skraj osiedla.

A potem, jak we śnie, w którym wszystko dzieje się według planu, lecz człowiek dopiero później zaczyna rozumieć, że to plan, pobiegła obok niedużych willi z ogródkami od strony lasu. W jednej z nich mieszkał mężczyzna, który napisał do niej maila, rozpoznała ten dom, gdy tylko go zobaczyła. Nieduża willa z lat sześćdziesiątych, niezbyt dobrze utrzymana, ale ze stosem starannie poukładanego drewna pod wiatą na samochód. W ogrodzie stary hamak, łopata do śniegu, której nie zabrano do środka po zimie. Nie mieszkali tu długo, może ze dwa lata, wprowadzili się, nie remontując domu wcześniej, zrozumiała, że takie rzeczy niezbyt go interesują.

A przed tym domem stał on, dokładnie tak, jak sobie to wymyśliła. Nie uświadamiała sobie własnej nadziei na zobaczenie go, ale ją rozpoznała: właśnie tak miał stać, jakby na nią czekał. Akurat wrócił z biegania, a teraz się rozciągał. Był skupiony, poważny, pewny siebie, nie rozglądał się na boki. A mimo to ją zauważył. Dostrzegli się już z daleka, rozpoznał ją i uniósł rękę na powitanie. Jakby stał i na nią czekał. Miała zapamiętać jego uniesioną dłoń i wyraz jego twarzy, kiedy się zbliżała. Zauważyła, że za każdym razem, gdy się uśmiechał, jego oczy zwężyły się i stawały bardziej skośne.

Przeskoczył przez kamienny murek i czekał na nią na ścieżce. Bez żadnych ceregieli. Pomyślała: Jak zwykle, chociaż jeszcze go nie знаła. Już jednak wiedziała, co jest dla niego typowe, rozpoznała to od razu, gdy tylko się z tym zetknęła, a on spytał:

– Daleko się wybierasz?

Odpowiedziała zwięźle, ale była otwarta, chciała się zaprezentować jako szczerą i usportowioną, nie miała z tym kłopotu, odpowiadało jej to i wyczuła, że odpowiada również jemu. Już pojawił się między nimi przyjacielski ton. Podała nazwę miejsca. Wiedziała, że dobiegnięcie tam i z powrotem zajmie

niespełna godzinę. Ale on przecież właśnie wrócił z treningu, więc nie sądziła, że zechce się do niej przyłączyć. Mimo to spytała, a on odpowiedział:

– Bardzo chętnie.

Wyciągnął rękę, jakby w geście szczodropliwości, wskazując jej miejsce przed sobą. I ona mu uległa, chociaż co to za określenie, przecież nie była osobą, która łatwo pozwala sobą kierować. A jednak. Miała wrażenie, że to on przejął kontrolę, chociaż to ona wystąpiła z propozycją. Biegła przodem i słyszała go za sobą. Potrzebowała trochę czasu na znalezienie rytmu. Czuła się, jakby *była biegana*, to było moje określenie, użyłem go kiedyś w rozmowie z nią po treningu na bieżni elektrycznej w studiu fitness. Wróciłem do domu w poczuciu inwazji dokonanej na mnie przez urządzenia do ćwiczeń, powiedziałem, że czuję się bardziej, jakbym był biegany, a nie biegł sam. To typowe dla mnie, pomyślała wtedy, nawet bieżnia mogła dokonać na mnie inwazji, ale to wszystko teraz jej uleciało. Biegła ścieżką przed mężczyzną, którego nie знаła, i czuła na sobie jego wzrok.

Przyspieszyła, żeby odzyskać kontrolę. Czuła się silna. On był z pewnością silniejszy od niej, zrozumiała to, widziała przecież, że jest wysportowany. Jego uda w szortach prezentowały się lepiej, niż sobie to wyobrażała. A jednak usłyszała, że zaczął oddychać ciężiej, więc przyspieszyła, żeby miał nad czym pracować. Musiał to zauważyć i chyba mu się spodobało. Rzucali sobie nawzajem wyzwania, biegli długo, nie rozmawiając ze sobą, ona nawet nie odwróciła głowy. I bez tego dobrze wiedziała, że jest tuż za nią. Jego buty uderzały o ziemię, słyszała jego oddech, wyczuwała wielkość jego tułowia, objętość płuc. Brzmiał jak człowiek dobrze zbudowany, nieco przyciężki. Był wyższy ode mnie, na to zwróciła uwagę od razu. Biegła lekko, robiła długie skoki, kiedy tak jej pasowało, przeskakiwała z boku na bok, jeśli na ścieżce leżał kamień, ale zaczynała być zmęczona, a to ją rozzłościło, bo nie chciała dać się wyprzedzić.

Była pewna, że on patrzy na jej tyłek, czuła na sobie jego spojrzenie jak ciepłą dłoń, trochę oceniające, najpierw na jednym pośladku, potem na drugim. Miała wrażenie, że jego wzrok przesuwają się w dół. Po dotarciu do polany, na której ścieżka się rozszerzała, zwolniła, żeby się z nią zrównać.

A wtedy on ją wyprzedził.

To także było już typowe. Tak właśnie miało być z nimi dwojgiem. Ostra konkurencja, uczciwe zawody, żadnych sentymentalizmów. Bawili się ze sobą, ale we wszystkim, co robili, kryło się poważne wyzwanie. On biegł szybko, nie zamierzał niczego jej ułatwiać. Ustawiła się za nim, odległość między nimi zwiększyła się bardziej, niż było jej w smak. Przyłożyła się jeszcze mocniej, ze świadomością, że może nie dać rady. Ale i on w końcu musiał trochę się poddać, bo nagle znów znalazła się tuż za nim. Biegli pod górę, jego tyłek tak ładnie się poruszał, wyglądał na twardy, nieco bardziej płaski niż jej, tak jak powinno być, uda miał nieowłosione, widziała mięśnie poruszające się pod skórą. Długie plecy, ich mięśnie też pracowały, wąski kark i ścięgna na brązowej szyi. Na serdecznym palcu prawej ręki nosił obrączkę, jakaś kobieta była jego żoną, leżała pod nim, kładła mu ręce na plecy, dotykała go. Jej już się nie podobało, że inna może to robić.

Ale może jeszcze sama o tym nie wiedziała. Wciąż bowiem jeszcze nic się nie ujawniło, ciągle jeszcze tkwiła w stanie oczekiwania. Przyciąganie działało po cichu, karmiło się każdym drobiazgiem, czymkolwiek. On biegł z otwartymi dłońmi, a ją ogarnęła lekka czułość dla jego rąk, dla sposobu, w jaki trzymał je przed sobą.

Nagle się zatrzymał, odwrócił do niej i powiedział, że chce jej coś pokazać. Zboczył ze ścieżki, odgarnął na boki cienkie gałązki i przytrzymał je dostatecznie długo, żeby i ona zdążyła przejść. Ruszyła za nim na niewielkie wzniesienie. Później powiedział, że zna ten las jak własną kieszeń, a ona

przyswoiła sobie to określenie, użyła go, kiedy mi o tym opowiadała, tego nieproporcjonalnego porównania krajobrazu do kieszeni spodni, nielogicznego, wyświechtanego wyrażenia. Akurat wtedy nie potrafiła mi dać nic lepszego. Biegła za nim pod górę, aż skończyły się drzewa, zostały same krzaki i skały, a potem jeszcze wyżej, gdzie musieli wspinać się po usypisku kamieni. Na ostatnim odcinku wykorzystał okazję, żeby wziąć ją za rękę i podciągnąć, przyjęła jego dłoń, poczuła, jak się zamyka na jej własnej dłoni, i pomyślała, musiała pomyśleć, że to pierwszy raz.

Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. A potem dotarli na szczyt i usiedli na dość płaskim kamieniu. Mrużąc oczy, patrzyli na las w świetle nisko zawieszzonego słońca. Nie widzieli miasta ani fiordu, ani bodaj małego jeziora. Widzieli tylko las. Ciemne świerki, nieco jaśniejsze sosny, między nimi jasnozielone pasma drzew liściastych. Plamy lasu mieszanego w różnych odcieniach. Wzniesienia, wzgórza, pagórki i zagłębienia – nieskończoność drzew w rozmaitych wariantach zieleni.

Właśnie to chciał jej pokazać.

A dla niej był to widok niesamowity, widok, z którego istnienia nie zdawała sobie sprawy. Siedzieli dość blisko siebie, wciąż ciężko oddychała po biegu. On także, na szczęście. Poczuła jego skórę przy swojej skórze, na łydce. Przetawiał nogę. Pospieszyła za jego ruchem, odchyliła kolano i łydką znów dotknęła jego łydki, tym razem się nie odsunął. Długo tak siedzieli, mówił jej, którądy zwykle biega. Pokazywał i objaśniał, opowiadał o tym, jak się zgubił, o wycieczkach, na które chodził. Jakby był właścicielem wszystkiego, co wskazywał, jakby to przejął, uczynił swoim.

Czy po jego głosie poznawała, że przebywanie z nią tak blisko wywiera na niego jakiś wpływ? Przyciągnęła nogę do siebie, żeby nie wyglądało to na zbyt oczywiste, żeby przypadkiem czegoś źle nie zrozumiał. Była przecież szczęśliwie zamężna, po prostu napawała się przyjemnością, jaką wzbudziło

w niej poznanie mężczyzny, który okazał jej zupełnie wyjątkowe zainteresowanie. Patrzyła na jego ręce, na przedramiona, opalone i mocne jak skórzany pas. Może miała ochotę położyć mu rękę na ramieniu, może już wiedziała, jakie to będzie uczucie. Była miękka i rozruszana, już dawno nie czuła się tak silna. Ciało lekko jej drżało, zastanawiała się, czy to on jest tego przyczyną. Wielkie dłonie. Ogryzał paznokcie, nie mocno, lecz na tyle, aby paznokieć zagłębił się w zewnętrzną warstwę skóry koniuszków palców. Nie wyobrażała sobie, żeby coś takiego również mogło się jej spodobać, ale właśnie tak się stało. Siedziała i rozważała, czy po powrocie do domu opowiedzieć o nim mnie. Już się cieszyła na widok mojej miny, wiedziała, że będę zaskoczony.

3

Zacząła biegać już jako dorosła. Biegała po drogach, po zakurzonej asfalcie pokrytym cieniutką warstewką piasku, po asfalcie pociemniałym od deszczu i po żwirze w zagajniku tuż koło domu. Biegała daleko, biegała, aż docierała do ścieżek w lesie, na których jej kroki odbijały się miękko i głucho od jakby żywego podłoża, w którym cienkie korzenie kryły się pod piaszczystą ziemią niczym szkielet. Na początku nie była tak szybka, jak chciała być, zbyt wiele osób ją wyprzedzało. Po jakimś czasie stopy zaczynały jej ciążyć, a buty martwo uderzały o ziemię. Miała wtedy ochotę się położyć i nigdy więcej nie wstać. Ale dalej biegła. Biegała po schodach i po stromych zboczach, wykonywała trening interwałowy, wyęczała się, aż zaczynała szlochać z wycieńczenia. Obserwowała innych biegających, przyłączała się do nich, naśladowała wszystkich, którzy bez wysiłku biegli przez świat.

Ona też chciała się tego nauczyć. Kupiła lżejsze buty, te nowe nie uderzały o ziemię tak ciężko i z taką rezygnacją. Już była szybsza. Odbijała się z poduszczonek palców i wypychała ciało do przodu; sama sobie dawała kopniaka w tyłek, zaczęła biegać sprintem – nie, jeszcze nie, pędziła, jakby chciała wyprzedzić samą siebie, wybijała się, żeby uciec od całej tej, którą była kiedyś. Teraz już zapomniła o swojej powolności, o niewysportowaniu i braku motywacji. Wymijała długonogie panie w gładkich legginsach i umięśnionych mężczyzn w szortach. Lubiła przyglądać się mężczyznom, którzy prezentowali się najlepiej, lubiła biec za którymś z nich, trzymać się go przez jakiś czas, a potem go wyprzedzić. Przyspieszała, gdy tylko znalazł się

za nią. Wyraźnie dawała wszystkim sygnał, że nie zamierza się poddać. I podobało jej się to, lubiła czuć, że jest w stanie pokonać każdego, prawie każdego, nie wszystkich, ale prawie każdego, z kim próbowała się zmierzyć. Przyspieszała i czuła, że muszą ulec, że dostosowują się do jej prędkości i że się do niej przyklejają. Że ona biegnie przodem, a ci inni, wszystko jedno kto, muszą trzymać się z tyłu. Kiedyś była tą, która zawsze musiała patrzeć na innych, teraz to na nią patrzono.

Biegła, żeby wytrzymać, żeby odepchnąć od siebie ogólne zniechęcenie i zwątpienie. Rozbieraliśmy się razem, dotykaliśmy siebie nawzajem, ssaliśmy się nawzajem i lizaliśmy, mieliśmy czułe albo gwałtowne stosunki, żeby wytrzymać, żeby przetrwać nudę, chaos i wyczerpanie zwykłych dni. Mieliśmy dzieci, żeby wytrzymać i żeby nasz świat stał się bogatszy i bardziej nieprzewidywalny. Wyjeżdżaliśmy na wakacje, obchodziliśmy urodziny i Boże Narodzenie, wieczorami kładliśmy się blisko siebie, a rano pomagaliśmy sobie przy wyjściu, żeby mieć z życia coś więcej niż tylko je wytrzymywać. Dotykaliśmy się lekko albo chciwie, fantazjowaliśmy razem o wszystkim, co mogło nam sprawić nieoczekiwane intymne radości – podtrzymywaliśmy nieustający flirt, żeby – jeśli to możliwe – upiększyć nasze życie. Inaczej co byśmy poczęli?

Wieczorami przez otwarte okna słyszeliśmy odgłosy innych biegających, ich szybkie rytmiczne kroki na żwirowej drodze albo na asfalcie. Wsłuchiwała się w nie przed zaśnięciem. W dźwięku stóp odbijających się od podłoża tak szybko i lekko krył się cichy entuzjazm, odgłos budującej, samotnej radości, ludzie biegali w półmroku pojedynczo, sami dodając sobie siły i wytrzymałości.

Biegała codziennie. Początkowo z muzyką w uszach, ale z tego zrezygnowała. Słuchała jedynie własnego oddechu, chwytanego z trudem, podnieconego. Rozgrzewała jej się skóra na głowie, twarz czerwieńiała,

dłonie bolały. Dlaczego miały boleć, nie wiedziała, ale bolały. Usta podczas biegu się otwierały. Za każdym razem biegała godzinę, a mogłaby biec cały dzień, nie męczyła się, mogłaby biec do końca życia.

Było to doświadczenie egzystencjalne i bardzo niepewne. Nagle potrafiła znów poczuć swój ciężar, w niektóre dni zapadała się w kolejne warstwy samej siebie, z rezygnacją wirowała, opadając na samo dno wszystkiego, co dało się pomyśleć. Chciała usiąść, chciała się położyć, już, od razu, i nigdy więcej nie wstać. Stopy płasko uderzały o ziemię, oddech zaczynał sprawiać ból; wycieńczenie, które ją dopadało, przykrywało wszystko, co wiedziała. Mogła się jedynie poddać. Życie potrafiło tak się zedrzeć, że pękało. Sądziła, że jest silna, a okazywała się słabsza od najbardziej żalosego piętnastolatka, który pierwszy raz biegł przez park. Równie dobrze mogła położyć się i umrzeć. Ale tego nie robiła, nie była osobą, która ma umrzeć, nie w taki sposób, jeszcze nie, biegła na przekór mdłościom i pogardzie dla siebie, zwątpieniu i wycieńczeniu. Dotykała najcieńszej warstwy własnego istnienia, najslabszej, tej, o której nikt nie mógł się dowiedzieć, której sama także nie chciała znać.

Tej być może najcieńszej warstwy instynktu samozachowawczego, tak to sobie wyobrażała. Jeśli w ogóle istnieje coś, co można nazwać instynktem samozachowawczym. Owszem, takie określenie istnieje, podpowiada istnienie czegoś, czego wiele innych osób musiało doświadczyć, ale czy w takim razie instynkt ten działa sam z siebie, czy też jest jedynie ostatnią błoną woli, rozciągniętą nad przepaścią, w której nie jesteśmy już w stanie sami sobie pomóc? Napiętą do białości i przezroczystą, niczym cieniutka warstwa tłuszczu na nagich kościach, niczym skóra na bębnie, na białym bębnie, którego nikt nie lubi słuchać? Coś jednak biło w ten bębenek, coś ocierało się o tę błonę, gdzieś głęboko w jej życiu, poniżej wszystkiego, co złożyło się na nią.

Biegła i czuła, że coś nieprzerwanie uderza w napiętą i cienką przezroczystą błonę, nie pozwalając jej już dalej opadać. Od tego miejsca miała zacząć budowanie siebie w górę. Biegała rano przed wyjściem do pracy. Biegała rano, zanim inni wstali. Tworzyła samą siebie, budowała siebie, dodawała kolejne włókienka, budowała mięśnie, silną wolę i zdolność przetrwania wszystkiego, co mogłoby nastąpić. Bo wszystko może nastąpić zawsze, wszystko może nastąpić w każdej chwili i w życiu każdego.

4

Kiedyś zdecydowała, kim będzie. Decyzja zapadła na wczesnym etapie życia i czuła ją w sobie jeszcze przez wiele lat, mocne, słone postanowienie wgrzyło się głęboko w ciało: da radę. Będzie tą, która służy wsparciem innym.

Kiedy miała dwanaście albo trzynaście lat, ktoś powiedział, że jest równą dziewczyną. Tego słowa nikt już w tym kontekście nie używał, a przynajmniej ona go nie słyszała, ale w słowniku znalazła mniej więcej takie znaczenie, jakiego sama się domyśliła: szczerą i fajną. Chciała być szczerą i fajną. Chciała być kimś, na kogo inni mogą liczyć. Chciała pomagać, a nie sama potrzebować pomocy. Jej głos miał być słyszany, donośny, wyraźny, szczerzy i norweski. Miała sobie radzić sama. Miała sobie również radzić z innymi. To było łatwe, wystarczyło się zdecydować. Jej twarz od tej decyzji nabrała kształtów. Oczy się rozjaśniły, powiększyły, zaczęły patrzeć badawczo. Usta miękko zamykały się nad podbródkiem. Szyja stała się długa, szczerą, jasną i nagą. Wyciągała szyję, obracała głowę. Plecy również miała długie i ładne, nie raz o tym słyszała, zwłaszcza ode mnie.

Była szczupłą, dość niską, często wyglądała na zbyt lekką i chudą. Złościło ją to, bo przydawało jej kobiecości w sposób, który jej się nie podobał, wdzięk czynił ją niegroźną. Początkowo jej to dokuczało, bo wolała być silną. Zaczęła trenować, kiedy skończyła trzydzieści lat, podnosiła ciężary i pracowała nad budowaniem mięśni. Jej dłonie stały się duże i wyraziste, zaczęły jej się podobać, ramiona również. Miała długie włosy, które zawsze musiały być upięte, żeby mogła się swobodnie poruszać, ale w końcu obcięła

je na krótko i ufarbowała na ciemny kolor. Zaczęła przypominać tę, którą chciała być. Była dorosła i silna, odnosiła sukcesy zawodowe, no a potem poznała jego.

Miał na imię Harald, a ja nazywałem go Rękawiczka. Podczas pierwszych tygodni ich znajomości, kiedy chciała mi o nim opowiedzieć, używała jego pełnego imienia i nazwiska – Harald Heming – żeby odróżnić go od innego znajomego Haralda z zaprzyjaźnionej pary, która miała dzieci w tym samym wieku co nasze. Opowiadała, że Harald Heming przysłał jej maila, że Harald Heming pyta, czy poszłaby z nim pobiegać, że umówiła się z Haraldem Hemingiem w hali wspinaczkowej. Po pewnym czasie przestała wymieniać jego nazwisko, przypuszczalnie ton głosu miał wystarczać za wyjaśnienie, kogo ma na myśli. Początkowo ją naśladowałem, również używałem jego imienia, gdy o nim rozmawialiśmy, i wypowiadałem to imię z żartobliwą intymnością. To było coś w rodzaju żartu między nami, uczyniliśmy jego bliskość czymś wspólnym dla nas, czymś, co dotyczy nas obojga. Ale później, kiedy zaczęło się robić dla mnie coraz trudniej, już nie chciałem brać jego imienia w usta. (Jakie to typowe dla mnie ująć coś w taki sposób: że nie chciałem brać jego imienia w usta, sprowadziłem swoją zazdrość do seksu, żeby mi było łatwiej, i może jej także, chociaż ją dręczyło to bardziej, niż potrafiła wyrazić).

Podarował jej rękawiczki na rower, miękkie czarne rękawiczki, sięgające do środkowych stawów palców, końce pozostawały gołe. Nieduże owalne dziurki na knykcie i podłużny otwór na grzbiecie dłoni przydawały rękawiczkom wyszukanego ekskluzywnego wyrazu. Z pewnością były drogie. Ale przede wszystkim były praktyczne, a właśnie taki prezent mógł ją szczerze ucieszyć, bez względu na to, od kogo go dostała. (Jej radość z takich drobnych podarunków, skąd on o tym wiedział?). Będąc prezentem od niego, rękawiczki nabrały specjalnego znaczenia. Oznaczały wyraźny krok naprzód, bo to, co

zaczęło się dziać między nimi, niosło ze sobą dyskretne, lecz mimo wszystko oczywiste przesunięcie istniejących granic. Prezent był wyraźną zachętą, nie mogła go odrzucić, nie mogła też nie zareagować na zachętę. Dostała od niego te rękawiczki rano w dniu, kiedy wybierali się na długą przejażdżkę rowerową, miała trwać od wczesnego ranka do późnego wieczora. Oboje wzięli wolne w pracy, w środku tygodnia, aby wyprawa nie odbyła się kosztem życia rodzinnego. Może tylko ja wiedziałem, że się wybierają na wycieczkę, ona ciągle relacjonowała mi rozmowy, które z nim odbywała, ale nie miała pewności, czy on równie otwarcie mówił o wszystkim w domu. Przypuszczała, że zachowuje ich przyjaźń w tajemnicy, i to także jej się podobało. Ale rękawiczki stały się problemem. Kiedy wieczorem wróciła do domu, wsunęła je za pasek spodni, gdy wprowadzała rower przez furtkę. Zniosła rower do piwnicy i dopilnowała, żeby rękawiczki też tam zostały. Następnego dnia przyniosła je stamtąd i szybko wepchnęła do plecaka, żeby ich nie widział. Chciała je mieć dla siebie. Nie zorientowała się, że jedną zgubiła na schodach. Rękawiczka leżała tam, dopóki jej nie znalazłem i nie spytałem, czy to jej. Wtedy się zaczerwieniła. Później tego żałowała, przecież równie dobrze mogła powiedzieć, że sama je sobie kupiła. Ale między nami panowała pełna otwartość, od samego początku, a ona próbowała ukryć rękawiczki, żeby nie zacząć kłamać.

Od tego czasu nazywałem go Rękawiczka. Gdy pierwszy raz usłyszała to przyzwisko, zrobiło jej się przykro w jego imieniu. Ale kiedy powtórzyłem je kilkakrotnie, coś zaczęło się zmieniać, przyzwisko zabrzmiało z większą czułością, miało w sobie więcej serdeczności i pokory, jakbym nie tylko godził się z pojawieniem się Rękawiczki w jej życiu, lecz również znajdował w tym coś w rodzaju przyjemności płynącej z podporządkowania się. Potrafiłem położyć rękę na jej ramieniu i spytać:

– Wychodzisz dziś wieczorem z Rękawiczką czy masz ochotę wymyślić coś

ze mną?

Lekko się wzdrygała, słysząc moje słowa, niemal za każdym razem wpadała w pełne napięcia drżenie, które, jak wiedziała, jest wspólne dla nas obojga. Byliśmy razem tak długo i osiągnęliśmy taką elastyczność, iż wydawało nam się, że możemy dzielić się wszystkim.

Dlaczego się ze sobą związaliśmy? Kiedyś byłem młodym ojcem, trzymałem na ręku maleńkie dziecko, a ona się nachyliła i odezwała do mojego dziecka, zanim spojrzała na mnie. Jeszcze wtedy studiowała, miała zostać lekarką i odbywała krótką praktykę w gabinecie, do którego zgłosiłem się z córką. Siedziała u mojej stałej lekarki, wyszła po nas do poczekalni i po wejściu do gabinetu przywitała się z nami, najpierw z moim dzieckiem, a potem ze mną. Córka siedziała u mnie na kolanach i uśmiechała się ostrożnie do tej dorosłej pani, która tak naprawdę była bardzo młodą kobietą, o kilka lat młodszą ode mnie. Moja córka musiała się zorientować, że ja też poczułem się bezpieczny, bo usiadłem swobodniej. Puściła moje ręce i nachyliła się nad biurkiem, żeby popatrzeć na coś, co jej pokazywano. Na zniszczoną plastikową zabawkę, żółtą kaczkę czy podłużnego czerwonego psa, na coś, co jest we wszystkich gabinetach lekarskich, w których mogą pojawić się dzieci. Zabawka po naciśnięciu wydawała z siebie cienki przymilny pisk. Ona pamięta dłonie mojej córki zaciśnięte na czerwonym piesku. Oczywiście zapamiętałem to ja, ale wspominaliśmy o tym później, we wszystkich rozmowach analizujących nasze pierwsze spotkanie, i w ten sposób stało się to naszym wspólnym wspomnieniem. Moja córka była malutka, nie wiedziała nic o świecie dorosłych, łatwo nabrała zaufania do obcej osoby. A ja, jej ojciec, również nabrałem zaufania do siedzącej naprzeciwko nas kobiety. To było coś więcej niż zaufanie, ja się jej oddałem, bez zastanowienia, bez powstrzymywania czegokolwiek, już coś dostrzegłem albo uruchomiłem zdolność dostrzegania w niej czegoś, czego nie powinienem zobaczyć, takie odnosiłem wrażenie. Ale

co to było? Czy chodziło jedynie o to, że nasze spojrzenia się dotknęły i zatrzymały na nieco dłużej niż powinny? Czy coś wybuchło między nami, chociaż wcale tego nie chcieliśmy ani o tym nie wiedzieliśmy? A może już sobie kogoś szukałem i padło na nią, ponieważ umiała tak ładnie rozmawiać z moim dzieckiem? Czy to dlatego, że miała takie duże i wrażliwe oczy, a w głosie, kiedy rozmawiała z dzieckiem, pojawiały się czułość i łagodność? Pamiętam niewielki ciężar mojej córki, to, jak spokojnie, w poczuciu bezpieczeństwa, lekko i ciężko zarazem, siedziała na moich kolanach. Piesek miał długie czarne uszy, rączki mojej córki były miękkie i pulchne, zawsze odrobinę wilgotne.

I te dorosłe dłonie Timmy, całkiem mocne, z krótkimi paznokciami. Pogłaskała moją córkę po policzku i spytała, czy mogłaby otworzyć buzię. Otworzyła. Moja córka szeroko otworzyła buzię, trzymając w rączkach plastikowego pieska, czuła się całkowicie bezpieczna, gotowa była zrobić wszystko, o co zostanie poproszona, a Timmy nachyliła się i zajrzała w otwarte gardziółko. Migdałki były opuchnięte, od razu to zobaczyła. Na to istniały lekarstwa, a ona mogła je przepisać. Albo może nie mogła, przynajmniej formalnie, bo do zdobycia pełnego wykształcenia zostały jej jeszcze dwa lata. Ogarnęło mnie jednak przekonanie, że zajęła się moim dzieckiem, a jednocześnie zajęła się mną. Oboje czuliśmy się przy niej bezpieczni. Ona czuła się bezpieczna sama ze sobą i ze światem, dlatego bezpieczny czułem się przy niej i ja.

Takie spotkanie, krótkie i całkiem otwarte, takie rzeczy dzieją się wszędzie, przez cały czas. Wszyscy spotykają kogoś, w kim mogliby się zakochać, wszędzie. Całkiem nieoczekiwanie spoglądasz w twarz osoby, która patrzy na ciebie szczerze i poszukująco. Ta osoba ma w sobie coś, czego właśnie pragniesz, poczucie humoru, spokój, rozbawienie. Prawie nigdy się to nie składa, już jesteś z kimś, on czy ona też już jest z kimś i rozchodzicie się do

swoich spraw. Większość tych krótkich spotkań idzie w zapomnienie, ponieważ do niczego nie prowadzą. Wsiadasz do autobusu i spotykasz kogoś, z kim mógłbyś wziąć ślub, wasze spojrzenia lekko się muskają, ale nigdy więcej już się nie widzicie. Wsiadając z autobusu, spotykasz kogoś innego, z kim mógłbyś być bardzo szczęśliwy. Jedno z was uśmiecha się na próbę, drugie odwzajemnia uśmiech, ale za późno. Wszędzie są ludzie, którzy mogliby się ze sobą związać i którzy tego nie robią. Gdyby wszyscy wyciągnęli ręce do tej drugiej osoby, mało które małżeństwo przetrwałoby dłużej niż dzień czy tydzień, góra kilka miesięcy, no może dwa lata w wypadku tych, którzy byli bezradnie szczęśliwi razem. A tak w ogóle to szczęściu, oddawaniu się drugiej osobie zawsze towarzyszy pewna bezradność.

Ale ona wtedy już była z kimś związana. Uznała, że ja najwyraźniej także, przecież nie mogłem być sam z takim małym dzieckiem, samotny mężczyzna z dzieckiem to wielka rzadkość. Uścisnęliśmy sobie ręce, trochę formalnie, i popatrzyliśmy sobie w oczy z lekkim uśmiechem, chociaż odrobinę dłużej, niż to było konieczne. Potem wyszedłem z gabinetu z córeczką na rękę, a gdy już znaleźliśmy się w holu, moje spojrzenie dotknęło jej oczu jeszcze raz. Nie spodziewała się tego, zrobiło to na niej wrażenie, wydawałem się taki spokojny, ciepły i pełen życia, a nie wiedziała, że to dzięki niej. Nie rozpoznała własnego zaufania, kiedy powróciło do niej tak silnym rykoszetem.

Bliskość, spokój, zapowiedź czułości.

Lubiła być blisko mnie, ponieważ ja lubiłem być blisko niej. Obserwowała, jak delikatnie zamykam drzwi do jej gabinetu. Słyszała nasze głosy na korytarzu. Cieniutki głos dziecka nagle rozległ się donośnie i wyraźnie, pozbawiony wszelkiego zawstydzenia. Usłyszała, jak moja córka mówi, że ta pani była miła, usłyszała też, jak całkiem młody ojciec spokojnym głosem odpowiada swojemu dziecku. Zrozumiała, że się zgodził z córką.

To już wszystko, nie trwało to długo. Moja córka była jej pierwszą pacjentką. Później żadne z nas nie potrafiło sobie przypomnieć, czy moja stała lekarka była wtedy obecna, raczej powinna, ale w naszej historii naszego pierwszego spotkania nie uczestniczył nikt inny oprócz dziecka. Kilka krótkich minut prostej wymiany sympatii i życzliwości. W normalnych okolicznościach natychmiast byśmy o sobie zapomnieli. Timmy ciągle była studentką, podobnie jak ja. Poza tym pisałem, chciałem pisać, chciałem zostać dziennikarzem, autorem wnikliwych artykułów na przeróżne tematy. Najchętniej dziennikarzem zajmującym się nauką, dlatego chodziłem na rozmaite wykłady, niezwiązane z moim kierunkiem studiów. W ten sposób znów się spotkaliśmy. Uczestniczyliśmy w tym samym cyklu wykładów, mogły dotyczyć medycyny społecznej, dziedziny, która tak ją interesowała. A mnie, zdaje się, interesowało wszystko. Ona od razu mnie rozpoznała.

Albo nie. Rozpoznała mnie, ale nie umiała stwierdzić, skąd mnie zna. Ja obserwowałem wszystkich, jawnie odwracałem się za każdym, jakby skrywał jakąś tajemnicę, a ja pragnąłem dostąpić wtajemniczenia, jakby wszyscy inni oprócz mnie wiedzieli, jak należy przeżyć życie. Jedna z tych twarzy, w pełni otwarta, uważna i wielkooka, trochę zdziwiona i zainteresowana, przeszła obok mnie podczas przerwy, rzuciła mi słowa pozdrowienia, a ja odpowiedziałem. Trochę niepewnie, bo też nie mogłem się zorientować, kim ona jest. Ale się uśmiechnąłem, zobaczyła, że się ucieszyłem, najwyraźniej skojarzyłem ją z czymś przyjemnym. Wtedy przypomniała sobie, skąd mnie zna, a ja w tym samym momencie również to wiedziałem. Chwilę później zaczęliśmy ze sobą rozmawiać.

To była długa rozmowa, trwała blisko dwadzieścia lat. Na początku czekałem na nią przed zajęciami albo po. Byłem tym facetem, z którym zaczęła rozmawiać, tym w wymiętych koszulach, tym w znoszonej kurtce, w której na końcach rękawów puściły szwy i nitki zwisały na dłonie. Ten rodzaj

niedbałości mógł ją pociągać. Poza tym interesowałem się nią i tym, co wiedziała, czego nauczyła się na studiach. Słuchałem, jak tłumaczy świat sobie i mnie. Z daleka rozpoznawała mój uśmiech i moje chude ramiona. Chodziłem z podniesioną głową, z wyciągniętą szyją, żeby przypadkiem coś mnie nie ominęło. Czekałem na nią, podchodziła do mnie i dalej szliśmy razem.

Wkrótce zaczęliśmy umawiać się na spotkania, długo spacerowaliśmy ulicami. Byłem żonaty, miałem małe dziecko, a mimo to ciągle chciałem być z Timmy, zawsze. Często przychodziłem z wózkiem, a pewnego dnia ona zaczęła śpiewać mojemu dziecku. Kołysankę, której nauczyła się od ojca, o chłopczyku siedzącym na szczycie góry i grającym na rogu, na kozim rogu. Kiedy razem zamieszkaliśmy, stale śpiewała ją mojej córce, później przez całe lata dwóm naszym synom, a potem nagle przestała ją śpiewać, przynajmniej ja już tego nie słyszałem.

Opowiedziała mi o swoim dzieciństwie, o tym, skąd pochodziła, kim była jako dziecko. Zrewanżowałem się tym samym. Mówiłem o drzewach i ptakach, o znaczeniu wszystkiego, o życiu, o tym, jak widzę je w marzeniach. Ona opowiadała o swoich studiach. Mówiliśmy sobie, jakie potrawy gotujemy, co myślimy o polityce, o płci i o wychowaniu dzieci. Oboje mieliśmy wyznaczone cele, coś w nas wiedziało, czego chcemy od siebie, i to na długo, zanim sami to zrozumieliśmy. Moja córka zaczęła ją rozpoznawać.

Któregoś przedpołudnia wyszliśmy razem, Timmy nie miała zajęć, ja zajmowałem się córką. Prowadziłem wózek, ona szła obok mnie, a moja córka spała. Usiedliśmy na ławce. Odwróciłem się do niej. Wiedziała, co powiem, zanim to wypowiedziałem. Wiedziała, że te słowa padną, a mimo to nie wiedziała, ale nie miała najmniejszych wątpliwości, kiedy zacząłem mówić:

- Pomyśl, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi.
- Oczywiście, że moglibyśmy, przecież już nimi jesteśmy.
- Mam na myśli – bardzo dobrymi przyjaciółmi.

– Ja też mam to na myśli.

Coś się stało z moją twarzą, za bardzo się zbliżyłem, aż musiała się odwrócić, ale mimo to powiedziałem:

– Miałem na myśli coś więcej niż przyjaciółmi. Zakochałem się w tobie.

Była przed trzydziestką, ja trochę po trzydziestce, nasze życie ciągle miało się dopiero zacząć. Miała zostać lekarką, ja ledwie zacząłem być dziennikarzem. Pracowałem jako wolny strzelec dla tygodników i liczyłem na jakieś stałe zajęcie. Pochodziliśmy z rodzin, w których do tej pory nikt nie miał wyższego wykształcenia. W naszych rodzinach byli chłopci z małych gospodarstw i rybacy, marynarze i niżsi rangą urzędnicy, rzemieślnicy i niewykwalifikowani robotnicy. I ona, i ja stanowiliśmy element ogólnego podnoszenia poziomu społeczeństwa, rzuciliśmy się w wir studiów z oczywistością, której być może sami nie zauważyliśmy, umożliwiły nam to dziesięciolecia rosnącej zamożności kraju. Już od dość wczesnych lat szkolnych oboje, każde z osobna, rozpoczęliśmy inny rodzaj nauki, zajęliśmy się ćwiczeniami w robieniu kariery w miłości, w związkach z innymi, we współżyciu z innymi, w oddaniu drugiej osobie, umożliwiającym przetrwanie wszystkiego. Ona już od trzynastego roku życia chodziła z chłopakami, ja zacząłem trochę później. Kiedy wreszcie się spotkaliśmy, oboje mieliśmy za sobą serię związków, każde z nas już z kimś mieszkało, a ja w dodatku miałem dziecko i byłem żonaty. Wszystko to teraz okazało się jedynie przygotowaniem, częścią wykształcenia. Nareszcie trafiliśmy na siebie. Dotknęliśmy się, objęliśmy, jedna twarz zbliżyła się do drugiej, usta się otworzyły: całowaliśmy się. Wsunąłem jej język do ust, była zaskoczona, pojawił się tak nagle, taki gładki, ale powitała go swoim językiem. Nieprzerwany pocałunek ze stykającymi się językami trwał minutę albo dłużej, w końcu odsunęliśmy twarze od siebie i spojrzeliśmy na siebie od nowa, nowymi oczami. Teraz już byliśmy my dwoje.

Wydaje jej się, że pamięta dźwięk naszych głosów, musiały być łagodne,

otwarte. Dostosowały swoje tony i dalej rozmawialiśmy, dość cicho, ciszej, niż zazwyczaj mówiliśmy do innych. Brzmiało to ciepło, ciut dziecinnie, intymnie. Odnaleźliśmy tembr i natężenie głosów, które stały się nasze, nie używaliśmy ich wobec nikogo innego. Długo siedzieliśmy na tej ławce, całując się i obejmując. Poczula moje ręce pod ubraniem. Szybko posuwałem się naprzód, wcześniej czegoś takiego nie doświadczyła, bo już po pierwszym pocałunku pogładziłem dłonią jej talię, dotknąłem nagiej skóry.

Moja córka się obudziła. Leżała w spacerówce z kocykiem narzuconym na budkę, zasłaniającym światło, a teraz nagle ściągnęła kocyk i popatrzyła na nas. Takim spokojnym i otwartym spojrzeniem, jakie miewają tylko małe dzieci. Miała dwa lata, okrągłą, bladą zaspaną buzię, usiadła w wózku i zapytała:

– Co robisz, tatusiu?

Ona to sobie teraz przypomina, wspomnienie odżywa pewnego wieczoru, kiedy wychodzi się przejść. Nie myślała o tym od wielu lat, ale teraz już pamięta głos dwulatki, zachrypnięty od snu, leciutki. Cienki głosik miękko i nieświadomie przeniknął w to życie, które my dwoje już zaczęliśmy razem budować.

Oto jak zostaliśmy parą: poszedłem do domu i zerwałem z matką dziecka, tą, z którą ożeniłem się zaledwie dwa lata wcześniej. Z matką mojego dziecka, która miała stać się „tą, z którą byłem wcześniej żonaty”: była wtedy bardzo młodą matką, nazywałem ją Słodką Trawą. Potem mówiłem o niej Smutny Miód, a jeszcze później stała się Ślepym Ostem. Nigdy jednak nie wiedziała o żadnym z tych określeń, nigdy nie wypowiedziałem ich na głos. Musiała mimo wszystko wyczuć różnicę. Jednego dnia byliśmy ona, ja i nasze malutkie dziecko. Nigdy nie miało być nikogo innego, no może jeszcze jedno dziecko, tak się mogło stać, stałoby się, gdybyśmy się nie rozstali. Ona zajmowała się muzyką, grała na gitarze, śpiewała, pisała własne piosenki. Właśnie zaczęła

się z tego utrzymywać, ledwo, ledwo, ale jakoś się udawało. Później przyszedł czas, kiedy żyło jej się z tego całkiem dobrze, mnie już wtedy nie było w jej życiu. Jeszcze później została nauczycielką i całkiem rzuciła granie. Wówczas nasza córka nareszcie dorosła i przestała być rozdarta między rodzicami, którzy ze sobą nie rozmawiali.

W pewien majowy czwartek zaczęło się to, co w moich oczach miało zmienić Słodką Trawę w Smutny Miód, a później w Ślepy Oset. Siedziała z gitarą, wydawało się, że przez cały dzień może grać te same akordy. Kiedy wszedłem, spojrzała na mnie jednym okiem, drugie miała przymknięte, często tak spoglądała, bo jakaś choroba jednej źrenicy zmuszała ją do jednookiego patrzenia na świat, jakby światło zawsze było za mocne. Całe życie przygotowywała się na złe wieści, na osobiste katastrofy, ale nie na takie, które nastąpią z mojej strony. Byłem tym, który miał z nią wytrzymać, tym, który miał umożliwić jej poranne wstawanie, ubieranie się, uczesanie i niedokładne maźnięcie warg szminką przed wyjściem z domu. To ja byłem ojcem jej dziecka. Ojcem cudu. Właśnie z jego powodu nabrałem dla niej większej wartości, niż miałem wcześniej. Zrobiło się nas troje. Ona i ja mieliśmy pilnować dziecka i siebie nawzajem za każdym razem, kiedy świat zaczynał się niebezpiecznie przechylać. A to się światu zdarzało często, zarówno w jej postrzeganiu, jak i w moim, bez widocznego powodu.

Ale teraz przyszedłem do domu, do niej, z naszym dzieckiem na rękę i oświadczyłem, że już z nią nie będę. To nie miało sensu. Niemożliwe, żebym stał z naszym dzieckiem na rękę i mówił, że to już koniec. Koniec między nami nie mógł nastąpić, byliśmy ze sobą związani żywym ciałem. A mimo to przyszedłem do domu i oświadczyłem: *Muszę z tobą porozmawiać*, tonem wieszczącym zagładę i śmierć.

* * *

Ale czy na pewno tak zrobiłem? Czy właśnie tak to sobie wyobrażała później Timmy, ta, która została moją nową ukochaną, jeszcze zanim zerwałem z poprzednią? Po naszym pierwszym pocałunku spotykaliśmy się z Timmy codziennie. Chodziliśmy razem na spacer i przesiadywaliśmy na ławkach. Któregoś dnia siedzieliśmy w parku i rozmawialiśmy, tak jak rozmawiają świeżo zakochani. O drzewach, o dzieciństwie, o tym, jak należy postępować z wrażliwą skórą, o filmach w kinie i o pochodzeniu języka. Wypróbowywaliśmy się niepewnie, ponieważ się nie znaliśmy, ale postanowiliśmy wierzyć, że znamy się lepiej niż ktokolwiek inny, poza tym nasze ciała lgnęły ku sobie, w ten sposób osiągnęliśmy bliskość, która swoją promiennością zdawała się przesłaniać wszystko inne. Potem moja córka się obudziła. Wolnym krokiem wracałem z nią do domu, a Timmy odprowadziła mnie kawałek. Wręcz groteskowym zrzędzeniem losu ta, z którą byłem żonaty, spotkała nas na ulicy. Szedłem z wózkiem, nasze dziecko leżało w nim ze swoją bladą niewinną buzią i wpatrywało się we mnie, w nas, w drzewa, w domy i w niebo. Obok mnie szła Timmy, której już się oddałem. Timmy trzymała mnie za rękę albo za ramię, identycznie jak matka mojego dziecka zaledwie kilka dni wcześniej. Zobaczyła nas przy wózku, rozmawiających ze śmiechem. Nie zauważyliśmy jej, dopóki do nas nie podbiegła, nie wyrwała mi wózka i nie zaczęła krzyczeć.

* * *

Spójrzcie na tych dwoje, którzy się w sobie zakochali, tak gwałtownie i bezradnie: na bardzo młodą kobietę i bardzo młodego ojca. Spójrzcie też na młodą matkę, którą właśnie porzuca jej młody mąż, spójrzcie, jak wyrывa wózek i biegiem z nim ucieka. Została zdradzona w najstraszniejszy sposób, teraz zostało jej już tylko dziecko. Nie odda go. Dziecko leży w wózku i o niczym nie wie.

Tak zaczął się rozwód, o którym Timmy jedynie słyszała ode mnie. Gniewne próby rozmów dwojga ludzi, którzy wcześniej byli parą, a teraz już mieli nią nie być. Teraz mieliśmy się od siebie oderwać, zmuszeni byliśmy opisywać drugiej osobie nasz ból, zdradę i rozczarowanie, a także powody tej zdrady i rozczarowania, nawet kiedy nie mieliśmy pojęcia, jakie one naprawdę są.

Osoba, która zostaje porzucona, bezradnie przywiązuje się do tej, która porzuca. To nie był jej wybór. Głośno krzyczy, przeklina mnie, cicho i boleśnie płacze. Nie może spać, nie jest w stanie usiedzieć spokojnie, ciężko oddycha. Myśli o tym, że chce umrzeć. Albo że chce żyć dalej, lecz tylko razem ze mną. Dzwoni do mojej nowej ukochanej i krzyczy do słuchawki. Dzwoni do wszystkich znajomych, rozmawia ze wszystkimi, w nocy i w dzień, poprzez te rozmowy usiłuje zrozumieć, co się wydarzyło, jak to się mogło tak nagle odwrócić, bez najmniejszego ostrzeżenia. Ode mnie nie dostaje pomocy. Nie chcę rozmawiać, nie mam odwagi, nie mam siły. Podjąłem decyzję, chcę odejść od tego życia, którym żyłem, które, jak nagle sobie uświadomiłem, jest nie do wytrzymania. Uważam, że nie muszę się tłumaczyć. Już oddałem się innej, a ta nowa miłość, którą znalazłem, spójrzcie, ona wszystko inne zaciera. Prawie wszystko, bo nie zaciera mojego dziecka, ale rezygnuję z możliwości widywania córki codziennie. Tłumaczę sobie i całemu światu, że nie ma innego wyjścia, wybieram tę nową miłość i w taki oto sposób porzucam wszystko, co było.

Każdy, kto chce, może znaleźć powody, dla których młoda para nie jest w stanie dłużej ze sobą wytrzymać. Byliśmy zbyt różni od siebie albo zbyt do siebie podobni. Było za mało albo za dużo czułości. Byliśmy za młodzi, aby znać samych siebie i siebie nawzajem. Byliśmy zbyt wrażliwi, różną wrażliwością, i staliśmy się niewrażliwi na wrażliwość tej drugiej strony. Ta, którą potajemnie zacząłem nazywać Ślepym Ostem, rozmawia ze wszystkimi

znajomymi, a oni próbują jej pomóc w wyjaśnieniu, jak to się mogło stać. Ale tylko ja mogę jej to wytłumaczyć, a nie wiem, co mówić. Po prostu poznałem inną i teraz wolę tamtą, tę drugą.

Tak łatwo i tak nagle, jak wtedy, kiedy pęka przetarta lina. Ale to nie była żadna lina, i wcale nie przetarta. Między nami musiała istnieć czułość, musiały istnieć zażyłość i zaufanie. Musiała istnieć dobroć dwóch ciał dla siebie nawzajem. Lojalność i obietnica wspólnej przyszłości. A jednak przepadło to w mgnieniu oka i wydawało się, że tej zażyłości, zaufania i dobroci w ogóle nigdy nie było. Bo czy właściwie można sobie wyobrazić dobroć, która nie trwa? Czy to mogła być dobroć, skoro nie przetrwała?

Pewnego dnia zadzwoniła do mnie ta, która została tak bezwzględnie zdradzona, i oznajmiła:

- Chcę ci tylko coś powiedzieć.
- Chyba nie ma już za bardzo nic do powiedzenia.
- Owszem, jest, nie masz nawet pojęcia ile. Ale nie chcesz mnie słuchać, więc się poddam. Dlatego powiem ci tylko jedną, ostatnią rzecz. A mianowicie, że mam nadzieję, że któregoś dnia sam to przeżyjesz. Z całego serca mam nadzieję, że zostaniesz porzucony w dokładnie taki sam sposób, jak porzuciłeś mnie.

To była ostatnia rzecz, jaką miała mi do powiedzenia. Oczywiście nie ostatnia, jaką powiedziała, ale ostatnia, która zawisła między nami. Później przez wiele lat potrafiłem przywoływać to zdanie i głos, którym zostało wypowiedziane, pełen podnieconego, rozedrganego, wydobywającego się małymi porcjami powietrza, agresywnymi, urażonymi i zrozpaczonymi, wyczuwałem szloch w jej oddechu poprzez to, co mówiła, wykorzystywała całe powietrze, jakie jeszcze jej zostało, do wypchnięcia precyzyjnie wyważonych dźwięków, którymi pragnęła mnie urazić. Uznałem to za coś w rodzaju groźby, przysięgi, której sama nie jest w stanie spełnić, ale miała nadzieję, że zajmie się nią ktoś

inny. Miałem to przeżyć, również miałem zostać porzucony, miałem stracić jedyną osobę, którą darzyłem zaufaniem, dokładnie tak, jak ona doświadczyła, miałem stać się tym, którego ktoś już nie chce. Życzyła mi tego, a powody nietrudno było zrozumieć, nawet mnie.

Odepchnąłem to, powiedziałem sobie, że nie mogę z tym nic zrobić. Ale nie zapomniałem. To powracało, wielokrotnie, jeszcze długo po tym, jak przestaliśmy się znać. Powracało niczym piosenka, piskliwa i zła, rozlegała się w mojej głowie, kiedy się budziłem o wpół do czwartej nad ranem i nie mogłem zasnąć. Ale przecież już istniała piosenka mówiąca właśnie o tym, i to niejedna, słyszałem je i miałem ciągle je słyszeć, *further on up the road. Just you wait and see. Someone's gonna hurt you like you hurt me*³. Kawalek dalej na drodze. Kawalek dalej w życiu, w tym życiu, którym, jak sądzisz, będziesz teraz żył. Przekonasz się. Wydaje ci się, że się wywiniesz, ale to już na ciebie czeka. Ktoś cię zrani, tak jak ty zraniłeś mnie. Właśnie taką miała nadzieję. To chciała mi przekazać. *Further on up the road*. Właśnie te słowa śpiewała dla mnie, we mnie, jeszcze długo po tym, jak przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Ale ja nie chciałem słuchać tej piosenki, zresztą dlaczego miałbym jej słuchać?

Timmy nie musiała się do tego odnosić. Zerwała ze swoim chłopakiem. Jej poszło łatwiej. Chociaż kto właściwie może powiedzieć, że łatwo jest od kogoś odchodzić? To było trudne, prawie nie do zniesienia, nigdy nie jest łatwe, dla nikogo, no ale mimo wszystko minęło. On płakał, płakali oboje, odbyli kilka bolesnych rozmów i było po wszystkim.

Kiedys podjęła decyzję, kim zostanie. Będzie sama dawać sobie radę. Będzie sobie dawać radę również z innymi i nigdy nie będzie potrzebować pomocy. Nocami, gdy wciąż jeszcze spała sama, zdarzało jej się budzić i myśleć o tym, kim jest, a kim mogłaby być. Związała się ze mną i teraz miało zacząć się

życie, nasze życie, to życie, które miało się rozpostrzeć i przesłonić wszystko inne, co zrobiliśmy. Każdego wieczoru kładliśmy się do łóżka nadzy i pełni zapachu, jakbyśmy nigdy wcześniej nie leżeli nago z nikim innym.

Zamieszkaliśmy razem, najpierw w jednym mieszkaniu, potem w innym, większym, a później w trzecim, jeszcze większym. Kupiliśmy łóżko dla siebie i łóżko dla mojej córki, później kupiliśmy łóżka dla naszych wspólnych dzieci. Kupiliśmy krzesła i stół, powiesiliśmy obrazy, rozłożyliśmy dywany i kupiliśmy samochód. Budowaliśmy byt, nabywaliśmy przyzwyczajęń, to działało się samo z siebie. Wypisywaliśmy nasze imiona na wizytówkach na drzwiach i na skrzynkach na listy, jedno pod drugim. Należeliśmy do siebie. Słuchaliśmy tego samego i rozumieliśmy to samo, nie dosłyszeliśmy tego samego i nie rozumieliśmy tego samego, stawaliśmy się ślepi w taki sam sposób, naśladowaliśmy wzajemnie swoje dobre strony. Braliśmy nawzajem siebie i to, co ze śmiałym optymizmem ofiarował nam świat. Dług się zwiększył, ale bank wprowadził nową praktykę, dobrzy klienci nie musieli już spłacać rat, tylko same odsetki, dług miał się nigdy nie zmniejszyć, płaciliśmy bankowi tylko tyle, ile go kosztowało pożyczenie nam pieniędzy. Może później przyszłoby nam spłacać sam dług, a może nigdy by do tego nie doszło, wszystko przecież miało dalej trwać, większość ludzi miała zarabiać z każdym rokiem coraz więcej, więc my też, nasza sytuacja finansowa miała się umacniać, egzystencja miała się umacniać, podobnie jak miłość, radość, zwątpienie, wszystko. Wychodziliśmy razem rano, po południu razem wracaliśmy do domu, siedzieliśmy przy stole, chodziliśmy po podłogach, leżeliśmy w łóżkach. Nasze głosy rozlegały się w pokojach, zawsze.

Tylko jedno nigdy nie mogło się zdarzyć. Od czasu do czasu o tym myślałem, niezbyt często, ale w ciągu tych wszystkich lat naszego wspólnego życia dziesięć albo dwadzieścia razy przeniknął mnie chłód, jakbym wpadał do otchłani, i za każdym razem paraliżowało mnie to, jakby groziło nam wielkie

nieszczęście. *Further on up the road. Just you wait and see. Someone's gonna hurt you like you hurt me.* I przy rzadkich, lecz mimo wszystko znaczących okazjach, kiedy miałem pomyśleć jakieś życzenie, chociaż w to nie wierzyłem, lecz mimo wszystko traktowałem bardzo poważnie, na przykład kiedy ja i któreś z naszych dzieci jednocześnie wypowiedaliśmy to samo słowo – musiałem wtedy zahaczyć swoim małym palcem o mały palec dziecka i oboje musieliśmy pomyśleć jakieś życzenie, a tego życzenia nigdy nie wolno było wypowiadać na głos, nikomu – wtedy nieodmiennie życzyłem sobie, abyśmy Timmy i ja zawsze byli razem i nikt nas nie rozdzielił. Musiałem zatem się tego bać, mimo wszystko bać się bardziej niż czegokolwiek innego, prawda? Zachowywałem ten lęk dla siebie, ba, nawet bardziej, ukrywałem go przed samym sobą, wypuszczałem go z siebie jedynie przy tych w sumie dość zabawnych sytuacjach.

Powiedziałem kiedyś, że żyję tak, jakby moje życie odbywało się przed jej obliczem. Trochę się wtedy wystraszyła. To ze mną budziła się i zasypiała, ze mną prowadziła te wszystkie długie rozmowy, aż do czasu, kiedy już tego nie robiła. Po południu wracałem do domu z pracy, z jednej czy drugiej, przez pierwsze lata dostawałem jedynie drobne zlecenia w niedużych gazetach. Najpierw siedziałem w pracy i pisałem, potem wracałem do domu i kontynuowałem pisanie przez cały wieczór. Stale był jakiś artykuł, którego nie udało mi się skończyć, coś mi nie poszło, coś musiałem poprawić. Często wstawałem w nocy, żeby pracować, podczas gdy ona i dzieci spali. Budziłem ją rano, sam nie śpiąc już od kilku godzin. Budziła się, kiedy kładłem się przy niej, kiedy kładłem się na niej. Budziła się na dźwięk mojego głosu, budziła się, ponieważ mówiłem o niej, o nas, o naszej miłości, bez której nie dałbym sobie rady.

Na zewnątrz nasze życie się zmieniło: urodziły nam się dzieci, najpierw jeden chłopczyk, potem drugi. Dwóch synów, urodzonych w odstępnie pięciu

lat. Zaczęła pracować jako lekarz ogólny w przychodni, ja dostałem etat w większej gazecie. Dzięki temu nareszcie stałem się tym, kim zawsze pragnąłem – dziennikarzem pracującym w redakcji. Miałem własne biurko i własny komputer, chodziłem na poranne odprawy razem z innymi dziennikarzami i naczelnymi. Na zewnątrz wszystko mi się układało. Pisałem artykuły czytane przez wielu ludzi, dzięki nim stałem się znany w pewnych środowiskach. Dostałem stanowisko kierownicze, dobrze sobie na nim radziłem. Ale coś z tą pracą nie grało, albo z rolą, którą, jak sądziłem, musiałem na siebie przyjąć jako dziennikarz. Przez pewien czas chodziłem do pracy w garniturze, w ciemnym garniturze i koszuli, nikt wprawdzie tego ode mnie nie wymagał, ale potrzebowałem czegoś w rodzaju ochrony, takie wyjaśnienie ode mnie usłyszała. Pozbywałem się tego stroju zaraz po wejściu do domu, zdejmowałem ubranie wiążące się z pracą, żeby znów być sobą. A potem, kiedy poszedłem na urlop wychowawczy, aby zająć się naszym młodszym synem, rynek gazet zaczął się załamywać. Wielu tych, z którymi pracowałem, zatrudniło się jako konsultanci do spraw informacyjnych i rzecznicy prasowi. Jak inni koledzy dostałem propozycję jednorazowej odprawy, przyjąłem ją i znów stałem się wolnym strzelcem. Dalej zajmowałem się naszym młodszym synem, nie staraliśmy się o miejsce w przedszkolu, dopóki nie skończył trzech lat, a później też zostałem w domu. Napisałem książkę dla dzieci, która została wydana, sprzedała się całkiem nieźle, więc napisałem kolejną, a wkrótce i Timmy, i dzieci przywykli do tego, że jestem w domu, siedzę i piszę.

Ona później myśli, że coś się w tym czasie zmieniło. Kiedy wracała z pracy do domu, zawsze tam byłem, razem z dziećmi. Wracała już nie tylko do domu, nasze pokoje stały się czymś w rodzaju rozszerzenia mojego wewnętrznego życia. Byłem tam ja i dzieci. Czekaliśmy na nią. Szykowałem obiad, utrzymywałem porządek w ów pedantyczny sposób, do którego nigdy nie

przywykła. Ale bardziej też interesowałem się nią. Może po prostu miałem więcej czasu na myślenie, dużo przebywałem sam i mogłem rozmyślać o wszystkim. Opowiadałem jej, że w ciągu dnia potrafiłem siedzieć i myśleć o tym, jak dzieci sobie radzą w szkole, czy chodzić po domu i myśleć o tym, co ona albo ja powiedzieliśmy lub zrobiliśmy dzień wcześniej. I najwyraźniej przez to wszystko stała się dla mnie jeszcze ważniejsza niż kiedyś. Nie rozumiała tego. Chciałem rozmawiać z nią o wszystkim, czym się zajmowała, o wszystkim, o czym myślała. Może miało to związek z moim pisaniem. Sam mówiłem, że od przebywania w samotności i od pracy, która umożliwia mi przeniknięcie do głębi, staję się wrażliwszy. I może rzeczywiście rosła we mnie ogólna wrażliwość – jeśli w ogóle można mówić o czymś takim – ponieważ miała możliwość wzrostu, odkąd zacząłem analizować rozmaite uczucia we mnie samym, żeby je wykorzystać w pisaniu, i może właśnie dlatego jej znaczenie dla mnie również zaczęło rosnąć – ponieważ wszystko, co było dla mnie ważne, stało się jeszcze ważniejsze niż kiedyś? Trochę jej to zamąciło w głowie. Owszem, mój podziw jej schlebiał, ale zawsze miała do mnie wyjątkową słabość w tych okresach, kiedy mało przebywałem w domu, kiedy zajmowały mnie inne sprawy i brakowało mi czasu na myślenie o niej.

Ale cieszyły mnie te dni spędzane w domu, mówiłem, że zaczynam być sobą. Przyjąłem tę odprawę w ostatniej chwili, bo gdybym dalej pracował w gazecie, straciłbym kontakt z tym, co w sobie najbardziej lubiłem. Ona mnie słuchała, ale uważała, że praca w jakimś środowisku, z innymi ludźmi, dobrze mi robiła, stawałem się twardszy. Chciała, żebym miał przeciwwagę, inną perspektywę. Lubiła być ze mną, gdy pracowałem w gazecie. To bardziej przypominało jej życie.

Teraz chciałem po prostu słuchać o wszystkim, co się z nią działo. Pracowała dużo, zaczynała jej się udawać to, co sobie zaplanowała. Zrobiła specjalizację, potem doktorat, no i zaczęła pracować w Głównym Urzędzie do

spraw Zdrowia, została naczelnikiem wydziału, odpowiedzialnym za badania dotyczące kwestii zdrowia publicznego. Rodzinie i przyjaciołom powtarzała zwykle, że idziemy w przeciwne strony. Ona opuściła pacjentów, wszystkie jednostkowe przypadki, małe dzieci, emerytów i młode dziewczyny z określonymi i nieokreślonymi dolegliwościami, ponieważ chciała zajmować się całym społeczeństwem, uczestniczyć w wywieraniu wpływu na sytuację decydującą o życiu wszystkich. A ja po prostu siedziałem teraz w domu. Pisałem krótkie historyjki o dzieciach podobnych do tego dziecka, którym sam byłem lub którym mogłem być, pojedyncze opowiadania o wyjątkowych przypadkach, emocjonalnych prawdach, nic więcej.

Mieliśmy za sobą pierwszą fazę – wczesny etap zakochania – podczas której częściowo mieszkała z nami moja córeczka, a przez resztę czasu byliśmy zakochaną parą pozostawianą samej sobie. Długie przedpołudnia spędzaliśmy w łóżku, oddani badaniom swoich ciał w poszukiwaniu rozkoszy. Później nastąpiła faza nowego budowania, z malutkimi dziećmi, z kaszką rozsmarowaną na blacie, z ubrankami suszącymi się nad wanną. A teraz dzieci były już większe i w rozmowach przy stole pojawiało się więcej głosów. Ona i ja coraz rzadziej pozostawaliśmy tylko we dwoje.

Oprócz nocy, w łóżku. Tam wiedliśmy swoje sekretne życie, o którym nie rozmawialiśmy z innymi, w ciemnym tunelu biegnącym na przetrzał dni. Na zewnątrz, w świetle wykonywaliśmy swoją pracę, pielęgowaliśmy kontakty towarzyskie z przyjaciółmi, którzy niemal bez wyjątku mieli dzieci w tym samym wieku co nasze. Chodziliśmy na zebrania rodziców, zakupy robiliśmy w piątki, płakaliśmy, kiedy coś okazywało się za trudne, oglądaliśmy wiadomości, prowadziliśmy fachowe dyskusje w swoich środowiskach. Odwoziliśmy dzieci na trening (ona) albo chodziliśmy z nimi do biblioteki (ja). Zaczęła trenować, ja zaangażowałem się w działalność organizacji ekologicznej. Lepiej nam się powodziło, wypełniliśmy program naszej rodziny

tak, że upodobniliśmy się do wszystkich innych. Popołudnia, weekendy, ferie: układaliśmy plany i realizowaliśmy je najlepiej, jak potrafiliśmy, pakowaliśmy samochód i znów go rozpakowywaliśmy, wołaliśmy dzieci, żeby oderwały się od gier komputerowych. Nasze życie było podobne do życia wszystkich innych, przynajmniej z wierzchu, a to dawało nam poczucie przynależności i pozwalało odpocząć. Ale tym, co nas ze sobą wiązało i co stanowiło o ciągłości w naszym życiu, było owo sekretne życie, to, które dotyczyło tylko nas dwojga i które nazywaliśmy naszą miłością.

To musiała być miłość, bo co innego mogłoby to być? W dodatku wielka miłość, nadzwyczaj wielka, wszechogarniająca miłość, to musiała być ponadprzeciętna bliskość, wspólnota i przyciąganie. Inaczej nie byłaby warta mojego rozwodu, rozstania z dzieckiem, którego nagle nie mogłem widywać częściej niż co drugi tydzień, a początkowo nawet tyle nie. Kiedy zakochałem się w Timmy, moja córka miała dwa lata. Jak mogłem tłumaczyć tę zdradę sobie czy swojej córce, kiedy dorośnie, gdyby ów przełom w naszym życiu nie nastąpił właśnie z powodu nadzwyczaj wielkiej i przesłaniającej wszystko miłości?

Kiedy się ze sobą związaliśmy, nie mieliśmy żadnych wspólnych przyjaciół. Świeże pary na ogół ich nie mają. Moi dawni przyjaciele musieli wybrać, czy zaakceptują to, że odszedłem od swojej dawnej ukochanej, ponieważ zakochałem się w innej. To samo dotyczyło jej przyjaciół. Wielu dawnych znajomych odnosiło się do nas podejrzliwie. Trudno się im dziwić, oboje przecież pozwoliliśmy, by przypadkowy flirt zniszczył to życie, które już sobie stworzyliśmy. Kto nie słyszał o mężczyznach – zwłaszcza o mężczyznach – lub kobietach zakochujących się po uszy, niszczących to, co mają, aby później dojść do wniosku, że ten nowy związek był jednak pomyłką, tymczasowym erotycznym zaślepieniem? Takie zauroczenia w większości nie prowadzą do trwałych związków. Byłem trzydziestoletnim młodym ojcem,

który zakochał się w młodej lekarce leczącej jego dziecko z powodu bólu ucha. Timmy była młodą lekarką, która zakochała się w ojcu leczonego przez siebie dziecka. Jeszcze zanim zdobyła pełne wykształcenie, złamała jedną z najważniejszych niepisanych zasad obowiązujących wśród tych, którzy leczą innych. Jak ktoś mógł uwierzyć, że to, co nas połączyło, zdoła przetrwać?

Leżeliśmy razem w łóżku, nadzy i spoceni, w pokoju roznosił się zapach fizycznej miłości, rozmawialiśmy o tym, jak będzie wyglądało nasze życie. Powtarzaliśmy sobie, że kiedyś będzie z tego dobra opowieść. Na razie nasze zakochanie układało się w złą opowieść, na razie był to jedynie trwający kilka wiosennych miesięcy nieostrożny flirt, który zniszczył życie naszym poprzednim partnerom, mojemu dziecku i naszym rodzinom. Jedynie my dwoje wierzyliśmy w nas dwoje. Ale do zadania podeszliśmy poważnie. Tworzyliśmy złą opowieść, która powoli, właściwie niepostrzeżenie, zmieniała się w dobrą, w miarę jak mijały lata i nasza miłość stawała się pozornie jedyną istniejącą w naszym życiu, przynajmniej dla naszych dzieci, a z czasem również dla wszystkich innych. Nasza miłość okazała się jedyną możliwością, jedyną odpowiedzią dla niej i dla mnie, tak to wyglądało po kilku latach. Czy właściwie da się żyć z drugim człowiekiem przez kilkadziesiąt lat, nie wierząc, że to jedyna możliwa osoba, z którą można żyć? Wiedzieliśmy, że możliwe jest inne życie, że są inni możliwi partnerzy, może nawet to życie i ci partnerzy są lepsi, również dla nas. Ale nie chcieliśmy i nie mogliśmy pozwolić, aby rozpadło się to, co zbudowaliśmy. Nie chcieliśmy się rozstawać z powodu przypadkowego zakochania, jak już zrobiliśmy raz wcześniej po to, żeby być razem. Co do tego byliśmy zgodni. Nie mogliśmy zrobić sobie nawzajem tego, co zrobiliśmy naszym poprzednim ukochanym.

A jednocześnie chcieliśmy dać sobie nawzajem wolność. Przecież uwolniliśmy wzajemne pożądanie, razem oswobodziliśmy ciekawość i chęć życia. Nie zamierzaliśmy się nawzajem pilnować i pozbawiać się wolności.

Nie chcieliśmy, aby każde z nas miało własne życie, ona z koleżankami, a ja z jednym czy drugim kumplem. Pragnęliśmy żyć razem, nie w osobnych światach, podzielonych na świat kobiet i świat mężczyzn. Pragnęliśmy być swoimi zaufanymi, najlepsze i najbardziej intymne rozmowy prowadzić ze sobą, a nie z innymi, przypadkowymi znajomymi. I to nam się udawało. Udawało nam się to aż do czasu, gdy zaufanie skłoniło ją do zwierzenia się z czegoś, co powinna zachować dla siebie. Gdybym nie dowiadywał się o każdej rozmowie z tym, którego nazywałem Rękawiczką, to co by się z nami stało? Wówczas mógłby to być flirt, któremu pozwolono by rozwijać się w spokoju, w tajemnicy, i który równie tajemniczo mógłby się zakończyć.

Ale w jakimś miejscu musiało się to zacząć. To, co wciągnęło nas w okoliczności, które miały nas od siebie oddzielić. Mogło się to stać już na samym początku. W tamto nasze pierwsze wspólne lato, kiedy na wakacje pojechaliśmy do miasta za granicą. Chodziliśmy ulicami i nie potrafiliśmy utrzymać rąk z dala od siebie. Leżeliśmy razem w łóżku i razem byliśmy nadzy. Przez całe noce i przeważające części dni leżeliśmy w łóżku i wywoływaliśmy u siebie nawzajem rozkosz. Siedzieliśmy przy stole, nasze dłonie się szukały, przysuwały się do siebie na blacie, odnajdywały się między filiżankami, szklankami i talerzykami. Odnajdywały się też nasze stopy na podłodze pod stołem. Nawet czubki butów lgnęły do siebie, ona zrzuciła jeden i palcami stóp pogłaskała moją łydkę. W tym czasie nie za bardzo lubiła swoje stopy, uważała, że są wielkie i toporne, z szerokimi palcami i grubymi paznokciami, ale lubiła używać stóp jak dłoni, ponieważ była w tym dobra. Świetnie sobie radziła z podnoszeniem rzeczy z podłogi palcami stóp, lubiła też mnie nimi szczypać. Wsunęła mi bosą stopę między nogi. Poczuła, że to na mnie działa. Zauważyła, że na szyi wystąpiły mi czerwone plamy. Wstaliśmy, żeby stamtąd wyjść, chcieliśmy wrócić do łóżka, do pokoju hotelowego, jeszcze tylko musieliśmy zapłacić. Staliśmy razem przy kontuarze, podszedł

młody mężczyzna, żeby nas obsłużyć, przyjąć pieniądze. Ona na niego popatrzyła, zeszywniała, wszystko zaczęło się dla niej dziać odrobinę wolniej, poruszała się powoli wśród tej słodczy nagłego pociągania. Młody człowiek za kontuarem niczego nie zauważył, przez co stał się jeszcze bardziej pociągający.

Ale ona sama o tym nie wiedziała. Zorientowała się dopiero później, kiedy ja zacząłem o tym mówić. Pożądanie nie widzi siebie. Oślepiło ją własne spojrzenie, później w ogóle nie mogła sobie przypomnieć, że na niego patrzyła. Musiała go chłonąć ciałem, dostrzec jego obecność własnym żywym ciałem, tym, które zawsze wychwytuje wrażenia, otwarcie i bez ostrzeżenia, jak to bywa z ciałami. Poza tym trwało to zaledwie kilka sekund. Ale ja byłem zakochany i cały czas wodziłem po niej wzrokiem, dlatego zauważyłem, jak nagle ogarnia ją zdecydowanie i jak ślepnie. Powiedziałem, że oślepnę dla mnie i że ślepa przejdzie ode mnie do innego. Była we mnie zakochana. W moich objęciach nabierała miękkości i czułości, a mimo to zwolniła i oślepnęła, gdy na nią spojrział, on, przypadkowy mężczyzna.

Chociaż w ogóle o tym nie myślała. Dopiero kiedy zacząłem o tym mówić, znów to poczuła, dotarło do niej, że zauważyła w nim coś, co jej się spodobało. Kogo nie pociągają wysocy młodzi mężczyźni? Ktoś, kto ma piękne dłonie, kto jest wysoki i szczupły w pewien określony sposób, jednocześnie pełen samouwielbienia, a któremu towarzyszy zawstydzenie wynikające z młodości albo czegoś innego? Aura silnego pożądania może wcale nie była skierowana do niej, lecz i tak je wyczuła, dlatego gdy tylko znalazła się w pobliżu tego mężczyzny, spowolniała i stała się widoczna. Jakby coś w niej nastawiło się na niego, jakby nasłuchiwała, wietrzyła, namierzała go.

Ale trwało to ledwie moment. Przemknęło przez nią, a ona w ogóle się nie zorientowała, dopiero później, gdy jej o tym przypominałem. Zresztą nawet

gdyby poczuła, na pewno by o tym zapomniała. Przypadkowe pożądanie przemyka przez wszystkich, obwąchuje, zmienia decyzję i obiera inny kierunek. Ciała zwracają się ku sobie i zaraz się od siebie odwracają. Cały czas się tak dzieje, nawet się nad tym nie zastanawiamy, natychmiast o tym zapominamy. Ona się tylko otworzyła, pozwoliła się tylko oczarować, tylko żyła. A ja byłem otwarty na wszystko, co się działo w niej. Nie musiałem zwracać na to uwagi. A nawet jeśli zauważyłem, nie musiałem o tym mówić. Mogłem to od siebie odsunąć, mogłem pozwolić, żeby w spokoju miała to tylko dla siebie. To należało do niej, to ona została tym dotknięta, czy jak by to sama nazwała. To było jedynie coś w rodzaju lekkiej, przemijającej opuchlizny.

Później zastanawiała się, dlaczego nie mogłem dać sobie z tym spokoju.

Ale nie mogłem.

Kiedy w tamten letni dzień wyszliśmy na ulicę, poczuła moją dłoń na krzyżu, lekki nacisk. Mój głos również zabrzmiał z lekkim i dość ciepłym naciskiem, powiedziałem

– spodobał ci się?

a ona powiedziała

– kto?

a ja powiedziałem

– ten, tam w środku,

wtedy spojrzała na moją twarz, całą w plamach wywołanych zakochaniem i ciekawością. Wyglądałem na beztroskiego i zadowolonego, nie bałem się, więc ona też się nie bała. Też poczuła beztroskę i zadowolenie, nie widziała nic groźnego, było nam razem zabawnie, dlatego powiedziała

– Chyba rzeczywiście był dość przystojny.

– Poznałem to po tobie, wiesz?

– Naprawdę?

Byłem jej ukochanym, związaaliśmy się ze sobą, myślała, że teraz nareszcie zaczęło się to, co miało być jej życiem. Miała żyć razem ze mną. Trzymałem ją za rękę i mówiłem, że zwróciła uwagę na innego mężczyznę czy chłopaka. Zauważyłem, że gdy na niego patrzyła, trochę zeszywniała. Stwierdziłem, że to było łatwo zauważyć. Że się jej spodobał. Czują moją rękę na biodrze. Ciepłą dłoń, która przesunęła się wyżej, na talię. Przyciągnąłem ją do siebie. Moja twarz znalazła się całkiem blisko, kiedy szepnąłem jej do ucha, kiedy powiedziałem

– Widziałem, że miałaś na niego ochotę,

a ona się zaniepokoiła, pomyślała: *Co teraz będzie?* Lecz chwilę później już się nie bała. Przypomniała sobie, że to się wydarzyło, że czuła jego wzrok na sobie, i zrobiło jej się gorąco w brzuchu albo niżej. A później całkiem wyleciało jej to z głowy i nie miała pojęcia, że to zauważyłem. Może powinna się bardziej pilnować, żeby to się więcej nie powtórzyło. Ale nie, nie ma takiej potrzeby. To nic groźnego, właściwie to nawet miłe. Stałem, mówiąc jej prosto do ucha, głos miałem ciepły, powiedziałem

– Co ci się w nim spodobało?

a ona mi odpowiedziała, bez żadnego namysłu, trochę tak, jakby mówiła sama do siebie, powiedziała

– Miał ładne ręce. Był wysoki i smukły. I te oczy. Patrzył na mnie jakby z uśmiechem w oczach, wtedy nabrałam na niego ochoty. Ale to było tylko mignięcie, sekunda. W ogóle tego nie pamiętałam, dopóki nie zacząłeś o tym mówić,

a ja powiedziałem

– Ale teraz pamiętasz?

a ona powiedziała

– Tak, ale nie wiedziałam, że mogłeś to po mnie zobaczyć,

i wróciliśmy do hotelu, szliśmy szybko przez nagrzane letnie ulice, objęci,

żebyśmy mogli poczuć się bezpiecznie, żeby poczuć nasze ciała poruszające się jedno przy drugim. I dlatego, że tak chodzą zakochani. I tam, gdy szliśmy przez starą część miasta, z jego mostami i wieżami, dalej mówiłem o tym, co widziałem. O tym, jak otworzyła się na innego, na kogoś, kto znalazł się tam przypadkiem. Ona mnie słuchała. Usłyszała, że to mnie zapiekło i że przez to poczułem, że żyję. Często mówiłem takie rzeczy. Nie bardzo rozumiała, co to znaczy. Poprosiła, żebym jej to wytłumaczył. Powiedziałem, że kiedy wyczułem, że patrzy na innego, w pewnym sensie zobaczyłem ją wyraźniej. Widocznie mówienie o tym sprawiało mi przyjemność, dotarło do niej, że to na mnie działa. A przez to działało też na nią.

- Podobało mi się, że tak się na niego otworzyłaś.
- Nie sędzę, żeby to zauważył.
- Wydaje mi się, że takie rzeczy zawsze się zauważa. Ty tak nie sądzisz?
- Możliwe. Przyjemnie o tym myśleć.
- On na ciebie patrzył i cię pożądał. Podobało ci się to?
- Chyba tak.
- Coś to z tobą zrobiło.
- Zauważyłaś?
- Tak. Zauważyłem, że coś się z tobą dzieje.
- Ale co?
- Może się zrobiłaś mokra.
- Nie, chyba nie. Ale tak pomyślałaś? Że jestem mokra?
- Jestem pewien, że właśnie tak się stało.
- No to niedługo będziesz mógł się o tym przekonać.

Weszliśmy do hotelu i stanęliśmy razem w małej windzie. Spojrzenia zanurzyliśmy w siebie. Jedną rękę położyłem na jej biodrze. Przyciągnąłem ją do siebie i popatrzyłem jej w twarz. Była przeze mnie widziana. Myślała o tym, że jest przeze mnie widziana. Przyszło jej do głowy, że jest teraz

widziana w sposób, w jaki nigdy wcześniej nie była widziana przez nikogo. To ją podniecało i trochę przerażało. Przeszliśmy korytarzem, znaleźliśmy drzwi do pokoju i otworzyliśmy je kluczem. Zacząłem ją rozbierać. Była w sukience, nie, nie w sukience, nie tego dnia, miała na sobie zielony T-shirt z rysunkiem żółtej ręki i białe ogrodniczki, białe skarpetki i buty. Pod spodem zwykły biały biustonosz i zwykłe białe majtki. Zdjąłem z niej wszystko. Najbardziej lubiła rozbierać się sama, wołała lekko się odwrócić, kiedy rozbierała się od pasa w górę. Ale teraz pozwoliła, żebym to ja wszystko z niej zdjął. Pamięta tylko, w co sama była ubrana, nie wie, co miałem na sobie ja, chociaż prawdopodobnie ściągała ze mnie ubranie w tej samej chwili, gdy ja ściągałem je z niej. A zresztą nie. Patrzyła, jak się rozbieram. Byłem wysoki i chudy, miałem ciało jaśniejsze od ciał, które znała wcześniej. I tyle od niej chciałem. Patrzyłem na nią przez cały czas, twarz mi jaśniała i obracała się za nią jak mocna latarka, która szuka czegoś żywego w wielkiej niepojętej ciemności.

Ona tego nie pamięta. Na wiele lat odeszło to w zapomnienie, całkiem zniknęło. A potem nagle pewnego wieczoru wraca. To, że leżeliśmy w tym łóżku, że byliśmy parą zaledwie od pół roku, że szeptałem jej do ucha o tych wszystkich cudownych rzeczach, które mogłaby robić z innym mężczyzną. Kto tak rozmawia? Wydawało nam się, że nikt. Ale ja tak mówiłem. Zacząłem to robić i nie potrafiłem przestać. A jej się to podobało, działa się z nią coś, co lubiła czuć.

To zniknęło na wiele lat, aż w końcu znów do tego wróciłem: leżałem obok niej i szeptałem jej do ucha o tym, co mógłby z nią robić inny mężczyzna. Wsłuchiwała się w mój głos i sama się dotykała, a potem w nią wszedłem i wszystko runęło, wszystko się uniosło i spadło na nią, to, co mogło się stać, i to, co się naprawdę stało, ten, który ją brał, i ten inny, który mógł ją brać,

jakby leżała wśród kilku nagich mężczyzn pragnących tylko jej. Słyszała własny krzyk. Słyszała własny głos w ciemnym pokoju, jękliwy, pojedynczy głos. Unosił się pod sufit, jakby przywoływała samą siebie.

5

- Pomyśl tylko, że my dwoje się spotkaliśmy.
- Tak, i związaaliśmy się ze sobą.
- Właściwie aż trudno uwierzyć.
- Przecież tak się od siebie różnimy.
- A teraz nie mogłabym być z nikim innym niż ty.
- Ja też nie. Myślisz, że ze wszystkimi tak jest?
- Nie, wydaje mi się, że mamy wyjątkowe szczęście.
- Ale związanie się z kimś oznacza chyba wiarę, że nigdy nie mogłoby być nikogo innego, że zawsze będziemy razem, a życie nigdy nie mogłoby być lepsze niż to, które mamy. Mogłaś tak myśleć również poprzednim razem?
- Nie. Wtedy ciągle się zastanawiałam, czy tak właśnie miało być, czy zawsze będę mieć wątpliwości. Czy zawsze będę się zastanawiać, czy to już wszystko? Myślałam sobie, że może już nigdy nie będzie lepiej i po prostu muszę się z tym oswoić. Stale się zastanawiałam, nie wytrzymywałam, a mimo to dalej byłam z nim.
- Teraz już nie masz wątpliwości?
- Nie, żadnych.
- Teraz dobrze?
- Tak, bardzo.
- I teraz też?
- A ty nigdy nie wątpisz?
- Nie, nigdy.

– Nie tak mocno.

– Ale poprzednim razem też nie wątpiłem.

– Nie?

– Nie czułem się dobrze, zawsze było mi trudno. Ona stale się obrażała albo było jej przykro i ciągle musiałem ją pocieszać. Mimo to nie wątpiłem. Uważałem, że moje życie nareszcie się zaczęło. Ale z tobą jest mi o wiele lepiej. Może jednak za każdym razem jest trochę lepiej? Gdybyśmy ze sobą zerwali, gdybyś związała się z innym, może z nim byłoby ci jeszcze lepiej?

– Z kim?

– Z kimś. Z takim, którego jeszcze nie poznałaś.

– Chciałbyś, żeby tak było?

– Nie, skąd. Ale przecież ja bym cię kochał, nawet gdybyś znalazła innego.

– Nie wierzę.

– No ale czym w takim razie byłaby miłość? Jeśli naprawdę cię kocham, to chcę, żeby ci było dobrze. A jeśli tobie byłoby lepiej z innym, to i tak powinienem cię kochać tak samo mocno, prawda? Powinienem cię wspierać, jeśli zapragnęłabyś innego. I chyba rzeczywiście by tak było.

– Posłuchaj...

– Tak?

– Czy ty nie możesz się na chwilę uciszyć?

– Wiem, za dużo gadam.

– Nie przestawaj, proszę. I nic nie mów.

6

Czym jest miłość? Czym naprawdę j e s t miłość? Nie, to na nic. Po pierwsze, pytanie jest zbyt ogólne. A po drugie? Już zapomniała. Słowo wskazuje na uczucie lub doświadczenie zrozumiałe dla wszystkich, w ich opinii, ale ono jest za małe, a jednocześnie za wielkie. Słowo takie jak *miłość* zwyczajnie zbyt dużo w sobie zawiera. Jej zdaniem kiedy ktoś chce coś powiedzieć albo napisać, musi zdecydować, że będzie wierzył, iż każde pojedyncze słowo wskazuje na coś konkretnego, odgraniczzonego i możliwego do zidentyfikowania. Ale tak przecież nie jest, osobne słowa są jak otwarta niezdecydowana dłoń: palce rozczapierzone w różne strony.

A jednak: czym była miłość dla nas? Uzależnieniem czy naddatkiem? Tym, że uzależniłem się od niej, pochyliłem się w jej cień, podporządkowałem się, spocząłem w świetle jej istnienia i nastroju? Czy ona to samo znajdowała u mnie? Czy coś tylko przyciągnęło nas do siebie i chcieliśmy być blisko jedno drugiego, czy też pragnęliśmy oddać siebie całych? Przypuszczała, że dla mnie właśnie tak było. Chciałem się podzielić sobą z nią, chciałem uciec od siebie, nie mogłem sam, w pojedynkę, wziąć na siebie odpowiedzialności za wszystko, co w sobie miałem.

Ona pamięta, że się rozbierałem, że się przy niej kładłem. Byłem wtedy czułym, uzależnionym od miłości, głodnym miłości ciałem leżącym obok niej, tym, który chciał coś zrobić lub chciał, by z nim coś robiono. Tym, który był razem z nią, który spoczął w jej istnieniu. Żyłem przed jej obliczem. Pamięta,

że tak mówiłem. Wzywałem się w nią, ukrywałem się w jej istnieniu, które stało się również moim istnieniem, ponieważ się z nią ożeniłem i jej się oddałem.

Używałem tego określenia. Nie na początku, nie w pierwszych latach, ale odkąd zacząłem siedzieć w domu, odkąd stałem się tym, który na nią czeka, tym, który zawsze jest gotów wżyć się w nią, w to, kim była ona, i we wszystko, o czym mówiła.

Pamięta, że byłem w domu, zawsze, i że zawsze najchętniej właśnie tam chciałem być. Że chodziłem po pokojach, sprzątałem, odkurzałem, prałem ubrania dzieci, ubrania jej i swoje, wywieszałem pranie na dworze, gdy tylko pozwalała na to pogoda, widziała, jak wychodzę z wielkimi białymi prześcieradłami, biustonoszami i koszulkami. Widziała, jak je rozwieszam, wyciągałem ręce w górę i przypinałem rzeczy małymi klamerkami, starannie je wygładzałem, wieszałem tak, żeby się nie pogniotły. Kiedy ubrania wyschły, zdejmowałem je ze sznura i wnosiłem do domu, by je ładnie poskładać. Lubiłem się krzątać jak gospodyni domowa z lat sześćdziesiątych, wtedy mogłem ukryć się przed sobą. Nazywała mnie *żoną*. Nazywała mnie *naszą żoną*, wiedziała, że to mi się podoba. Jej samej zaczęło się to podobać. Gdy raz kiedyś miałem wyjechać, powiedziała: *Co teraz ze mną będzie? Nie poradzę sobie bez ciebie, bez twojej pomocy, potrzebujemy jeszcze jednej żony*. Uśmiechnąłem się wtedy do niej szczęśliwy, pamięta ten uśmiech. Pamięta, że lubiłem zapach prania wysuszonego na dworze. Myśli o mnie jeszcze długo po tym, jak już się nie znamy, chociaż nie za często, pamięta, że siedziałem nieruchomo w fotelu i patrzyłem na nią. Pamięta, że przyrządzałem risotto z pieczonymi burakami, że stałem przy kuchennym oknie, szykowałem obiad, słuchałem muzyki. Wstaje, przechodzi przez pokoje, znajduje sobie jakieś zajęcie i zapomina o wszystkim, co minęło.

Pamięta, że jeśli nie było mnie w domu, to zawsze byłem w drodze do

domu. Wracalem, otwieralem drzwi i mowilem: *Jestem*. Nareszcie, cale zycie podrozowalem, zeby dotrec do domu, tutaj. Wczesniej zawsze bylem tam, gdzie jej nie bylo, nie miala pojecia, jak zdolala to wytrzymac, ale teraz to ja stalem sie tym, ktory z nia mieszkal. Jesli jej nie bylo w domu, wiedzialem, ze ona tez jest w drodze, ze niedlugo przyjdzie. Ona to pamietala, od czasu do czasu o tym myslila, a potem nagle zapomina.

* * *

Ale czy miłość nie była również wykorzystywaniem ciała tej drugiej osoby, jej czułości i gwałtownego głodu? I czy ta druga osoba nie wykorzystywała również własnego ciała, własnej czułości, głodu, zwątpienia i szczęścia? Czy miłość nie oznaczała oddawania się do dyspozycji, pozwalania na rozbieranie się, na dotykanie, na oglądanie, na rolę tego, kto ma nie oglądać i nie rozbierać tej drugiej osoby?

Owszem, kładłem się na niej. Przytrzymywałem ją za nadgarstki, dość mocno. Lubiła to, a może ja to lubiłem, tak, tak musiało być, że lubiłem to ja. Potrzebowałem wszystkiego, co nas wyróżniało, co nie wyglądało na zwyczajne, już zrozumiane i zinterpretowane, czego nie da się badać dalej. Zawsze pragnąłem czegoś, co było inne. Wyginałem jej ręce nad głowę i jedną ręką przytrzymywałem jej dłonie. Leżała wtedy, jakby była przywiązana. Drugą ręką miałem swobodną, aby móc chwycić jej podbródek i lekko uderzać ją w policzek. Najpierw delikatnie, potem trochę mocniej. Całkowicie miękką, kiedy to robiłem, i wydawała z siebie odgłos. Miała nadzieję, że nie przestanę, jeszcze nie. Ciągnąłem ją za włosy, czuła, że wykręcam jej głowę na bok, że ją układam. Czuła, że kładę rękę na jej okrągłej, białej miękkiej piersi, rozplywającej się tak pięknie, kiedy ona leżała na plecach, jej samej niezbyt się to podobało, ale wiedziała, że mam do tego słabość. Byłem słaby, czuły, zakochany i uległy wobec niemal wszystkiego w niej, czuła się

rozpieszczona. Słabłem wobec niej całej, wiedziała o tym, początkowo ją to dziwiło, a później już nie. Już dawno się jej oddałem. Ale najbardziej lubiła, abym stawał się kimś, komu ona mogłaby się oddać, kimś, kto sam nie oddawał się tak łatwo. Teraz więc to zrobiłem. Mocno ująłem ją za udo, aby rozsunąć jej nogi. Uczyniłem ją dostępną dla siebie. Wepchnąłem się w nią, wkrótce leżała i pozwalała mi się brać. Czekwała na to. Długo uważałem, że to czyni ją zbyt kobiecą albo mnie zbyt męskim, zawsze się obawiałem stania się kimś typowym i zwyczajnym, bałem się stać mężczyzną, który pragnie jedynie zafundować sobie łatwe spełnienie. Słuchała, jak mówię, że z nami dwojgiem musi być inaczej niż ze wszystkimi innymi. Wiedziała, że myślę o tym za każdym razem, gdy na niej leżę, gdy w nią wchodzę i gdy się z niej wysuwam. Czy to już miało być wszystko? Pragnąłem leżeć przy niej i mówić jej wprost do ucha, dopóki sama nie osiągnie szczytu. Ale ona chciała mieć mnie na sobie, w końcu ja też tego pragnąłem. Nie dawało się od tego uciec, nawet nam, w rezultacie zawsze do tego dochodziliśmy, ja leżałem na niej, zawsze na tym się kończyło, chociaż wcześniej robiliśmy najprzeróżniejsze rzeczy, obejmowaliśmy się, wiązaliśmy, biliśmy, lizaliśmy, wymyślaliśmy dla siebie rozmaite historie, a ja mówiłem: *Chciałbym, żebyś miała wszystko, wszystkich, wszystko i wszystkich, na których kiedykolwiek w życiu miałabyś ochotę.* Zawsze jednak kończyło się na tym, że leżałem na niej i ją brałem, a ona pode mną mi na to pozwalała. Czy mimo wszystko byłem wtedy tylko zwyczajnym mężczyzną, a ona tylko zwyczajną kobietą?

* * *

Powiedziałem, że chciałem ją zobaczyć z innym, że chciałem ją ujrzeć wyraźniej, taką, jaką jest, nie będąc ze mną, że chciałem zobaczyć, jak robi coś, czego ze mną nie może zrobić. Powiedziała

– A kto by to miał być?

a ja powiedziałem

– Musisz sobie poszukać kogoś, kto ci się spodoba. Może znajdziemy kogoś w internecie,

a ona powiedziała

– Nie, bo wtedy będziemy musieli najpierw iść z nim na kawę, a na to nie mam siły. Nie chcę spotykać się z kimś, kto sobie kupił nową niebieską koszulę, kto się dla mnie wystroił, ponieważ chce mnie przelecieć, a potem iść do niego do domu, do jakiegoś obcego mieszkania, nie, nie chcę tak,

a ja powiedziałem

– No to sama musisz go znaleźć,

a wtedy ona powiedziała

– A co będzie, jeśli się w nim zakocham?

a ja powiedziałem

– Jakoś to chyba wytrzymamy. Dzięki temu będzie ostrzej, mam ochotę zobaczyć, że nie potrafisz trzymać się z dala od niego, że to nie mnie pragniesz, że nawet nie pomyślisz o tym, że ja tam jestem,

a ona powiedziała

– Ale nie będziesz zazdrosny?

a ja powiedziałem

– No, na pewno będę, właśnie to jest takie podniecające. Chyba podoba mi się myśl o tym, że zostanę odepchnięty, odsunięty na bok. Wtedy będę cię kochać jeszcze mocniej,

a ona powiedziała

– Miejmy nadzieję, bo nie wiem, czy starczy mi odwagi,

a ja powiedziałem

– Jestem pewien, że tak, przecież wiem, jak patrzysz na innych, właśnie dlatego nie mogę się powstrzymać. Muszę zobaczyć, jak to się dzieje, bo inaczej ciągle będę się tego bał, a nie chcę się bać. Chcę zobaczyć, jak

rozpinasz mu koszulę, spodnie, chcę zobaczyć, jak zrzuca ubranie i jest z tobą nagi,

a ona powiedziała

– A później? Co zrobimy później?

– Później będę go całował, smakował, lizał każdą jego cząstkę, która była w tobie. Chcę, żebyś zobaczyła, jak biorę go do ust.

– A co ja mam robić w tym czasie?

– Chciałbym, żebyś siedziała w drugim końcu pokoju przy zgaszonej lampie i udawała, że oglądasz film,

tak powiedziałem, a ona na to

– Chodź, połóż się na mnie,

i ja to zrobiłem, byliśmy w tym pokoju tylko we dwoje, a potem długo leżeliśmy, nic nie mówiąc.

Ale miłość to chyba również wymiana władzy, jaką się ma nad sobą nawzajem? A za czułością kryje się również metoda na jej dystrybuowanie? I czy czułość nie zakłada przejęcia przez jedną osobę kontroli nad drugą? Czy ta jedna nie musi zawsze ulec drugiej, choćby tylko na sekundę? Tak, właśnie tak jest, mówiłem to, i ona także, w to wierzyliśmy. Dotyczyło to każdego pocałunku, każdego objęcia, każdego stosunku: albo to ona była całowana, obejmowana i brana, albo też robiła to wszystko mnie. Lubiłem myśleć, że się w tym zmieniamy, wiedziała, że to lubię. I rzeczywiście chyba właśnie tak było, musiało tak być. Musiała między nami następować wymiana troski i uległości, chwile lub okresy, w których nie do końca wiedzieliśmy, kto się zajmuje tą drugą osobą, a kto tę troskę przyjmuje. Czy nie tak było?

Ona już tego nie wie.

Ale czy w miłości między dwojgiem dorosłych ludzi nie chodzi również o strach przed życiem w samotności? I o chęć uniknięcia własnego

towarzystwa, niemalże za każdą cenę? O znalezienie kogoś, do kogo będzie można wracać do domu, kogoś, na kogo będzie się czekać, kogoś, kogo trzeba brać pod uwagę, w kogo trzeba się wsłuchiwać, kto będzie łagodnie strofował? Do patrzenia w twarz komuś, kto być może wie, kim jesteś albo kim nie jesteś? Komuś, kto może powiedzieć: *Bądź teraz cicho, przyjdź tutaj, połóż się przy mnie.*

Czy chodzi wyłącznie o to, żeby razem spać? Razem jeść, razem siedzieć, razem leżeć, razem rozmawiać, razem coś oglądać, razem odwracać się od wszystkich innych? Znowu razem spać, kłaść się nago i budzić w objęciach tej osoby, również nagiej? I czy głównie, w każdym razie jeśli mieliśmy niesamowite szczęście – a tak przecież uważaliśmy – nie chodziło o chęć zawładnięcia wszystkim u tej drugiej osoby? Wszystkim, absolutnie wszystkim? Chcieliśmy tego? Mówiłem, że dla mnie ona jest kimś, kim mogłem się opiekować, wobec kogo mogłem być lojalny, z kim mogłem dzielić swoje urojenia. Lubiłem tak mówić. A dla niej byłem kimś, kto zawsze jest. Być może ona już tego nie wie. Ale czy chcieliśmy od siebie wszystkiego? Czy właściwie nasza miłość nie była bardzo konwencjonalna? Czy nie wiązała się z postanowieniem upodobnienia się do innych, życia w taki sposób, jak żyli wszyscy wokół nas, ustabilizowania się ze współmałżonkiem i dziećmi, a w najlepszym razie z garażem? Zapewnienia sobie dostępu do opieki na stałe, do towarzystwa wieczorem, do seksu w nocy i do trochę lepszej sytuacji finansowej?

Tak, tak właśnie było.

Tym samym również – teraz ona już to wie – oznaczało to niepowodzenie wszystkich naszych pragnień.

Byłem tym mężczyzną, w którym ona się zakochała wiele lat temu. Tym w wygniecionych koszulach, tym z ostrym nosem, tym z urażonym spojrzeniem. Byłem tym, z którym miała dzieci, tym, który płakał, kiedy dzieci się uderzyły,

który tak pilnował posiłków, tego, co jemy, kiedy i gdzie. Tym, który za każdym razem, gdy przechodziła przez pokój, śledził ją wzrokiem pełnym podziwu wyłącznie z powodu jej istnienia. Ona pamięta, że powiedziałem: *Możesz robić, co tylko chcesz, i tak będę cię kochał*. Pamięta też, że pewnego dnia nie mogłem już tak powiedzieć. Ta chwila przyniosła dziwną ulgę. Wszystko jej się zawaliło, dokładnie tak, jak nigdy sobie tego nie wyobrażała.

A teraz był ranek. Wiosna, koniec maja, sobota. Siedziałem na schodach i czytałem, dzieciaki wchodziły i wychodziły, zajęte swoimi sprawami. Wydaje jej się, że tak było stale, kiedy wraca myślą do tamtego roku i następnego. Wyszła z domu, zobaczyła, że siedzę na schodach. Chciała położyć mi rękę na karku, ale ta ochota jej przeszła. Nie rozumiała dlaczego. Miałem dość wąski kark, biały, jak u dziecka, często siedziałem z głową pochyloną nad książką. Książkę trzymałem tuż nad kolanami, nachylałem się, opierając przedramiona o uda. Czytałem z otwartymi ustami, patrzyłem przed siebie, poruszając wargami, notowałem coś na kartce. Chciała usiąść obok mnie i przełożyć mi rękę przez plecy, ale się nie przemogła. Wyminęła mnie, zbiegła po czterech stopniach, stanęła na żwirze, odwróciła się do mnie i nie wiedziała, co powiedzieć.

– Idziesz pobiegać?

Kiwnęła głową, umówiła się, uważała, że powinna mnie o tym poinformować, ale nie wiedziała, jak zabrzmie jej głos, kiedy wypowie te słowa. W końcu znalazła sposób. Zrobiła przymilną minę, taką, jak w jej mniemaniu lubiłem. Przekrzywiła głowę, jak robią bliscy sobie ludzie, nie zdając sobie z tego sprawy, i powiedziała

– Dostałam zaproszenie.

– Na co?

– Na bieganie.

– Od kogo? Od niego?

– Tak.

– A nie biegałaś z nim wczoraj?

– Owszem, ale wczoraj spotkałam go przypadkiem.

– A teraz przysłał ci SMS-a?

– Tak.

Roześmiała się, wtedy i ja się roześmiałem. Trochę to było zabawne. Mimo wszystko niegroźne. Chętnie by mnie w tej chwili objęła, ale nie mogła tego zrobić, nie teraz. Dała krok do przodu i pogłaskała mnie po policzku, a ja powiedziałem

– Ale czy on nie jest żonaty?

– Jest. No ale my przecież idziemy tylko biegać.

– Ale on ci się podoba?

– Jest świetnie wytrenowany.

Patrzyliśmy na siebie. To był żart, coś w rodzaju zabawy, wiedziała, że wrócę do tego wieczorem, kiedy już się położymy. Popatrzyła na mnie i powiedziała

– To nic groźnego.

– Uważam, że to dobrze.

– Co?

– Że z nim biegasz. Przecież nie możesz z nim nie biegać tylko dlatego, że jest mężczyzną. U nas tak nie może być.

– No tak, u nas nie.

– Poza tym lubię myśleć o tym, że on ci się podoba.

– Nie chodziło mi o to, że on mi się podoba w tym sensie.

– Nie?

– Nie wiem.

Musiała na siebie uważać. A ja powiedziałem

– Wygląda na to, że się czerwienisz.

– Wcale nie.

Siedziałem i uśmiechałem się do niej, a ona nie bardzo potrafiła mnie rozszyfrować. Czy to tylko zabawa, coś, co wymyśliłem, żebyśmy po jej powrocie wspólnie snuli na ten temat fantazje? Światło było ostre, czuła, że słońce grzeje ją w plecy i w kark, czuła też gorąco na twarzy.

– Czerwienię się, bo ty tak mówisz.

– Do twarzy ci z takim zawstydzaniem.

– Z zawstydzaniem?

– Tak się to nazywa.

– Muszę już lecieć.

– No tak.

– Nie bardzo wiem, kiedy wrócę.

– Ja będę tutaj.

– Tylko dlatego, że on chce mi pokazać trasę, która jest dość długa.

– Uważaj na siebie.

– Z czym?

– Kiedy będziesz biegać.

– Nie biorę telefonu. Telefon podczas biegania to tylko kłopot.

Czuła się wolna. Zawsze tak się wobec siebie zachowywaliśmy, zawsze godziliśmy się na wszystko, czego chciało to drugie, właśnie to zwykle jej mówiłem, kiedy leżeliśmy obok siebie nadzy. Że może robić, co chce. Że musi być wolna, bo to do niej pasuje. Że pewnego dnia być może poczuje ochotę na innego i wtedy będzie mogła z nim robić wszystko, co zechce, a później wrócić do domu, do mnie i mi o tym opowiedzieć. Ale ona myślała wtedy, że przecież wcale nie chce robić wszystkiego, na co jej przyjdzie ochota. Nie chce na przykład zdradzać. Chce, aby jej życie pozostało dokładnie takie, jakie jest. Myślała, że musi na siebie uważać, musi też uważać na mnie, żeby nie było mi przykro, żeby nic się między nami nie popsuło.

Nie, wcale tak nie myślała. Już nie.

SMS-a dostała już wcześniej rano. Domyślała się, że przyjdzie, i wreszcie usłyszała przytłumione piknięcie telefonu. Wiadomość pochodziła od nieznanego numeru, a kiedy przeczytała jego imię pod treścią, poczuła swoje ciało, zarys samej siebie, ciężar, egzystencję, powietrze oblepiające skórę i zajmujące tak dużą przestrzeń wewnątrz jej ciała, kiedy brała oddech i powoli go wypuszczała. Wiadomość była bardzo krótka, pytał: *Pójdiesz ze mną pobiegać?* Dodał jeszcze, że chce pobiec trochę dalej niż ostatnio.

Odpisała: *Tak, pasuje mi. Teraz, od razu?*, a on odpowiedział niemal natychmiast: *Idealnie.* Przebrała się, potem wyszła z domu i rozmawiała ze mną, a teraz już ruszyła na spotkanie z nim. Zamknęła furtkę i pobiegła.

* * *

Nie było jej cały dzień. Kiedy wróciła, przepełniało ją to, co przeżyła, ale nie pozwalała sobie o tym myśleć. Było po prostu fajnie, nic w tym przecież groźnego, a teraz wracała do domu, do swojego zwykłego życia. Było popołudnie, sobota z rodziną. Przygotowałem z dziećmi pizzę, właśnie skończyliśmy jeść, kiedy weszła. Opowiedziała mi, dokąd dobiegła, czuła, że mówienie przychodzi jej z łatwością. Potrafiła tak żywo opowiedzieć o krajobrazie i o tym, jak daleko dotarła. Wzięła prysznic, stała sama pod gorącą wodą. Kiedy wyszła z łazienki, zastała kuchnię już sprzątniętą. Dzieciaki zniknęły w swoich pokojach, a ja byłem w ogrodzie. Widziała mnie przez okno, chodziłem tam i z powrotem z pochyloną głową, słyszała, że koszę trawę.

Pomyślała: *Co teraz będzie* i już więcej nie myślała, nie mogła myśleć, nie o tym. Wyszła do ogrodu, gdzie właśnie skończyłem kosić. Stałem w starym T-

shircie, w dzinsach z obciętymi nogawkami, buty miałem zielone od trawy. Ciągle byłem tym, którego dobrze znała. Ruszyłem do niej przez trawnik, z głową wciśniętą w ramiona, nagle wydałem się taki mały, taki wystraszony. Zorientowała się jednak, że nie chciałem, aby to zobaczyła. Ale zobaczyła i się wzruszyła. Wzruszyła się jakby z oddali, jakby ujrzała kogoś, kogo robi się żal, w serialu czy w filmie. I wtedy tamto, to drugie, to, o czym nie mogła myśleć, wezbrało w niej jeszcze mocniej. On czegoś od niej chciał. To wzbierało w jej ciele powoli jak woda, jak czarna woda w domu, w którym wszyscy śpią, pomyślała, nagle czując się bogatsza.

Położyła mi ręce na ramionach. Patrzyłem na nią, moja twarz w plamach wydawała się wrażliwa i natrętna. Struktura kości uwidoczniła się pod skórą, wąski grzbiet nosa sterczał między kośćmi policzkowymi jak dziób. Na skroni dostrzegła zagłębienie w czaszce, wcześniej nie zwróciła na nie uwagi. Miałem też głębsze oczodoły, niż zapamiętała. Moje niebieskie, intensywnie spoglądające oczy rosły, powiększały się z roku na rok. Wzięła głęboki oddech i powiedziała

– Cześć, mój kochany, wszystko u ciebie w porządku?

Więcej najwyraźniej nie było mi trzeba, żeby tamto minęło, odzyskałem kolor i już nie wyglądałem na takiego przestraszonego. Wyprostowałem się i udawałem, że nic się nie stało. Nachyliła się do mnie, oparła twarz na moim ramieniu i poczuła moje ręce na plecach. Pocałowała nagą skórę mojego ramienia, myśląc o nim, o jego skórze, o tym, jaka by była w dotyku, pod jej dłonią, przy ustach.

Nieco później siedzieliśmy przy stole w ogrodzie, ona i ja, opowiadała, że była w takiej części lasu, o której wcześniej w ogóle nie wiedziała. W puszczy nietkniętej ręką człowieka. Biegli po miękkim uginającym się mchu pod kilkusetletnimi sosnami. Opowiadała o ich rozmowach, o tym, że chciałby jej

zapropnować udział w pewnym projekcie organizowanym przez ministerstwo. Poczwała się doceniona. Nie miała czasu na dodatkowe zajęcia i nie wiedziała nawet, czy u niej w pracy się zgodzą. Poza tym obawiała się angażowania w projekt w reżyserii ministerstwa, istniały przepisy utrudniające współpracę urzędów centralnych.

Ale on nie ustępował, tak ładnie o niej mówił, chciał jej pomóc w dalszym rozwoju. Przypuszczała, że chciał czegoś jeszcze. Może jednak się myliła, nie miała pewności. Nie przywykła do tego, by inni mężczyźni przytrzymywali ją wzrokiem tak jak on. Podobało jej się to. Ona też przytrzymywała go wzrokiem, jakby rzucali sobie wyzwanie. Patrzyli sobie w oczy, trochę za długo. Opowiedziała mi o tym i sama tego słuchała, jej własny głos docierał do niej tak, jakby stała pod bieżącą wodą. Szum krwi w uszach przypominał szum wody, wiatru, szmer głosów w pomieszczeniu pełnym ludzi, w którym jej nie było.

Siedzieliśmy w ogrodzie do nocy. Korony drzew wokół nas pociemniały, wchłoneły mrok, tak jak płótno chłonie wilgoć. Niebo ciągle było jasne, turkusowo-biało-zielono-granatowe, zawłasczone zachodem słońca. Otwarta przestrzeń nad nami była rozświetlona, natomiast wokół naszych stóp, pod stołem, w trawie gęstniał puszysty letni mrok. Zapaliłem świece. Twarz mi zapłonęła, kiedy nachyliłem się nad stołem z zapalką w ręku.

Przyniosła swój laptop i pokazała mi jego zdjęcie w internecie. Zauważyła, że jestem trochę rozczarowany. W każdym razie wyraźnie mnie zaskoczyło. Zobaczyłem, że on wygląda zwyczajnie. Wydawał się stary, chociaż był od niej młodszy. Wyglądał jak dojrzały mężczyzna z lat sześćdziesiątych, poważnie traktujący samego siebie, z zahamowaniami, w spodniach w kant. Miał też brzydką koszulę. Słuchała, jak go oceniam, podniecony i szczęśliwy, nie wyczułem jej urazy. Ale poczuła się urażona, w jego imieniu. Zazwyczaj mieliśmy takie samo zdanie o nowo poznawanych ludziach, ale to było coś

innego. Chciała, żebym przestał. Chciała mi o nim opowiadać, aby móc usłyszeć, jak sama mówi, aby móc usłyszeć, co powie. Nie rozumiała, kim on jest, dopóki nie porozmawiała o nim ze mną, i nie chciała, żebym coś dodawał od siebie.

Ale to nie był mężczyzna, jakiego sobie wyobrażałem. Spodziewałem się, że jeśli ona zacznie flirtować z innym, będzie to ktoś piękny i dwuznaczny, nie tak twardy, a bardziej androginiczny. Mężczyzna, który również mnie by się spodobał, dla którego również ja mógłbym stracić głowę.

– Jest trenerem narciarstwa.

– No tak, mówiłaś mi o tym.

– Jest też nauczycielem tańca i instruktorem wspinaczkowym. Należy do klubu strzeleckiego i nauczy mnie strzelać. Uczył też jazdy konnej.

– I chce cię uczyć jeździć konno?

– Owszem. No i biega, jak wiesz. Ma takie same zainteresowania jak ja.

– Naprawdę jest nauczycielem jazdy konnej?

– Uczył wiele lat temu. Ale ciągle ma konia.

Była z niego dumna, tak jak rodzice są dumni ze swoich dzieci, nie, tak jak wszyscy zakochani, którzy chcą opowiadać innym o fantastycznych cechach osoby, która się pojawiła i zajęła miejsce w ich życiu. Chciała mi o nim opowiadać, byłem przecież tym, komu przywykła się zwierzać. Teraz też czuła, że próbuję ją zrozumieć. Chciałem go zobaczyć tak, jak ona go widziała, chciałem jakby stać się nią, poczuć to, co czuła do niego. I powiedziałem

– Nie rozumiem, co właściwie ci się w nim podoba.

– Jego ciało. Mam ochotę go dotykać.

– Gdzie?

– Może w jakimś ciemnym pokoju?

Nachyliłem się, poczuła moją dłoń na kolanie.

– W którym miejscu na ciele?

– Ramion, szyi. Nie wiem. Może dołu brzucha. Wiesz, on jest taki umięśniony. Mam ochotę wsunąć mu rękę za pasek spodni, dotknąć jego skóry tuż poniżej brzucha. Mam ochotę w tym czasie go całować.

Mówiła jak przez sen, zdrętwiała od słuchania własnych słów.

– Jest ci ciężko, kiedy tak mówię?

– Nie, skąd. To całkiem przyjemne.

– Nie oszukujesz?

– Nie, przyjemnie się tego słucha. To podniecające.

– Przecież ja tak naprawdę wcale nie chcę tego zrobić, rozumiesz?

– Ale może i tak zrobisz.

– Przecież nie mogę. Nie chcę.

– Jesteś pewna? Czy my dwoje, którym jest ze sobą tak dobrze, mielibyśmy nie mieć na to miejsca?

Siedziałem przy niej, jej mąż. Kilka razy w ciągu dnia powtarzałem, że ją kocham, lecz stale mówiłem też, że ma być wolna, że jej życie toczy się teraz i że musi żyć w pełni. Był letni wieczór, prawie noc. Nasze życie, wszystko, co nas łączyło, nie przypominało niczyjego innego życia, w tej kwestii nie mieliśmy wątpliwości. I było to dla mnie jedyne możliwe życie, często o tym mówiłem. Wielkie słowa, myślała sobie wtedy, a jednocześnie znajdowała w nich spokój. Znajdowała spokój w tym, że zawsze byłem, że moja twarz zawsze zwracała się ku niej, jaśniejąca jak biały zdeformowany kwiat. Przechodzący drogą mogli usłyszeć nasze głosy, ale nikt nie mógł usłyszeć tego, co do siebie mówimy. Wyglądaliśmy jak pierwsza lepsza para, której dobrze ze sobą, rozmawiająca w bliskości, intymnie o tym, o czym nie da się rozmawiać z nikim innym. Wyprostowała się na krześle i jakby siłą wyciągnęła z siebie to, co dręczyło ją całe popołudnie, powiedziała

– Nie wiem, czy ja mu się podobam.

– Z całą pewnością.

– Nie bardzo mogę w to uwierzyć.

– To zrozumiałe, że mu się podobasz.

– Skąd możesz wiedzieć?

– On się podoba tobie, a to niemal zawsze bywa odwzajemnione. Rozmawialiście ze sobą, mailowaliście. Zaproponował ci wspólne bieganie, biegaliście razem już dwa razy. Mówisz, że przytrzymuje cię wzrokiem, a ty jego. To wyraźne oznaki, chyba sama to słyszysz.

Znów poczułem się bezpieczny. Zawsze tak się czułem, kiedy była w domu, kiedy przebywaliśmy w tym samym pokoju. Nachyliłem się do niej, powiedziałem, że to nic groźnego, powtórzyłem, że jeśli kiedykolwiek będzie miała ochotę na innego mężczyznę, na przykład na niego, to powinna iść za tym głosem, nie powstrzymywać się. Powiedziałem, że obojgu nam będzie to pasować. Machnąłem ręką, wskazując na ogród albo dalej, w stronę okolicznych domów. Tak bardzo chciałem, żeby moje życie różniło się od życia innych. Gotów byłem zrobić wszystko, no prawie, aby tylko nie stać się zwyczajnym mężczyzną na reprodukującym się w nieskończoność świecie, na którym wszyscy byli podobni do wszystkich, a życie wydawało się określone z góry. Płaskie i małe. Nie mogłem znieść myśli o tym, że miałbym zobaczyć samego siebie albo ją w takim świecie, często to powtarzałem. A ona mówiła, że o tym wie. Podobało jej się to, chociaż nie całkiem rozumiała, co to oznacza.

Mówiłem – a nie mówiłem? – coś o tym, że ona musi iść za głosem tego, co jest w niej najbardziej pełne życia. Każdy inny byłby zazdrosny, robiłby sceny, wściekłby się na człowieka, który bez cienia wstydu podrywał żonę innego mężczyzny. Ale ja najwyraźniej wpadłem w dobry humor, ogarnął mnie zapal, chciałem wiedzieć, jak to na nią działa. Teraz, kiedy wróciła do domu, kiedy znów byliśmy razem we dwoje, nie obowiązywały żadne granice, wszystko mogło się wydarzyć. Powiedziałem, że nasza kultura zawsze umożliwia takie

postępowanie mężczyznom. Jakże normalną rzeczą było to, że mężczyźni mają kochanki, utrzymują długotrwałe związki poza małżeństwem. Właśnie z tego powodu Simone de Beauvoir nie chciała wyjść za mąż, bała się, że skończy z mężczyzną, który będzie żył tak jak jej ojciec. W jednym domu żona i dzieci, w drugim kochanka, a on chodził raz tu, raz tam, zawieszony między jednym życiem a drugim. Tak przez stulecia urządziła się męska seksualność. Ale przecież nie ma powodu, by uważać seksualność kobiet za słabszą czy inną, więc dlaczego nie można by tego odwrócić? Pomyśl o Vanessa Bell, pomyśl o Iris Murdoch, mówiłem, obie pozostawały w związkach z innymi, najzupełniej jawnie, żeby uniknąć hipokryzji i kłamstw, wielu innym też się to udało. Ale w naszych czasach i w naszym kraju wszelkie próby stworzenia sobie odmiennego życia zanikły, wszyscy, których znaliśmy, żyli jak w dziewiętnastym wieku, to nie do wytrzymania. Dlaczego ona nie miała by postępować tak samo, jak postępowało tylu mężczyzn na przestrzeni dziejów? Naprawdę tak uważałem, żadne moje słowo nie było oszustwem, co do tego nie miała cienia wątpliwości. Pamiętała, na jak przerażonego wyglądałem, kiedy wróciła do domu, ale potem o tym zapomniała. Pomyślała, że umożliwiam jej coś, czego wcześniej w ogóle nie dostrzegała.

Powiedziała, że jestem niesamowity, a ja, że ją kocham. W półmroku twarz mi jaśniała, niemal fanatycznie. Wstaliśmy, żeby wejść do domu. Objęliśmy się i pocałowaliśmy, z chichotem dotykaliśmy się pod ubraniem. Ciemność wyrastała z drzew, z powietrza, z trawy i z krzeseł. Długo staliśmy objęci, w końcu ona się uwolniła i poszliśmy się położyć.

Stała sama w łazience. Patrzyła na siebie w lustrze. Napotkała własne spojrzenie. Przytrzymała je, ale długo tego nie zniosła. Poszła się położyć. Słyszała, że sprzątam. Wstawiałem szklanki do zmywarki, otwierałem i zamykałem szuflady. W końcu zapanowała cisza. Może siadłem do pisania. Zaczęła myśleć o tym, który położył jej rękę na karku, stanęła wtedy zupełnie

nieruchomo i mu na to pozwoliła.

Kiedy przyszedłem się położyć, prawie już zasnęła. Znów się obudziła. Leżała, patrząc, jak przez głowę ściągam koszulę. Rzuciłem ją nieporządnie. Pasek już miałem rozpięty i dosłownie wyszedłem ze spodni, zostawiając je na podłodze. Zdjąłem slipy, przez chwilę stałem pochylony i zaraz się wyprostowałem. Byłem jej mężem, stałem przed nią nagi, chciała, żebym już się położył.

* * *

Leżeliśmy obok siebie, mówiłem jej do ucha o wszystkim, co chciałem, żeby zrobiła. Kiedyś to lubiła, potrafiła nawet dojść od samych moich słów, ale teraz powiedziała

– Posłuchaj, nie możemy się po prostu bzyknąć?

a ja

– Od razu?

a ona

– Tak, po prostu zwykłe norweskie bzykanie,

więc to zrobiliśmy, a raczej ja to zrobiłem jej. Ułożyła się na plecach, rozchyliła uda, albo ja je rozchyliłem, już tego nie pamięta, ale wszedłem w nią i zacząłem ją bzykać, leżąc na niej. Całkiem zwyczajne norweskie bzykanie, szybkie, rytmiczne, mocne. Leżała na plecach i nie dawała rady utrzymać oczu otwartych, nie dawała rady zamknąć ust. Pozwalała się podsuwać w górę na łóżku. Pozwalała się bzykać, pozwalala się wypełniać i brać, pozwalala, żeby to z nią robiono, żebym robił to ja, widziała moją twarz nad sobą, spoconą, rozgrzaną, oddychałem z otwartymi ustami, jakbym biegł.

Myślała o tym, którego poznała. O jego szyi, rękach, o tym, że się nad nią podpierał. Ja się nad nią podpierałem, brałem ją, nic nie mówiąc. Było

cudownie, nie trwało nawet szczególnie długo, a jej się to podobało, szybko, mocno i bez słowa. Leżała z rozsuniętymi nogami i z rękami odrzuconymi na boki. Leżała pod mężczyzną, który pragnął jej bardziej niż kogokolwiek innego czy czegokolwiek innego, wiedziała o tym, ale czy to wystarczyło? Tego nie wiedziała, nad tym się nie zastanawiała, nie teraz. Mocno się w nią wepchnąłem, w głąb, wyjść, wejść, wyjść, wejść, znów i znów, znów i znów. Zapomniała o myśleniu o nim i nagle znów nie zapomniała.

Musiała to powiedzieć, wykrzyknąć, usłyszeć własny głos. Powtórzyła *ty*. Mówiła *ty, ty, ty*, mówiła *ty, jak cudownie*. Powtarzała moje imię, *o Jon, o Jon, o Jon*. Powiedziała: *Jon, jeśli między nami kiedyś będzie koniec*. Powiedziała: *Nie będzie żadnego końca między nami, ale jeśli*. I jeszcze powiedziała: *Wtedy musimy mieć potajemny romans, ty i ja, bo nie chcę przestać się z tobą kochać, rozumiesz?* Cudownie się czuła, wypowiadając te słowa. Widziała, co się dzieje na mojej twarzy, że rozbłysło przede mną światło albo że zapadła ciemność, nie wiedziała, jak to rozumieć. Zostałem sam w tym, co wcześniej należało do niej i do mnie. Widziała, że zrozumiałem, co się z nią stało, musiałem to wreszcie zrozumieć, wreszcie to powiedziała. Znów powtórzyła moje imię, myślała o nim, a wołała mnie. Jej głos w ciemnym pokoju brzmiał czule i ochryple, zorientowała się, że on na mnie działa, ten głos, jęczący z taką czułością. Na nią również działał. Oboje krzyknęliśmy, głośno i długo, a potem ucichliśmy, no i było po wszystkim.

7

Któregoś wieczoru tej jesieni wróciła do domu z konnej jazdy, wywarło to ogromne wrażenie na naszym młodszym synu. Była w butach do konnej jazdy i obcisłych spodniach przeznaczonych do tego celu. Wcześniej nie widział jej w tym stroju, wyjaśniła, że go pożyczyła. Poznała mężczyznę, który miał konia i który uczył ją jeździć. To od niego pożyczyła ten strój. Bił od niej ostry zapach, nasz syn dostał od tego wysypki i zaczęły go swędzieć oczy. Odwiesiła strój w przedpokoju, poszła wziąć prysznic, a kiedy wróciła, znów była sobą, w szlafroku, z mokrymi włosami.

Ale on w nocy się obudził i przypomniało mu się, że jego matka dostała konia. Wbił sobie do głowy, że ten koń jest maleńki. Nie mogła żyć bez tego konia. Co prawda aż do tej pory żyła bez niego i było jej z tym dobrze. Teraz jednak wiedziała, że ten koń istnieje, więc jak mogła żyć bez niego? To był mały brązowy konik, nie większy od psa, sięgał jej do kolan. Wychodziła wieczorami z domu, żeby pobyć ze swoim konikiem. Przychodził do niej, gdy tylko była sama, nie lubił innych. Nie lubił jej rodziny. To znaczy owszem, lubił jego i jego brata, może nawet ojca, ale wolał matkę. Stał i czekał na nią na końcu ulicy, tam gdzie zaczynał się las. Czasami szedł obok niej, nic nie mówiąc. Byli tylko ona i koń. Miał ciemny łeb, ciemne boki, poza tym był brązowy jak stare pnie drzew, jak odwrócona łopata ziemia na nasłonecznionym zboczu, jak włosy tej dziewczynki, którą kiedyś, w dzieciństwie, była jego matka. Oglądał jej zdjęcia, miała długie ciemne włosy z grzywką. Jej koń też miał taką grzywkę, ciemną i gęstą, opadającą na

oczy. Byli do siebie podobni. Duże brązowe oczy z długimi ciemnymi rzęsami. Koń stał i zerkał na nią. Obserwował ją ze spokojem, jakiego wcześniej nie znała. Aż trudno sobie wyobrazić, że istnieje taki spokój. Widziała swoje odbicie w czarnym wielkim nieruchomym końskim oku, widziała, jak zmienia się w nim jej życie, i powiedziała:

– Chcę ciebie w moim życiu.

Koń dalej jej się przyglądał, nie odwracał się, ciemny i natarczywy. To on wypowiedział te słowa. Koń chciał jej w swoim życiu, a ona to teraz powtórzyła. Podszedł do niej, poczuła nacisk silnego końskiego ciała na udzie. Przysunął się do niej. A potem zaczął przychodzić do niej do domu. Za każdym razem, kiedy znalazła się w jakimś pomieszczeniu sama, koń się tam zjawiał. Stawał przy ścianie, odwracał łeb i ją obserwował. Stale jakby na nią czekał. Powinna była przyjść wcześniej. Potrząsał grzywą, machał ogonem, sztywny pęk długiego włosia szorował o ścianę. W końcu podchodził do niej, podkowy stukały i szurały po twardym parkiecie, zostawiały ślady widoczne dla wszystkich. Nie potrafiła się tym przejąć. Nie mogła myśleć o niczym innym niż o tym, że nareszcie ma konia.

Koń chciał ją mieć na grzbiecie, chciał ją zabrać ze sobą. Urósł. Nie był już małym konikiem sięgającym jej do pól uda, lecz dużym koniem. Zrobił się ogromny i wypełnił cały pokój. Matka musiała stawać na palcach, żeby objąć go za szyję. Teraz to ona sięgała mu do pól uda. Najpierw koń zmałał, żeby się zmieścić w jej życiu, a teraz chciał ją stąd zabrać. Kiedy tylko się zgodziła dać mu wszystko, o co prosił, zaczął rosnąć. Zrobił się ogromny, wypełnił całe jej życie, przesłonił wszystko.

Jej syn wyobrażał sobie siebie, jak leży pod wielkim brzuchem konia, którego dosiadała matka. Widział jej buty do konnej jazdy, ich podeszwy, i słyszał głos, czuł, bliski i pełen ciepłego powietrza, taki jaki znał. Ale matka przemawiała do konia. Słuchał jej głosu przemawiającego do konia, ten

głos stał się inny, ciemniejszy, a on nie rozumiał słów. Wiedział, że kiedy rano się obudzi, zobaczy, że koń znów u niej był. Znajdzie jego ślady na podłodze, duże zagłębienie w parkiecie i na schodach. Koń podrapał ścianę. Obgryzł krzesła. Obgryzł brzeg naszego łóżka. Był w łazience, nasikał w kącie na podłogę, zostawił dużą kałużę złocistego, cuchnącego moczu. Chciało mu się pić i szukał wody, dlatego obgryzł brzeg wanny. Odgryzł duży kawał. Nasz syn znalazł na podłodze fragment porcelany ze śladami wielkich zębów i ostrożnie umieścił na poprzednim miejscu, żeby nikt nie zobaczył, co zrobił koń. Obserwował, jak porcelana się zrasta, jak pęknięcia się wygładzają. Wychodząc z domu, koń pogryzł buty ojca, które stały w przedpokoju, a nasz syn usłyszał, jak mówię:

– Co tu się wyprawia?

Ale koń się tym nie przejął. Matka też nie, myślała tylko o znalezieniu konia. Zabrała go do pracy, postawiła pod biurkiem, wsunęła rękę między kolana i znalazła ciepły koński łeb. Pieściła spiczaste, powyginane, gładkie i ruchliwe uszy. Dwoma palcami musnęła wilgotne chłodne chrapy. Wsunęła mu rękę do pyska i dotknęła długich żółtych zębów. Dała mu się ugryźć. Siedziała nieruchomo, pozwalając, aby koń robił z nią to, co chciał. Kiedy po południu wracała do domu, podniosła rękę do twarzy i ją powąchała. Tak się cieszyła, że znalazła tego konia, że na świecie istnieje taki piękny koń i że to ona go ma. A on, nasz mały synek, on też się z tego cieszył. Miał nadzieję, że matka wkrótce opowie o tym koniu mnie. Wydawało mu się, że o nim nie wiem. Pozwoli mi powąchać swoją rękę i spyta: *Czujesz, czym teraz pachnę?*, a ja odpowiem, że pachnie koniem. Powiem też: *Ale z ciebie szczęściara, że masz takiego pięknego konia, tak się cieszę w twoim imieniu.*

Wyobrażał sobie gniadego konia z czarną sztywną grzywą, ten koń najpierw był mały, a potem zrobił się bardzo duży. Nasz syn, najmłodszy w domu, żywe zwierzęta lubił bardziej niż co innego. Mieszkał w pokojach razem z nami,

siedział przy stole, leżał w swoim wąskim łóżku, biegał po podłodze. Trzymał się blisko nas, zawsze, najczęściej, jak tylko mógł, a nasze głosy przenikały wprost w jego ciało.

8

W sylwestra wstała na długo przed wszystkimi. Udało jej się zrealizować to, co sobie postanowiła, już o siódmej rano biegła na nartach. Było tak ciemno, że musiała używać czołówki, na gwiazdkę kupiła mi nową, ekstra lekką i drogą latarkę na akumulatorki i teraz ją sobie pożyczyła. Na skraju pola widzenia śnieg układał się w miękkie, przypominające trolle kształty. Bała się spotkania z łośiem, świeże ślady wskazywały, że kręcił się po trasie, a w jednym miejscu w śniegu był głęboki dół, musiało się tu położyć na boku jakieś wielkie zwierzę, straciwszy równowagę. Czy łoś może stracić równowagę, nawet w takim lekkim, kopnym śniegu? Jeszcze mniej prawdopodobne wydawało się, by zwierzę ułożyło się tu, aby odpocząć. Postąła chwilę, pooddychała. Maszyna do przygotowywania trasy musiała dopiero co tędy przejeżdżać, ścieżka była świeżo ubita, nietknięta. A tak w ogóle to właściwa nazwa tej maszyny to *ratrak*, używała tego słowa z oczywistą swobodą. W każdym razie musiał tu być całkiem niedawno. Po ratraku, a przed nią, biegł tędy tylko jeden narciarz, ale jego ślady – była pewna, że to mężczyzna – nagle zniknęły. Na szczycie wzniesienia się urwały, jakby narciarz wzniósł się prosto do nieba. Odrobinę bała się ciemności, właściwie bardziej niż odrobinę, i starała się za wiele nie myśleć o ewentualnym spotkaniu z łośiem. Biegła szybko pod górę, skupiała się na technice i wytężała na tyle mocno, aby poczuć, że ciało odpowiada na wysiłek. Czuła, że jest silna. Była teraz kimś, kto może zejść nieskończenie daleko, i dotarła dalej, niż zamierzała, zanim zdecydowała się zawrócić. Szybko

i lekko ruszyła w dół, już się rozwidniło i pojawili się inni biegacze, w większości dorośli mężczyźni biegający sami, w pojedynkę, demonstrując eleganckie odbicia, zwłaszcza gdy spotykali się z nią. Raz, kiedy miała świadomość, że jest widoczna na szczycie wzgórza, zobaczyła, że ten, który podbiegał pod górkę, prostuje się i wyraźnie zaczyna starać, porusza się bardziej rytmicznie niż wcześniej. Ale na nią nie spojrział, więc go wyminęła z czymś w rodzaju przyjaznego triumfu.

Nie widziała nikogo znajomego i postanowiła nikogo nie wypatrywać. Nawet nie wzięła ze sobą telefonu. Nie musiała spotykać się z Haraldem za każdym razem, gdy wychodziła pobiegać, nie potrzebowała niczego innego oprócz wczesnego wyjścia z domu, przed wszystkimi innymi, i szybkiego biegu na nartach. Zgasiła czołówkę, ale zostawiła ją zawieszoną na szyi, aby każdy mógł ją zobaczyć i nawet pomyśleć, że spędziła na nartach całą noc. Dwie starsze kobiety powoli szły pod górę, obok siebie, musiała solidnie zboczyć, żeby w nie nie wjechać. Mocno odpychała się kijkami, jechała szybko, podobało jej się uczucie panowania nad prędkością. Życie było proste, akurat teraz w ogóle nie widziała w nim nic trudnego, panowała nad ciałem i nad techniką, miała dobry sprzęt i dbała o siebie. Panowała nad życiem, stała się taka, jaką pragnęła być.

Do domu wróciła przed dziewiątą, otupała na schodach śnieg z butów i wniosła narty do przedpokoju. Rozsznurowała i zrzuciła buty, weszła do kuchni, gdzie już napaliłem w nowym ekologicznym piecu na drewno. Zrezygnowaliśmy z ogrzewania elektrycznego, przeszliśmy na palenie drewnem. Tak było bardziej ekonomicznie, ekologicznie, nastrojowo, w stylu *vintage*, jak mówiła autoironicznie w imieniu wyższej klasy średniej, do której pod względem kultury się zaliczaliśmy. Umiarkowanie interesowaliśmy się tym, co dzieje się w społeczeństwie, byliśmy dość usportowieni, chociaż nikt już nie używał takich określeń, mówiliśmy, że lubimy być na bieżąco,

mówiliśmy, że jesteśmy aktywni i że lubimy się ruszać. Zdjęła wierzchnie ubranie i powiesiła je na krześle do wysuszenia. W kuchni było ciepło i jasno, panował porządek, na stole leżały nietknięte gazety. Przyniosłem je do domu. Widziała, że starannie odśnieżyłem też ścieżkę do skrzynek na listy. Dzieci ciągle spały, a przynajmniej leżały w łóżkach, wyczuwała, że w domu rządzi sen, nawet meble odpoczywały, krzesła czekały z otwartymi ramionami. Ja z pewnością siedziałem w pracowni w suterenie, przypuszczalnie słyszałem, że wróciła. Odkręciła kran, zaczekała, aż poleci lodowata woda, dopiero wtedy napełniła szklanekę. (Niebieskie szkło, ręczna robota, kupione na wakacjach we Włoszech). Opróżniła ją jednym wielkim haustem, jak zawsze. Zimna woda w ustach, spływająca przez gardło i pierś aż do brzucha. Napełniła szklanekę ponownie, wypiła, zastanawiając się, co trzeba zrobić. Prawie nic, bo indyka przyszykowała poprzedniego wieczoru, chciała jeszcze przygotować sałatkę, poza tym wszystko w normie. Postanowiła najpierw napić się kawy i przeczytać gazetę, usiąść przy stole i napawać się uczuciem, że jest po treningu. Nastawiła ekspres i porozciągała się, czekając na kawę. Urwała łypek marcepanowej śwince należącej do któregoś z chłopców – oni i tak nie lubili marcepanu. Pomyślała, że chyba znów zacznie ćwiczyć jogę. Zabrała ze sobą filiżankę, prostą, z białej porcelany, usiadła przy stole i zaczęła przeglądać gazetę. Niewiele było do czytania albo nie potrafiła się skoncentrować. Chciała mi opowiedzieć, jak daleko dotarła, i o tych śladach losia, które widziała. Otworzyła laptop i przeczytała wiadomości w sieci. Pożar, wypadek autobusu, coś o pogodzie, artykuł o najbardziej pokrętnych wymówkach roku. Nie uruchomiła programu pocztowego i nie sprawdziła SMS-ów w telefonie. Pławiła się w spokoju płynącym ze wszystkiego, co tak dobrze znała. Gdzieś otworzyły się drzwi. Myślała, że to któreś z dzieci poszło do łazienki, ale za chwilę usłyszała kroki na schodach, to szedłem ja. Odrobinę się wyprostowała, przysunęła bliżej laptop. Pozwoliła mi na siebie

patrzeć, zanim podniosła głowę i powiedziała cześć.

Miała taką świeżą, zarumienioną twarz, sama to czuła, aż z niej tryskało, wróciła z dworu i była zadowolona z siebie. Przeciągnęła się, gdy do niej podchodziłem, i zaraz poczuła moje ręce na ramionach, na karku i na plecach. Zamknąłem dłonie na jej piersiach. Potem przesunęły się do jej talii, dotknąłem jej skóry pod koszulką, była chłodna. Zatrzymałem się na biodrach, wiedziała, że tak lubię. To przypominało seks i pewnie dlatego to robiłem, to był znak. Nachyliłem się i pocałowałem ją w szyję, w policzek, znowu w szyję i w kark. Odwróciła do mnie twarz i pocałowaliśmy się w usta. Wargi mieliśmy suche, więc otworzyliśmy usta i całowaliśmy się, dotykając się językami, tak aby usta się rozgrzały i zwilgotniały. Wszystko w nas nabrzmiało i domagało się dotyku. Pomyślała, że zdążymy położyć się do łóżka, zanim dzieci wstaną. Byłem w pizamie, przesunęła ręką do góry po moim udzie, czuła, że i ja myślę o tym samym. Położyła mi dłoń na kroczu, na pizamie. Zaczęła opowiadać, jak dobrze jej zrobiło to wyjście na narty, że nie widziała nikogo, dopóki się nie rozwidniło. Opowiedziała o śladach łośia, o wgłębieniu zostawionym przez zwierzę, które położyło się na śniegu, o śladach narciarza, który rozpułynał się w powietrzu. Opowiedziała o innych biegających na nartach, tych, którzy pojawili się, kiedy już się rozjaśniło, i że byli to niemal wyłącznie mężczyźni.

– To takie typowe. Kobiety są w domu i szykują jedzenie.

– No właśnie. Mam szczęście, że nie muszę tak żyć.

– Uważasz, że masz szczęście?

a ona pogładziła mnie ręką po krzyżu i powiedziała

– Tak, wielkie szczęście,

a ja przyświadczyłem i zapadła cisza, ona się roześmiała, jakby życzliwie, a ja dodałem, że zamierzałem powiedzieć, że ja też mam szczęście. Teraz śmialiśmy się oboje, a ona powiedziała

– Miło spędziłeś czas?

Chciała spytać, czy pisałem, ale ugryzła się w język. Wiedziała, że nie lubię, kiedy pyta, czy czytałem albo pisałem czy co tam robiłem. Zrozumiała, że lepiej nie pytać, na wypadek gdyby nic mi nie wyszło. Nie lubiłem rozmawiać o tym, czym się zajmuję, miała tego świadomość, traciłem otuchę co drugi dzień, co drugą godzinę, a wtedy nie chciałem rozmawiać ani o książeczkach dla dzieci, ani o artykułach popularnonaukowych. Wiedziała również, że mimo wszystko czasami takie pytanie lubię, nagle z chęcią mówiłem o tym, co pisałem, tyle że ona nigdy nie mogła przewidzieć, kiedy tak będzie. Dlatego spytała tylko, czy miło spędziłem czas, a ja odpowiedziałem

– Czytałem Simone de Beauvoir. Nie rozumiem, dlaczego nie czytałem jej wcześniej.

– Nie czytałeś?

– Owszem, ale odłożyłem ją na bok, a nie powinienem. Ona pisze tak żywo, tak swobodnie, o zakochaniu, o oddaniu, zupełnie otwarcie, przynajmniej tak się wydaje. Chociaż łatwo wyczuć, że zwraca się do Sartre'a, że się do niego dostosowuje, do swojego związku z nim. Pisze do niego listy ze Stanów, pojechała tam odwiedzić Nelsona Algrena, no wiesz, miała z nim romans, o tym wiesz na pewno.

– Nie pamiętam, kim był Nelson Algren.

– Pisarzem. Wydaje mi się, że ten związek nie był łatwy. Ale nagle mimo wszystko okazuje się łatwy, ona pisze, jak się kochają wcześniej rano, chyba w Chicago. To mogło być w jakimś domku, do którego pojechali. Ale czy ty rozumiesz? Ona pisze do Sartre'a o tym, jak sypia z innym mężczyzną, z którym ma romans, o tym, jak jej związek z Algrenem nagle nabrał czułości i bliskości, chociaż jeszcze niedawno uważała, że to niemożliwe.

– Oni tak żyli?

– Tak, ale w wielu ich innych listach, które czytałem, łatwo wyczuć istniejącą między nimi zazdrość. Mieli nie być o siebie zazdrośni, ale jednak się nie udało. Jeśli jedno się w kims zakochało, drugie też musiało szukać kogoś, w kim może się zakochać. Trochę jakby starali się jedno drugie prześcignąć. Ale mam wrażenie, że tutaj jest inaczej, głęboko przywiązała się do Algrena i jest tym przepełniona, kiedy pisze do Sartre’a, dlatego to wydaje się łatwe. Jakby nieuniknione, dlatego całkiem w porządku.

– Jak on na to zareagował?

– Kto?

– Sartre.

– Nie wiem. Nie mam jego listów z tego okresu.

– Pójdziemy się na trochę położyć?

– Już po dziewiątej, musimy się pospieszyć.

– Myślisz, że się obudzili?

– Nie wiem.

Ruszyliśmy gęsiego do sypialni i najciszej, jak umieliśmy, zamknęliśmy drzwi. Mieliśmy już teraz dość duże dzieci, dorośliśmy razem. Nie potrafiliśmy policzyć, ile razy się ze sobą kochaliśmy, to zresztą nie miało znaczenia, mieliśmy robić to dalej. Bardziej interesujące było liczenie, ile razy spaliśmy z innymi, zanim się ze sobą związaliśmy. Kiedyś oboje byliśmy niedoświadczeni i niezgrabni. Kiedyś ukrywaliśmy się przed rodzicami, żeby rozbierać się z naszymi ukochanymi, teraz ukrywaliśmy się przed dziećmi, żeby być nadzy razem. Zdjęła bluzę i legginsy, podczas gdy na nią patrzyłem, położyła się na łóżku i czekała, żebym zajął się jej majtkami. Nie lubiła słowa figi, więc ja też nigdy go nie używałem. Zresztą i tak była w bokserkach. Zsunąłem je z wystudiowaną powolnością, jakby pytająco, mówiąc:

– Jesteś taka śliczna. Majtki ci się odcisnęły.

Popieściłem jej skórę końcami palców i pokazałem jej gdzie. Miała jasną

skórę, miękką, po zimowemu białą, nieco chłodną po pobycie na dworze. Bardzo mi się podobała ta jej zimowa bladość, wiedziała o tym, mówiłem, że dzięki temu jej ciało staje się wyraźniejsze, ale teraz miała odciśnięty zaczerwieniony wzorek od gumki na biodrach i głębokie ślady szwów na udach.

- Te majtki są chyba trochę za ciasne.
- Ładnie to wygląda. Jakbyś miała na sobie niewidzialne ubranie.
- Niewidzialne ubranie, no wiesz.
- Mogłabyś je nosić cały czas.
- Podobałoby ci się. Wszyscy mogliby mnie oglądać.
- Rzeczywiście, podobałoby mi się.
- Tylko ty uważasz, że jestem taka ładna.
- O nie. Zaczekaj, a się przekonasz.
- Na co mam czekać i się przekonywać?

Intymne rozmowy. Bezsensowne, dziecinne, zalotne wymiany słów między dwojgiem ludzi, którzy dobrze się znają. W każdym razie mieliśmy powody, by sądzić, że się dobrze znamy, żyliśmy w przekonaniu, że my dwoje znamy się lepiej, niż ktokolwiek inny mógł znać którekolwiek z nas, i na tym przekonaniu, na krótkich słowach i przelotnych spojrzeniach rzucanych ponad głowami dzieci budowaliśmy republikę cieni naszej dorosłej miłości. Mówiliśmy sobie rzeczy, które powiedzieliśmy już wcześniej, wiele razy, słowa miały jedynie pasować do tego, co robiły ręce. Ona zdjęła ze mnie T-shirt, pogładziła mnie rękami po plecach, przyciągnęła mnie do siebie. Usłyszała, że coś o niej mówię, o jej dłoniach, biodrach czy o sposobie, w jaki mnie trzyma. Włożyła mi rękę w piżamę i mnie dotknęła. Zamknęła dłoń na penisie i zsunęła napletek. W dotyku przypominał cienki materiał, pomarszczony, napięty, pomarszczony, napięty, przetarty materiał używany tyle razy, że stał się gładki i miękki, z łatwością mógł się podrzeć pod palcami. Położyłem się na niej,

podparłem na wyprostowanych rękach, przesunąłem twarz nad nią i popatrzyłem jej w oczy, zmusiłem ją do spojrzenia w moje – robiłem tak ze wszystkimi, zmuszałem do patrzenia mi w oczy, potrzebowałem tego. Pomyślała, że to tak, jakbym potrzebował spać ze wszystkimi. Lubiła myśleć o tym, co według niej nie przychodziło mi do głowy, o co jej nie podejrzewałem. Otworzyła się dwoma palcami, wprowadziła penis w siebie, wargi miała wilgotne na zewnątrz, w środku bardziej suche. Napotkałem na lekki opór, poczuła, że się wycofuję i znów w nią wchodzę. Powtórzyłem to wielokrotnie, powoli, na próbę, ostrożnie i z powagą. Wewnętrzne wargi przeszkadzały, ale wkrótce zrobiło się bardziej ślisko, poczuła, że się otwiera. Poruszyłem się za szybko i zaboląło, poczuła, że mnie na pewno też, albo w ogóle tego nie poczuła, tylko zrozumiała, kiedy się wysunąłem. Poruszałem się bardziej na zewnątrz, krótszymi ruchami, to pomogło i już za chwilę znaleźliśmy się tam, w oddaniu, w objęciach, w przynależności do siebie. Odpędziliśmy lęk i nudę, ona uniosła biodra, chciała mieć mnie całkiem w sobie aż do dna, lubiła tak myśleć, chyba można to nazwać naprowadzającym sformułowaniem: aż do dna. I wcale już nie bolało, ani ją, ani najwyraźniej mnie. Przestała mówić, pozwalała, żeby powietrze wychodziło jej z ust razem z głosem przy każdym moim pchnięciu, wymawiała coś w rodzaju *a*, otwartego, przeciągłego, z następującym po nim wydechem, raz po raz to samo – *a-ch! a-ch! a-ch! a-ch!* – które na mnie działało, wiedziała o tym, i na nią też. Wydawaliśmy z siebie odgłosy rozkoszy, głodu i chciwości, nagle jednak przypomniała sobie o dzieciach i spojrzała na mnie. Tym razem to ona się przeraziła, a ja powiedziałem

- Nie słyszą nas, drzwi są zamknięte.
- Może powinniśmy zamknąć na klucz.
- Możemy, ale nie chcę teraz z ciebie wychodzić, w ogóle nie chcę z ciebie wychodzić nigdy, musielibyśmy podejść do drzwi razem.

Zamknęła oczy, a może nie miała pojęcia, co robi, nie myślała o tym, przestała się widzieć, z powrotem opadła, a ja poruszałem się na niej, ku niej, w niej. Położyła mi ręce na plecach i poczuła, że podsuwam ją do góry na łóżku. Oparłem się na jednej ręce, drugą chwyciłem ją za biodro, lubiła to, musieliśmy to lubić oboje, zwykle tak ją trzymałem, za biodro. Znów zaczęła wydawać dźwięki i nagle usłyszała, że ktoś łapie za klamkę, zdecydowanie ją naciska, ja też to usłyszałem i zwałem się obok niej, niechętnie, z otwartymi ustami, wyglądało to komicznie, więc głośno się roześmiała. W drzwiach stał nasz młodszy syn i pytał

– Jeszcze nie wstaliście?

a ja, jakby w półśnie, z ręką na twarzy, powiedziałem

– Już się obudziłeś? Niedługo wstaniemy. Idź, pooglądaj telewizję dla dzieci,

a on na szczęście nie miał nic przeciwko temu. Drzwi zostawił otwarte, ale dla nas przecież nie była to pierwszorzyna, potrafiliśmy być cisi, powolni, tak żeby dzieci nas nie słyszały, nawet kiedy przebywały w sąsiednim pokoju. Odwróciła się na bok, wysunęła pośladki w moją stronę, a do siebie przyciągnęła poduszkę, lubiła ją trzymać przy twarzy. Myślała o tym, że pozwala się brać, nie, o niczym nie myślała, ale właśnie tego w tej chwili pragnęła, by ją brano, by coś przy niej robiono, i miała też ochotę krzyczeć, ale nie mogła, nawet w poduszkę. Wyrażanie pożądanego zwykle jeszcze je wzmagало, a, o dziwo, n i e m o ż n o ś ć wydawania dźwięków również je potęgowała. Szybko oddychała w poduszkę. Czuła zapach płótna suszonego na dworze, płótna wilgotniejącego pod wpływem jej oddechu, gorącego i ciężkiego, takiego jak przy zbyt długim pocałunku, kiedy wdychała gorące zużyte powietrze z moich ust.

Ale teraz nasz młodszy syn zaczął mnie wołać, głos miał jasny, otwarty. Żył w poczuciu bezpieczeństwa, był nas pewien, wiedział, że jesteśmy przy nim,

dlatego zawołał

– Tatusiu, pomożesz mi nastawić telewizor?

Kiedy poczuła, że nie jestem w stanie odpowiedzieć, krzyknęła trochę za głośno

– Tatuś zaraz dojdzie!

To była prawda, słyszeliśmy to oboje, ale się nie roześmialiśmy, nie od razu, ona tylko prychnęła, a ja wydałem z siebie dźwięk oznaczający urazę. Staralem się nie dać wytrącić, ale się nie udało. Usłyszeliśmy, że on znów się zbliża, szedł do nas, chciał się upewnić, iż nie zapomniałem, że mam mu pomóc, no i chciał być blisko nas, blisko mamy i taty. Szukał ciepła, potrzebował naszych głosów, naszych ciał, potrzebował poczucia, że o nim wiemy, że mamy na niego baczenie, i spytał

– Z czego się śmiejecie?

Bo on też chciał się śmiać z nami, już wdrapywał się na łóżko, ale ja się podniosłem, powiedziałem, że z nim pójdę, spodnie od pizamy miałem zsunięte do kolan, więc je podciągnąłem, stanąłem pochylony, żeby nic nie było widać przez materiał, ale i tak na niewiele się to zdało, dlatego przycisnąłem rękę do krocza, mówiąc

– Pójdę ci teraz pomóc nastawić telewizor,

a wychodząc z pokoju, odwróciłem się do niej, uśmiechnęliśmy się do siebie, zdyszani, z czerwonymi plamami na twarzach, wytrąceni z równowagi. Ona została w łóżku i wsunęła rękę pod kołdrę, pokazała mi, że ją tam wsuwa, jeszcze ciągle mogło się udać, i zawołała za mną

– Idę pod prysznic, przyjdiesz do mnie?

a ja odpowiedziałem, że tak, konspiracyjnie, głosem grubym ze wzruszenia, miałem słabość do wszystkich jej pomysłów, i po cichu zamknąłem za sobą drzwi. Wiedziała, dlaczego je zamykam, i trochę próbowała, ale jednak nie wyszło, nie teraz.

To w niczym nie szkodziło, słodycz w niej była ciepła i żywa, chroniła ją, doprowadzała do pionu, tak samo jak wczesne wstanie i wyprawa na nartach potrafiły utrzymywać ją w pionie przez wiele godzin, i jak czytanie gazet, picie kawy, ćwiczenia jogi, pompki, brzuszki, utrzymywanie się w pozycji deski przez minutę albo dwie również potrafiło doprowadzić ją do pionu i uczynić życie przepuszczalnym dla światła, dzięki czemu dało się w nim poruszać. Trzymać się w pionie, potem trochę opaść, znaleźć coś, co znów pomoże się wyprostować, poczuć się dobrze, poczuć się jeszcze lepiej, trzymać się w pionie, a potem znów trochę opaść. W każdej chwili groziło jej zanurzenie się pod powierzchnię, ale była dobra w zapewnianiu sobie tego, czego potrzebowała, aby doprowadzić się do pionu, naprawdę dobra, i sama o tym wiedziała. A teraz wstała i poszła pod prysznic.

Zdążyła umyć głowę, zanim wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi na klucz, zdjąłem spodnie od pizamy i zanurkowałem do niej. Objęliśmy się, pocałowaliśmy pod lejącą się z góry wodą. Jej dłoń objęła mój penis, był bardziej miękki, mniejszy, ale zaczął rosnać, odwróciła się wtedy do mnie plecami i oparła o ścianę ułożonymi na płasko dłońmi, z policzkiem przyciśniętym do kafelków, jakby ktoś mocno ją tam pchnął. Wypięła pośladki i rozstawiła nogi. Poczwała, że nie mogę trafić, ale w końcu trafiłem, najpierw palcami, a potem tym, co trzeba. Wsunąłem się w nią i pchnąłem w górę, zobaczyła, że strugi wody leją mi się na twarz, więc odwróciła główkę prysznicza do ściany. Poczwała, że jeszcze nie całkiem stwardniałem, więc zacząłem mówić, żeby rósł mi szybciej, żebym mógł szybciej dojść, zanim ktoś się zjawi i znów nam przerwie. Spytałem, czy sama się dotykała, spytałem, o kim myślała, kiedy to robiła, a ona mi odpowiedziała: *Chciałbyś to wiedzieć, co?*, to podziałało, poczuła to coś długiego, twardego, co się w nią wbijało, sama też była teraz bardziej wilgotna, a ja powiedziałem

– Wyobraź sobie, że ktoś cię odwiedza. Wyobraź sobie, że przychodzi

i kładzie się do łóżka razem z tobą w czasie, gdy ja jestem w kuchni i zajmuję się dziećmi.

– Wtedy bym tam leżała i kto inny by mnie miał. Ty sobie to wyobraź.

Usłyszała, że wydaję z siebie dźwięk, głęboki i jęczący, i pozwoliła się pchnąć pod ścianę, ale usłyszała coś jeszcze. Dzwonek do drzwi. Niewiarygodne. Ktoś naprawdę zadzwonił do drzwi, rano w sylwestra, i wkrótce usłyszeliśmy głosy w korytarzu. Nasz młodszy syn nacisnął klamkę w drzwiach do łazienki i powiedział, że przyszła Una Birgitte, nasza sąsiadka. Timmy popatrzyła na mnie, kręcąc głową, to było beznadziejne, i zaraz usłyszeliśmy głos naszego bladego wielkookiego synka

– Dlaczego zamknęliście drzwi?

wtedy poczuła, że się z niej wysuwa ze zrezygnowanym plaśnięciem, mokry i zgaszony, penis tak rozczarowany, iż nikt by nie uwierzył, że ktokolwiek się nim kiedykolwiek zajmował, miała ochotę o tym powiedzieć, ale teraz nie zabrzmiałoby to wcale zabawnie, więc postanowiła zachować to na kiedy indziej. Dotknęła mojej twarzy i pogładziła mnie po policzku, powiedziała: *Zostań tu, a potem coś wymyślimy. Może później puścimy im film i sami znów się położymy.* Lekko musnęła mój penis, aby mi przekazać, że na razie sam mogę się dotykać, zareagował na jej palce, poczuła to, szybko i niedokładnie wytarła się ręcznikiem, włożyła szlafrok i poszła porozmawiać z Uną Birgitte, która chciała coś pożyczyć albo zaprosić nas na kawę.

Moja córka również powinna tam wtedy być, tego roku spędzała u swojej matki Wigilię, więc u nas wypadał sylwester, ale wolała iść na imprezę. Jak zawsze za nią tęskniłem, chociaż powiedzieliśmy sobie, że tak jest dobrze, lepiej, żeby sylwestra spędzała z młodzieżą w swoim wieku niż z nami. Ona była przyzwyczajona do mówienia mi takich rzeczy, do wskazywania okoliczności łagodzących. Na początku naszego związku bardzo tego potrzebowałem. Nie tylko rozstałem się z inną kobietą, żeby być razem

z Timmy, ale rozstałem się również ze swoją córką.

Po wyjściu Uny Birgitte Timmy znalazła mnie w pokoju naszego starszego syna. Pokazywał mi grę, trochę niechętnie, bo wolał sobie grać w spokoju. Typowe dla mnie było szukanie towarzystwa któregoś z dzieci, kiedy ktoś przychodził z wizytą. Zwłaszcza teraz, gdy tak gorąco pragnąłem, aby wszystkie dzieci były w domu. Znów miałem na sobie spodnie od pizamy i T-shirt, byłem tym, którego znała lepiej niż kogokolwiek innego. Zwykle tak o mnie myślała, a teraz tak łatwy wydawał się powrót do tego, co bezpieczne, do naszej bliskości. Gwizdnęła na mnie i zobaczyła, że moja twarz się rozjaśnia, wygląda jak miękkie płótno. To było proste, tak łatwo udawało się jej mnie ucieszyć, lubiła patrzeć, że to działa.

– Nie mógłbyś raczej przyjść do mnie? – spytała.

Wstałem i poszedłem za nią. Położyła mi rękę na twarzy, poczuła, że obejmuję ją przez krzyż, odsunęła się lekko, kiedy chciałem ją pocałować, tylko po to, żeby jeszcze raz to zobaczyć, jak łatwo sprawić, żebym poczuł się bezpieczny, prosty, męski i zadowolony.

Mawiała, że to należy do jej obowiązków jeszcze z czasów, gdy pracowała jako lekarz ogólny, reformułowanie przeżyć, aby stały się łatwiejsze do udźwignięcia. Wielu pacjentów potrzebowało przekalibrowania spojrzenia na siebie, na przykład po to, aby nauczyć się żyć z chorobami przewlekłymi. Jej samej również to dobrze robiło, dzięki temu utrzymywała się na powierzchni, prawie wszystko dawało się zreformułować, tak aby sprawiało wrażenie, że jest dobre. A teraz od jej wypadu na narty minęło już tyle czasu, że potrzebowała położyć się naga w łóżku ze mną, potrzebowaliśmy tego oboje. Puściłem film, który obaj nasi synowie chcieli zobaczyć, *Fantastycznego pana Lisa Wesa Andersona*, powiedziałem, że sam chętnie bym go obejrzał, ale jeszcze większą ochotę miałem na pójście z nią do łóżka. Kiedy więc film ruszył, poszliśmy do sypialni, a ona najciszej, jak potrafiła, zamknęła drzwi na

klucz.

Szybko się rozebraliśmy, stojąc obok siebie, przypominaliśmy w tym dzieci, które mają się kapać, położyliśmy się pod kołdrą, już nie jak dzieci, tylko jak dojrzały kochankowie, którzy wiedzą, czego im potrzeba. Dłonie kładły się tam, gdzie były oczekiwane, w miejscach, w których kładły się już wcześniej. Ona wyciągnęła się na plecach, ja leżałem obok, przełożyła jedno udo przeze mnie, tak abym mógł w nią wejść, kiedy będzie sama się dotykać. Jedną ręką otwierała górną część swojej płci, napiętej i gładkiej, a drugą dotykała się dwoma palcami. Wszedłem w nią dość powoli, dotknąłem punktu, który dobrze już знаła, właśnie to było cudowne, zdarzało się, że dokładnie w tym momencie dochodziła, albo prawie, w ogóle się nie dotykając. Nabrzmiała wokół mnie, ciało między nami zgęstniało, zrosiliśmy się, nie potrafiliśmy już rozróżnić, co jest jednym, a co drugim, oprócz tego, że ona była tą, która leży z zamkniętymi oczami, a ja tym, który się porusza i cicho, z czułością szepcze jej wprost do ucha.

Mówiłem, że odwiedził ją mężczyzna, na którego miała ochotę, i zamknęła się z nim w sypialni, a ja w tym czasie musiałem pilnować dzieci, żeby się nie zorientowały. Opowiedziałem jej, jak on wygląda, wysoki, szczupły, o lekkich ruchach, no i o tym, co chciał z nią robić. O tym, że sam chodziłem od dzieci do zamkniętych drzwi, stałem pod nimi i słuchałem wydawanych przez nią odgłosów, jeśli dało się je usłyszeć. Podobało jej się, że to mówię, poruszała na boki głową na poduszce, mnie samemu też się to podobało, ale nie wystarczyło, nie mnie. Powiedziałem, że sam też chciałbym tam być, razem z nią, i patrzeć, jak on ją bierze, jak jemu rośnie i twardnieje, jak wilgotnieje od jej płci, chciałem patrzeć, jak w nią wchodzi i się z niej wysuwa. Mówiłem to, a ona nie otwierała oczu, ale wiedziała, że patrzę na własny penis i wchodząc w nią i się z niej wysuwając, wyobrażam sobie, że należy do innego. Wydała z siebie dźwięk, nie, nie wydała, sam się wydostał, ściszone

wycie. Poczła, że uda jej drgają, to było cudowne. Spytałem, czy będę mógł kiedyś zobaczyć, jak robi to z innym. Przesunęła się wyżej na łóżku, ponieważ zacząłem poruszać się mocniej, otworzyła oczy i odkryła moją twarz bliżej własnej, niż przypuszczała, śledziłem ją, chciałem dojrzeć wyraz rozkoszy na jej wargach, na powiekach, kręcenie głową, jakby coś było źle, a przecież nie było, odpowiedziała mi: *Tak, mozesz*, i zaraz potem krzyknęła: *Tak, tak, tak*, przyciągnęła do siebie poduszkę, nakryła nią twarz i w nią krzyczała. Za moment poczuła, że ja też doszedłem, dość cicho, wydając z siebie jedynie coś w rodzaju zduszonego zrezygnowanego westchnienia, i nagle oboje znieruchomieliśmy, bezgłośni, jedno przy drugim, żeby sprawdzić, czy dzieci nas nie usłyszały. Ale tak się nie stało, oboje byliśmy tego pewni.

Wstaliśmy, ubraliśmy się i razem przygotowaliśmy obiad, film już się kończył, a końcówka *Fantastycznego pana Lisa* przynosi przecież rozczarowanie w porównaniu do pełnego obietnic początku, lecz nasi synowie siedzieli jeden przy drugim z otwartymi ustami, wyglądali tak, jakby w ogóle nie zauważyli, że wyszliśmy z pokoju. Ona już dawno wstawiła indyka do piekarnika, miał się piec trzy godziny i niedługo powinien być gotowy. Teraz przygotowywała sos, a ja gotowałem ziemniaki i brukselkę, nakryłem też do stołu, przeprosiłem, że to ona wzięła na siebie główną odpowiedzialność za dzisiejszy obiad, to było takie typowe, czułem się jak typowy mężczyzna będący z typową kobietą, a tego przecież sobie nie życzyłem. Wszystko wokół mnie się zamknęło, wszystko stało się takie małe i zwyczajne, stwierdziłem, a wtedy ona powiedziała

– Zapominasz o czymś.

– O czym?

– O tym, że to ty prawie codziennie gotujesz obiad.

Ucieszyłem się wtedy, dokładnie tak, jak tego chciała. A potem przekazała mi, że Una Birgitte zaprosiła nas do siebie na wieczór. Ale z tego wcale się

nie ucieszyłem, powiedziałem

– Na dziś wieczór? Przecież jest sylwester!

– No tak, ale siedzimy w domu i nie mamy gości. Oni też. Wymyślili, że dzieciaki mogą w suterenie razem obejrzeć jakiś film, a dla nas będzie wino i sery. Uznałam, że to miło. To przecież takie lekkie i spontaniczne, nic formalnego, prawda?

* * *

Kiedy przyjmowała zaproszenie od Uny Birgitte, pomyślała, że mnie się to nie spodoba i że z pewnością powinna to ze mną wcześniej ustalić. Ale nie miała siły odmawiać. Nie znalazła żadnej dobrej wymówki, a poza tym właściwie jej to odpowiadało. Lubiała, kiedy coś się działo. Działanie wycieczki na nartach ustąpiło, nie była już równie harmonijna i rozluźniona jak wcześniej tego dnia. A kiedy Una Birgitte siedziała w naszej kuchni, popijając kawę, to jeszcze nie zdążyliśmy się ze sobą przespać. Teraz, po orgazmie, mogłaby posiedzieć spokojnie przez godzinę albo dwie, wiedziała jednak, że później znów będzie musiała coś wymyślić, a wtedy dobrze będzie spędzić trochę czasu z Uną Birgitte i Paulem Edvinem, popijając wino i rozmawiając. Lubiała rozmawiać z ludźmi, w ten sposób odrywała się od siebie. Był to dokładnie ten sam powód, który sam zwykle podawałem, tłumacząc, dlaczego n i e l u b i ę przyjąć i wpadania na kawę, mawiałem, że wtedy tracę siebie. Jej zdaniem zawsze byłem dziwakiem, ale w pierwszych latach bardzo się jej to podobało. Wiele się z tego nauczyła, przestała zgadzać się na wszystko, co się trafiało. Zaczęła więcej uwagi zwracać na własne potrzeby. Ale ostatnio chyba coraz więcej rzeczy sprawiało mi trudność. Poza tym przestała też zgadzać się na wszystko, co pochodziło ode mnie. Wiedziała, że najchętniej spędzałbym czas z dziećmi i z nią, ale przyjęła to zaproszenie od razu, nie rozmawiając o nim ze mną.

Teraz była już piąta, siedzieliśmy i jedliśmy, jak wiele innych rodzin w całym kraju, a ona zauważyła, że już zaczynam odczuwać wielką niechęć do tego wyjścia. Przygotowała nadzienie z pieczarek, cebuli, czosnku, bazylii i soli, z dodatkiem śmietany. Indyk piekł się trzy i pół godziny, ja ugotowałem ziemniaki i doprawiłem sos z wywaru na podrobach. Ona już dzień wcześniej znalazła przepis na sałatkę z niebieskim serem pleśniowym i czerwoną cebulą. Sałatka była zbyt sycąca do tak ciężkiego jedzenia, poza tym dzieci nie chciały jej jeść, ale pokroiła indyka i podała jasne, ładne plastry. Istotne dla nas było, aby to ona kroїła mięso, gdybym zrobił to ja, wyglądalibyśmy na rodzinę z lat pięćdziesiątych, właśnie tak odpowiedzieliśmy, kiedy nasz starszy syn spytał, dlaczego zawsze robimy w ten sposób. Czula się lekka, niezwykczona. Indyk, biały i chudy, wcale nie był za suchy, ale kroїł się dość trudno, a może nóż należało naostrzyć, żalowała, że tego nie zrobiła. Wzniosła toast ze mną i z dziećmi. Wsunęła nogę i pogładziła mnie nią po łydce, czekała, aż się uśmiechnę, ale się nie doczekała. Było nam razem cudownie (w końcu, po tylu przeszkodach), a mimo to dla mnie skutek najwyraźniej już mijał. Poszła po gorący sos, który stał na kuchence, a w powrotnej drodze dopilnowała, żeby przejść obok mnie. Postawiła sosjerkę przede mną, nachyliła się i dłonią przeczesala mi włosy. Podniosłem na nią wzrok. Zobaczyła moje wilgotne oczy, zaciśnięte usta, miała nadzieję, że nie zacznę płakać.

– Smutno ci?

– Nie, skąd.

Ale musiałem być smutny albo poirytowany, trochę jakby bliski płaczu ze złości. Nigdy nie przyznałbym się, że jestem nachmurzony, to było zbyt małostkowe. Powiedziałem kiedyś, że nachmurzenie powinno zostać wykreślone z rejestru ludzkich uczuć. Ale ona już i tak wiedziała, że potrafię do tego stopnia poczuć się wytracony z równowagi, że muszę iść się położyć. Sytuacja mogła się bardzo skomplikować, gdyby nie zdołała jej odwrócić.

Wsunęła mi rękę pod koszulę, pomasowała mi pierś na wysokości serca. Poczuała, że bije mocno i szybko, nachyliła się nade mną i szepnęła mi do ucha:

– Było mi z tobą cudownie.

Spojrzałem na nią, położyła mi rękę na włosach, przyciągnęła moją twarz do swojej i mnie pocałowała. Zazwyczaj to ja pierwszy otwierałem usta, ale tym razem ona zrobiła to najpierw, pchnęła język w kierunku mojego, całowała mnie długo. Temu pocałunkowi towarzyszyło trochę mlaskania, aż nasz starszy syn jęknął zrezygnowany, zawstydził się, ale ona uniosła dłoń na wysokość mojej twarzy, jakby chciała mnie przed nim zasłonić, i powiedziała:

– Cicho. Muszę tylko trochę pocałować twojego tatę.

Wydał z siebie inny dźwięk, jakby warknął, zabrzmiało to komicznie. Ale wcale nie miał na myśli nic zabawnego, chciał tym odgłosem wyrazić obrzydzenie, nie mógł na nas patrzeć. Nie zabrała ręki, tylko dalej mnie całowała przez tę małą dziurkę między palcami przylegającymi do mojej twarzy. Ugryzła mnie w dolną wargę i spojrzała mi w oczy.

– Zostaniemy tam, dopóki nie skończą się fajerwerki, a potem wrócimy do domu, okej?

– Nie mam ochoty puszczać fajerwerków z Paulem Edvinem. Chcesz, żebyśmy my dwaj puszczaali fajerwerki, a w tym czasie ty i Una Birgitte podacie ciasto? Tak ma być?

Widziała, że sam się nakręcam. Paul Edvin był moim czułym punktem. Uczył w szkole norweskiego i bardziej niż przeciętnie interesował się literaturą, muzyką i filmem. Poza pracą lubił spędzać czas w domu, na przyjęciach czuł się niekomfortowo, zażenowany tak samo jak ja, dlatego wkrótce po tym, jak ich poznaliśmy, sądziłem, że może zostać moim dobrym przyjacielem, którego nigdy nie miałem. Coś jednak nie wypaliło, nie znaleźliśmy wspólnej płaszczyzny, nasze rozmowy nie wykraczały poza uprzejmości i konwenanse. Timmy sugerowała, że takie spotkania również są

wartościowe, ale mnie denerwowało, że nigdy nie potrafię przy nim odezwać się spontanicznie, bez oporów. A ponieważ Una Birgitte ślepo wierzyła w segregację płci i zawsze ściszała głos, zwracając się do Timmy, kiedy chciała powiedzieć coś ze szczerego serca, Paul Edwin i ja byliśmy pozostawieni samym sobie. Kończyło się na uprawianiu męskiej formy wymiany myśli między ludźmi, wygłaszaliśmy sobie nawzajem krótkie wykłady na różne tematy. Nie byłem wówczas tym, kim chciałem być, i oczywiście nie mogłem tego znieść, dlatego prędzej czy później musiałem nagle wracać do domu.

Timmy pogładziła ręką mój ostrzyżony na krótko tył głowy, w dotyku gładki jak futro, jak wilgotne chroniące przed wodą futro wydry; to ona mnie zwykle strzygła. Potem podeszła do blatu i sięgnęła po telefon. Wcześniej położyła go na parapecie spodem do góry, wyłączyła też dźwięk, żeby nie czekać na żaden sygnał. Przez całe przedpołudnie w ogóle go nie sprawdzała, aby mieć pewność, że kiedy to zrobi, znajdzie tam pozdrowienia. Przypuszczalnie wysłał je już kilkakrotnie. Zaczęła nawet myśleć, że teraz wolałaby już nie dostać żadnej wiadomości od Haralda, coś w niej pragnęło spokoju, razem ze mną i dziećmi. Wcześniej uważała, że wszystko jedno, co ich łączy, i tak przeminie samo z siebie. Teraz jednak poczuła po prostu mocną, rozdzierającą tęsknotę. Domyślała się, że on, podobnie jak ona, postanowił szukać spokoju w tym, co zwyczajne, prawowite i bezpieczne, w małżeństwie i w rodzinie. Z pewnością właśnie dlatego się do niej nie odezwał, i nagle wydało jej się to takie niesprawiedliwe, takie błędne, wręcz złe. Napisała krótką wiadomość – zaczęła od ostrego *Halo!* – ale zaraz zmieniła początek na coś bardziej powściągliwego i przekazała mu, że była na nartach i że go wypatrywała. Odłożyła telefon i wróciła do stołu. Mijając mnie, pogładziła mi ręką kark, lekko uściśniła go palcami i powiedziała, że dostała SMS-a od siostry. A potem, nie czekając na odpowiedź, powiedziała:

– Ja mogę iść puszczać rakiety z Paulem Edvinem. Ty wrócisz do domu, kiedy będziesz miał dość. Niewykluczone, że co najmniej jeden z twoich synów też będzie wolał być tutaj.

Ucieszyłem się dokładnie tak, jak na to liczyła. Ruchem głowy wskazałem naszego młodszego syna, tego, który według nas bardziej przypominał mnie, i powiedziałem:

– Chyba masz rację.

On patrzył przed siebie, rozmyślał o czymś, żuł indyka i ziemniaki z otwartymi ustami, popijał oranżadę, zostawiając na szkle tłuste ślady palców i ust. Trochę pobrudził białą koszulę sosem, ciągnęła się na niej podłużna smuga rozszerzająca się na dole, przez co kształtem przypominała Norwegię.

Wyciągnęła do mnie nogę pod stołem, palcami stopy dotknęła mojego kolana. Spojrzałem na nią, twarz mi zmiękła, uniosłem kieliszek w jej stronę. Sprawiała mi ulgę i dzięki temu jej również ulżyło, mogło pójść gładko.

9

Któregoś czwartku wróciła do domu późno: był luty, wybrała się na narty, zaszli daleko. Za każdym razem docierali dalej, niż pierwotnie zamierzali. Nie potrafili zawrócić. Chcieli sobie nawzajem pokazać, jacy są silni i jak daleko potrafią się wyprawić. Chcieli sobie pokazać, jak bardzo wszystko się zmienia, nabiera mocy i energii, kiedy spędzają czas we dwoje. Poza tym panowały fantastyczne warunki. Lutowe, miękkie podmuchy wiatru wśród drzew, mokry śnieg przed południem, twardniejący pod wieczór. Wokół nich się ściemniło, już tylko oni zostali na trasie. Księżyc świecił jednooki i monochromatyczny, w jego blasku śnieg i szczupłe świerki wydawały się niebieskie, nieruchome.

Słuchała odgłosu kijków i nart na twardym zimnym śniegu. Zatrzymali się i rozejrzeli. Coś do siebie powiedzieli. Na dworze ich głosy nie były dźwięczne, brzmiały raczej intymnie, jakby były w coś owinięte, miała wrażenie, że jej głos wydobywa się spod śniegu. Zbliżała się noc, postanowili, że zawracają. Ona była obolała i rozgrzana, a droga powrotna okazała się dłuższa, niż przypuszczała. Zjeżdżała ze wzgórza przed nim, wiedziała, że on się jej przygląda. Oceniał wszystko, co robiła, czuła, że jego wzrok śledzi rytm, w którym się poruszała. Odbijała się kijkami na płaskich partiach trasy, mocno i energicznie, sunęła na poduszkach palców, wypychając ciało do przodu, kuliała się, żeby zmniejszyć opór powietrza, na każdym najmniejszym pagórku. Podobała jej się prędkość i podobało jej się to, że on się jej przygląda.

Raz upadła, za mocno wychyliła się na zakręcie i poleciała bokiem w zaspę. Śnieg był tam miękki i głęboki, więc się nie potłukła, drobiny białego puchu opryskały jej tylko twarz i kark jak prysznic. Czuła się jak dziecko. Czy mogła wezbrać w niej radość jak w małym dziecku? Owszem, właśnie tak: leżała w głębokim śniegu i nie była w stanie sama się podnieść. Podjechał, zakręcił tuż przy niej, elegancko i pewnie, wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać. Ten jego uśmiech miała zapamiętać, najpierw jako obraz, przywoływany, gdy wieczorem położy się do łóżka i kiedy będzie siedziała w pracy. Później miał ją prześladować niczym niepokojący dźwięk, ale na razie jeszcze o tym nie wiedziała. Podciągnął ją do góry i spytał, czy wszystko w porządku. Nie puścił jej ręki, stali tak i się trzymali. W końcu ją puścił, żeby jej pomóc otrząść się ze śniegu. Zdjął rękawice narciarskie, dłonie miał duże i ciepłe. Ich twarze przysunęły się do siebie i zaraz odsunęły, niczym przypadkowo oświetlone planety, które zdają się wzajemnie przyciągać w otaczającej je nieprzeniknionej ciemności. Uśmiechając się do siebie, rozmawiali o technice biegania na nartach. Ale tego chyba nie mogli robić? Owszem, mogli rozmawiać o czymkolwiek, znaczenie tego, co mówili, nie kryło się w słowach, tylko w sposobie ich wypowiedzania.

No, ale teraz musiała już wracać do domu. On zresztą też. Zapowiedziała, że nie wróci późno, cokolwiek by to miało znaczyć, w każdym razie przed porą kładzenia dzieci spać. Pojechał przodem przez ostatni odcinek trasy do parkingu. Złożył jej narty razem ze swoimi. Patrzyła, jak wyciąga się do bagażnika na dachu auta. Ten ruch pozbawiony niejasności, wręcz czuły, przeniknął całe jego ciało. Używali jego samochodu, jak zwykle, ona usiadła z przodu, on odwiózł ją do domu. Wysłała do mnie SMS-a, ale nie dostała odpowiedzi. To nie był dobry znak. Łudziła się, że położyłem się spać, ale w to nie wierzyła. Pewnie siedziałem i czekałem. Chodziłem z pokoju do pokoju, znów byłem poirytowany albo wystraszony.

Wiedziała o tym. Jej spóźnione powroty kompletnie wyprowadzały mnie z równowagi. Najpierw pozwoliła sobie na coś takiego tylko raz i obiecała, że to się więcej nie powtórzy. No ale jednak się powtórzyło. Raz, dwa razy, kilka. Za pierwszym razem spóźniła się, kiedy wybieraliśmy się na romantyczny wypad we dwoje. Żadne z nas nie lubiło tego określenia, a mimo to zaczęliśmy go używać. Po prostu mieliśmy jechać sami do domku letniskowego, bez dzieci, które zostały u jej rodziców. Zamierzaliśmy wyruszyć z domu w piątek po południu. Umówiła się z nim w hali wspinaczkowej po lunchu, w biurze gwarantowano jej dwie godziny treningu tygodniowo w godzinach pracy, a on powiedział, że nauczy ją wspinaczki. Uczył ją tak, że zapomnieli spojrzeć na zegarek. Wisiała osiem metrów nad podłogą, on stał pod nią, trzymając w rękach linę z hamulcem. Ubezpieczał ją, jak to się nazywa, a jej wielką przyjemność sprawiało myślenie o tym, co to oznacza. Wołał do niej z dołu, informując, gdzie się może złapać, ręką na lewo, trochę wyżej, czujesz? Kiedy pokonywała wyjątkowo trudną partię ścieżki, krzyczał, że świetnie sobie radzi, że jest w tym dobra. Miała silne nogi i czuła, że jego słowa jej pomagają. Później odwiózł ją do domu. Dostała ode mnie SMS-a, w którym napisałem: *Czy mam się bać, że coś Ci się stało, czy po prostu zaczęłaś nas zaniebrywać?* Ale ona niczego nie zaniebrywała, ani mnie, ani nas, ani w ogóle niczego innego, tak mi powiedziała później wieczorem, kiedy wreszcie dotarliśmy do domku, razem przygotowaliśmy obiad, a mimo to dalej się kłóciliśmy. Stałem i patrzyłem na nią, powiedziałem: *No to w takim razie się cieszę.*

Później znów się wspinali i znów zapomnieli spojrzeć na zegarek, później razem biegali, wielokrotnie, za każdym razem docierali dalej, niż planowali, i wracali spóźnieni. Jeszcze później zaczął się sezon narciarski, on zaprosił ją na dłuższy wypad. Wziął wolne w środku dnia i spytał, czy się z nim wybierze, powiedział, że to będzie przypominać spotkanie służbowe. Powiedział to ze

śmiechem w głosie, który zaczęła naśladować, z charakterystycznym niezłomnym śmiechem, metalicznym i dźwięcznym, ten śmiech zdawał się błyszczeć, jakby się słuchało dźwięku trąbki we śnie. Śmiał się ze wszystkiego, niczego się nie obawiał, a jej pomagało, że zaczynała się do niego upodabniać. To, co robili razem, nie stanowiło przecież zagrożenia dla nikogo. Lubili się nawzajem, mieli wspólne zainteresowania, stali się dobrymi przyjaciółmi. Dlatego te ich wycieczki często bywały dłuższe, niż się wcześniej umawiali.

Mówiła, że nie lubi mieć wyznaczonej stałej pory powrotu do domu, kiedy jest na wycieczce albo kiedy trenuje, i usłyszała, jak powtarzam *stałej pory* jakby z niedowierzaniem. Spytałem, czy znów jest nastolatką, czy stałem się dla niej kimś w rodzaju ojca i czy wciąż jesteśmy kochankami. Coraz częściej słyszała, jak tak mówię, drastycznie, dramatycznie. Nakręcałem się, oczy mi się powiększały, mogła dostrzec białka, dłonie drżały mi z gniewu, raz rzuciłem na wpół otwartym kartonem z mlekiem. Musiała mi później pomóc wytrzeć podłogę, nie na miejscu wydawało jej się przyglądanie, jak sam to robię. Nie rozumiała, dlaczego tak się tym przejmuję. Nie rozumiała, dlaczego muszę pytać, czy ciągle jesteśmy kochankami.

Mówiłem tak, jakby mnie zdradziła, a przecież wcale tego nie zrobiła. Usłyszała, jak prychem w reakcji na to słowo – *zdradziłaś czy nie zdradziłaś* – w pewnym sensie używanie go było poniżej naszej godności. Powiedziałem, że może się przespać z nim czy z kim chce, byle tylko nie zaniedbywała nas. Nie zamierzałem rezygnować z używania tego określenia, kiedy już raz na nie wpadłem. Słyszała, jak mówię, że czuję się zaniedbywany, odsunięty na bok. To było podsumowanie wszystkiego, co stało się dla mnie trudne. Kiedy indziej oświadczyłem, że jeśli się z nim zwiąże, to zdąży żyć dłużej z nim, niż żyła ze mną. Raz po raz musiałem formułować wszystko, czego się bałem, wywoływać wszystko, czego nie chciałem przeżywać. Miała przed oczami

moją twarz, zaciśniętą, wściekłą i zranioną. Mówiąc, opróżniałem zmywarę, trzaskałem drzwiczkami szafek. W następnej chwili mówiłem, że musi być wolna, że musi robić to, co chce. Że tak długo, jak jest moją ukochaną, może robić, co chce i z kim chce. Stałem przed nią z twarzą pokrytą czerwonymi plamami, z mokrymi oczami, fanatyczny. A ona pragnęła wyłącznie spokoju.

Teraz znów spóźniła się do domu. Może to i był brak dbałości z jej strony, może nas zaniedbywała, trudno. Patrzyła na jego ręce, na ręce Haralda, na kierownicy. Bezwłose, opalone, sprężyste. Chciała mu opowiedzieć, że znów wykazała się niedbalstwem. On jednak akurat odwrócił się do niej i powiedział: *Zawsze lubiłem sam chodzić na narty. Ale teraz najbardziej lubię chodzić z tobą.*

Tak powiedział. Wiedziała, co to znaczy. Wiedziała, jaka powinna być jej odpowiedź, usłyszała siebie i samą ją to wzruszyło. Poczowała uderzenie gorąca. On prowadził, ona wyglądała przez okno, nie miała odwagi na niego spojrzeć. Powiedział coś, nie patrząc na nią, dokładnie to, co miała nadzieję usłyszeć.

* * *

Kilka dni wcześniej zadzwoniłem do niej do pracy, płakałem, ledwie mogła zrozumieć, co mówię. Próbowwała mnie uspokoić, powiedziała, że powinienem gdzieś wyjść, na przykład na narty, a ja odpowiedziałem, że to nie pomogło. Już byłem na nartach, zrobiłem tę samą trasę, którą zwykle pokonywała z Rękawiczką. Nie mogłem myśleć o niczym innym. Biegłem najszybciej, jak potrafiłem, najostrej i najdalej, jak mogłem, żeby się wykończyć. Pomogło, kiedy tylko się dostatecznie zmęczyłem, wtedy przestałem myśleć. Ale zaraz po powrocie do domu myśli o niej i o nim znów odżyły.

Oświadczyłem, że musimy się zobaczyć, że muszę z nią natychmiast porozmawiać. Uległa, powiedziała, że może wyjść podczas przerwy na lunch. Czekałem w samochodzie pod jej pracą, odjechaliśmy kawałek, zacząłem

mówić, a potem się rozplakałem. Zjechałem na bok, ona mnie słuchała. Powiedziałem, że dłużej tego nie wytrzymam, że to jak tortura, że tylko czekam na to, co się wydarzy, że ona się z nim prześpi, że straci kontrolę nad sobą, nad wszystkim, co się dzieje. Że to zniszczy naszą rodzinę. Co wtedy będzie ze mną i co będzie z dziećmi? Uderzałem rękami o kierownicę, biłem się po twarzy, hiperwentylowałem, szlochając, skuliłem się na siedzeniu. Położyła mi ręce na plecach, to zwykle pomagało. Kazała mi się nachylić i oddychać spokojnie. Zaczęła do mnie mówić czułym, intymnym głosem. To trochę pomogło. Po chwili mocno ujęła mnie za ramię i powiedziała: *Okej, w porządku. Obiecuję, że między nim a mną nie będzie nic więcej niż przyjaźń. Gwarantuję ci to, tak lepiej?*

Podziałało. Później wspominała, że w tym momencie jakby zapaliła światło. Już nie płakałem, patrzyłem na nią tym spojrzeniem, które znała i lubiła. Głos znów mi się obniżył, brzmiał tak jak zawsze. Odwiozłem ją do pracy, a kiedy już miała wysiąść, poprosiłem, żeby jeszcze chwilę zaczekała.

– Dobrze, że to powiedziałaś, niczego więcej nie potrzebowałem. Ale nie chcę, żebyś mi cokolwiek gwarantowała. Co to będzie za życie dla ciebie i dla mnie? Przecież chcę, żebyś żyła pełnią życia. Chcę, żebyś była wolna. Nie chcę od ciebie żadnej gwarancji, która ma obowiązywać na wieczność. Nagle tak się przestraszyłem, że cię stracę. Nie wiem, czy nie bałem się tego od zawsze. Ale ten lęk może wszystko między nami popsuć, prawda? To jak u Szekspira. Desperackie próby uniknięcia nieszczęścia właśnie do niego prowadzą. Ktoś próbuje ratować siebie albo innych i w ten sposób prowokuje pojawienie się tego, czego się boi. Problemem nie jest to, czy się w nim zakochasz, czy nie. Ale zacząłem się tego bać, i właśnie to jest groźne.

Dotknęła mnie, próbowała poczuć to, co czuła wcześniej. Zobaczyła własną rękę na moim ramieniu, przytrzymała mnie i puściła, prawie o tym nie myśląc, myślała o czymś innym.

Musieli przerwać współpracę zawodową, ponieważ przepisy państwowe utrudniały projekty realizowane we współpracy różnych urzędów. Za to ich wycieczki stały się teraz częstsze i dłuższe. Wysadził ją przy furtce. Dom wyglądał na ciemny, nikogo nie widziała w oknach. Nachyliła się nad nim, żeby się pożegnać. Zamknęła usta i oczy, poczuła jego policzek przy swoim. Wciągnęła jego zapach, chłodny, świeży od prędkości, wysiłku fizycznego, niedawno spadłego śniegu. Ale poczuła też coś jeszcze: ciało dojrzałego mężczyzny, podniecające gorzkie ciepło bijące spod jego ubrania. Pocałował ją w policzek, lekko sucho i obiecująco. Życzył jej powodzenia, a ona patrzyła na jego rękę, którą wcześniej położył jej na kolanie. Nie poczuła jej, dopóki jej nie zobaczyła. Dopiero wtedy zrobiło jej się gorąco, intensywne promieniowanie biło od tej ręki w górę uda. Czowała je w całej sobie, aż po koniuszki palców. Na moment nakryła jego rękę własną dłonią i już musiała iść.

Drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz. Odstawiła narty w przedpokoju i najciszej, jak umiała, zdjęła buty narciarskie. Lekkim, spokojnym krokiem weszła w światło. Nie siedziałem w kuchni, jak miałem w zwyczaju. Po ciszy panującej w domu poznała, że dzieci już śpią. Młodszy oddychał ciężko i głośno, drzwi do pokoju starszego były zamknięte. Paliło się górne światło, na kuchennym stole leżał plik papierów.

Wymówiła moje imię i nie dostała odpowiedzi. Przejrzała te papiery, to były plany naszego domu. Do czego były mi potrzebne? Potem mnie usłyszała, szedłem na górę po kręconych schodach z sutereny, tych, z których byliśmy tacy dumni, gdy je zamontowaliśmy, białych i gładkich jak szkielec. Zobaczyła, jak wznoszę się między kręgami, ciemny i obcy wśród całej tej białości.

Popatrzyliśmy na siebie, powiedziała: *Cześć, najwyraźniej znów mi się przeciągnęło.* Na to też nie dostała odpowiedzi. Powiedziałem, że nie słyszałem, jak weszła. Wydawało jej się, że wyglądam na całkiem

zadowolonego, może się pomyliła. No i przecież to mnie zwykle się zwierzała, również z tego, co miało związek z Haraldem. Opowiedziała mi historyjkę, którą przed chwilą usłyszała od niego. Zadzwoił do niego sąsiad, z domu obok tego, w którym mieszkali, zanim się tu przeprowadzili. Ci sąsiedzi to była para z dziećmi. Rozmawiali ze sobą przez płot, czasami się odwiedzali, dzieci z tych dwóch rodzin zwykle się razem bawiły. Któregoś razu ta kobieta na oczach wszystkich dotknęła dłonią policzka Haralda. Przez chwilę głaskała go po twarzy, a potem z powrotem weszła do domu. Nie mieli z tymi sąsiadami kontaktu, odkąd Harald i jego żona przeprowadzili się tutaj. A teraz ten były sąsiad zadzwonił do Haralda powiedzieć mu, że się rozwodzą, a ich rozstaniu winny jest on, Harald. Mówił, że jego żona myślała wyłącznie o Haraldzie, dłużej tak się nie dało. Tak wyglądała ta historyjka, opowiadając ją, ona trochę się śmiała, tak jak się śmiała razem z Haraldem. Ale ja tylko na nią patrzyłem, kręcąc głową, jakbym nie rozumiał.

– To dziwna historia.

– Prawda?

– Coś tu się nie zgadza. Nie rozumiesz? Czegoś tutaj brakuje. Co on z nią robił?

– Nic, po prostu byli sąsiadami.

– Czyli Rękawiczka to facet, w którym zakochują się wszystkie kobiety? Po prostu nic nie może na to poradzić?

– Ja tak nie powiedziałam.

– Ale on powiedział. Bo chyba właśnie to chciał ci przekazać, nie sądzisz?

– Opowiedział mi tylko o czymś, co mu się przytrafiło.

– A jak myślisz, co mówił jej, kiedy ze sobą rozmawiali, ta sąsiadka i on? Jakie rozmowy prowadzili? Sądzisz, że rozmawiał z nią w taki sam sposób jak z tobą?

– Nie, sądzę, że nie.

– Ale wyobraź sobie, że właśnie tak było. Wyobraź sobie, że pozostawał z nią w takiej bliskości jak z tobą, a potem zwyczajnie się wycofał. Może się ze sobą przespali albo może po prostu dostał od niej potwierdzenie, na którym mu zależało, i to mu wystarczyło. Właściwie dlaczego oni się przeprowadzili?

– Mają troje dzieci, potrzebowali więcej miejsca.

– Tylko dlatego? Jesteś pewna?

Żałowała, że w ogóle mi o tym powiedziała, przecież zamierzała jedynie przekazać mi dziwną historyjkę. Czuła jednak, że może wplotła w nią coś jeszcze, coś w rodzaju dumy z Haralda, z tego, że był mężczyzną, w którym zakochują się kobiety. Dlaczego miała się tym ze mną nie podzielić? Przecież tego chciałem. Teraz jednak postanowiła, że nie będzie mi więcej o nim opowiadać, bo wyszło bardzo źle. Nie chciała też więcej słuchać, jak o nim mówię, dlatego wskazała na leżące na stole papiery i powiedziała:

– Na co ci to?

– To plany domu.

– Widzę.

– Pomyślałem, że będą nam potrzebne, jeśli będziemy rozmawiać z agentem.

– Z agentem?

– Z agentem nieruchomości.

– Chcesz, żebyśmy sprzedali dom?

– Uważam, że powinniśmy wyjechać gdzieś daleko i zacząć wszystko od nowa. Pamiętasz, rozmawialiśmy o tym, żeby przez rok pomieszkać na Lofotach. Uważam, że właśnie tak powinniśmy zrobić. I to jak najszybciej.

– Lofoty?

– Albo jeszcze dalej na północ. Finnmark, Svalbard. Spodoba ci się tam, będziesz mogła biegać na nartach tyle, ile będziesz chciała. Będziesz mogła chodzić po górach, wspinać się. Ja też zresztą mam ochotę zacząć.

- Przecież mam tutaj pracę.
- Dostaniesz pracę wszędzie. Jesteś lekarzem.
- Ale mam pracę, którą lubię.
- Wiem.
- Wiem, że wiesz.
- Nie rozumiem, dlaczego zaczęłaś pracować w biurze.
- Ty mnie do tego zachęciłeś.
- Ja cię zachęcam do wszystkiego, czego pragniesz. A teraz musimy się stąd wynieść.
- Ale dlaczego?
- Żeby ratować miłość. Nasze życie. Rodzinę.
- Aż tak źle chyba z nami nie jest?
- Obawiam się, że tak.
- Czy ty naprawdę musisz tak się bać?
- Nie przestaniesz się z nim spotykać, nie dasz rady.
- A muszę przestać się z nim spotykać? Jesteśmy po prostu dobrymi przyjaciółmi.
- On cię pociąga. Masz na niego ochotę.
- Tak, wiem, że tak mówiłam.
- A on ma ochotę na ciebie.
- Tego nie wiem. Ani ty tym bardziej.
- On cię pragnie, to oczywiste. A ty jego. A wiesz przecież, że chciałbym, żebyś była wolna, żebyś robiła, co chcesz i z kim chcesz.
- I teraz to nagle nie obowiązuje?
- Jesteś moją ukochaną. Nie chcę, żebyś przestała nią być.
- Nie powiedziałam, że przestanę.
- Nie?
- Nie.

– Ale ja się boję, że nie masz kontroli. Nie wiesz, co robisz.

– Mam nowego przyjaciela. Kolegę. Czy nasz związek nie powinien umożliwić mi kolegowania się z mężczyzną?

– Owszem. Ale ja cię nie poznaję. Nie ma cię już ze mną tutaj. Boję się, że wszystko nam się rozpadnie, rozumiesz?

– Nie mogę rzucić pracy. Nie mogę się wyprowadzić.

– Dlaczego?

– Chcę, żeby był obecny w moim życiu.

Powiedziała to i poczuła, że oczy robią jej się gorące, podobnie jak zewnętrzna powierzchnia twarzy, że gorące robią się dłonie, palce u stóp, kolana, płeć, koniuszki uszu. Pozwoliła łzom popłynąć, czuła się tak, jakby się posikała, jakby wymiotowała. Płakała i nie odwróciła się ani nie wytarła twarzy, dalej na mnie patrzyła przez łzy.

Wstałem, odszedłem od niej, stanąłem przy blacie, znów odwróciłem się w jej stronę i powiedziałem

– to prawda?

a ona powiedziała

– tak,

a ja powiedziałem

– nie zrezygnujesz?

a ona powiedziała

– nie mogę,

a ja powiedziałem

– nie chcesz go przestać widywać? Bez względu na to, do czego to doprowadzi?

a ona powiedziała

– nie mogę,

a ja powiedziałem

– okej, wobec tego to ja muszę się poddać, muszę znaleźć jakiś sposób, żeby to wytrzymać,

a ona powiedziała

– czy to musi być takie trudne?

a ja powiedziałem

– zastanawiałaś się, jak to się skończy?

a ona powiedziała

– co masz na myśli, mówiąc, jak to się skończy?

a ja powiedziałem

– co będzie z nami, z tobą i ze mną, z nim i tobą, zastanawiałaś się nad tym? Jeśli on tak ci się podoba, to do czego to doprowadzi? Co z nami będzie na koniec?

A wtedy ona powiedziała, ale bezbarwnym tonem, niechętnie, sama zwróciła na to uwagę:

– Nie, nad tym się nie zastanawiałam.

Takie rozmowy, ona nie chce o nich myśleć, zresztą dlaczego miałaby o nich myśleć, pragnie dalej żyć, lecz one do niej wracają, nie wiadomo skąd. Jedzie samochodem, wbiega po schodach, siedzi przed komputerem w pracy i nagle przed nią pojawia się moja twarz. Myśl o mojej twarzy. Przypomina sobie coś, co mówiliśmy, jak się nad nią nachylałem, mój głos twardy i wystraszony. Było coś w moich oczach, co nie chciało ustąpić. Pragnęła uciec od mojego spojrzenia, odwrócić się ode mnie, ale nie mogła. Byłem jej mężem, jej ukochanym, tym, z którym żyła. Wszystko skupiało się wokół tego, że się spotkaliśmy, że przytrzymaliśmy się wzrokiem. Dlatego dalej siedziała, chłonąc intensywność, zwątpienie i wściekłość, które budowałem przez te godziny, kiedy się nie widzieliśmy, dopóki te uczucia się nie rozpadły, nie wypaliły i nie wyblakły same z siebie.

Pamięta, że siedziałem na krześle i się odwróciłem. Potarłem dłonią twarz,

jeszcze raz i jeszcze, chciałem ją z siebie zedrzeć, iść dalej bez dawnej twarzy. Ona to pamięta, ma to przed oczami, słyszy nasze głosy w tym pokoju, którego już nie ma. Mój głos, który szuka i ściga, nie chce się poddać, głos, który dalej argumentuje, twardo i nieprzejednanie upiera się, że wszystko, czego się boję, jest prawdą. A ona usiłuje to od siebie odsunąć. Jej głos staje się cieńszy, jest w nim więcej powietrza i mniej dźwięczności, prawie nie słyszy samej siebie. *Nie, to nieprawda. Nie, dlaczego tak mówisz? Nie, nie, nie wiem, nie.*

Pamięta to, pamięta wszystko, zasłania ręką oczy i pozwala, żeby to przemknęło obok niej, opadło na dno, znów o tym zapomina.

Niski dom w łańcuchu innych identycznych domów. Dość cicha ulica. Obłożony poziomymi deskami zabejcowanymi na czarno. Biały fundament przy ziemi, białe futryny. I czerwone drzwi, za nimi często tęskni. Lubiła wracać do domu, do tych drzwi. Za ich sprawą dom kojarzył się z domami stojącymi w głębi lasu, jak w baśni. Ale drzwi nie miały łukowatego zwieńczenia na szczycie, a dom nie stał w środku lasu. Na jego tyłach znajdował się niewielki ogródek ze starymi rosochatymi drzewami owocowymi. Te drzewa były o wiele starsze od domów. Pierwotnie zasadzono je jako ogromny sad, należący do wielkiego dworu. Nazwa tego dworu stała się nazwą dzielnicy. Szkołę i centrum handlowe również tak nazwano długo po zburzeniu dworu.

Szeregowce wybudowano w latach sześćdziesiątych i teraz wyglądało to tak, jakby niewielkie drzewa zasadzono w obrębie ogrodzeń, po cztery w każdym ogródku. Jedno z drzew w naszym ogrodzie miało dość nisko mocną gałąź, idealnie nadającą się do zawieszenia na niej huśtawki. Zadbął o nią poprzedni lokator. Niepomalowany kawałek deski na dwóch grubych linach, właśnie taką huśtawkę niektórzy wyobrażają sobie w słonecznym śnie o dzieciństwie. Nasze dzieci na niej siadały, wyciągały nogi z gołymi pulchnymi kolanami. I zawsze gdy bujały się na tej huśtawce, zaczynały

śpiewać. Najpierw jedno, potem drugie, przez całą ciepłą porę roku któreś z naszych dzieci siedziało na tej huśtawce i śpiewało, wydawało się, że przez wszystkie te lata, dopóki trwał nasz mały sen o rodzinie.

Teraz wróciła do domu, czekałem na nią i spytałem: *Co z nami będzie?* i *Jak myślisz, jak to się skończy?* Ona nie mogła o tym myśleć, nie mogła o tym mówić, musiała to mieć dla siebie, więc powiedziała

– Może po prostu pójdziemy się położyć?

a ja powiedziałem

– Chcesz tak?

a ona powiedziała

– Owszem, chętnie, jestem zmęczona i śpiąca,

no i tak zrobiliśmy, rozebraliśmy się razem, położyliśmy się i leżeliśmy obok siebie. Nie mogliśmy zasnąć. Odwróciła się do mnie i pogładziła mnie po policzku, objęła za kark. Poczowała moją rękę na biodrze, przysunęła się bliżej i znów zaczęliśmy, miękkie dźwięki, mamrotanie, śmiech i szepty, położyła się na plecach, ja na niej, powiedziała

– chcesz,

a ja powiedziałem

– tak,

a ona powiedziała

– no to chodź,

a ja powiedziałem

– tak,

a potem usłyszała, jak mówię

– serca nie mogą się zamknąć,

czy mogłem tak powiedzieć, jak w pierwszej lepszej słabiutkiej popowej piosence, uważała, że tak, to świadczyło, jak daleko zabrnęliśmy, każde słowo było potrzebne, więc powiedziała

– nie,

a potem powiedziała

– tak,

a potem powiedziała

– kocham cię,

choć myślała, że nie powinna tego mówić, nie teraz, ale jednak tak powiedziała, powtórzyliśmy to oboje, powiedzieliśmy to sobie prosto w usta, wykrzykliliśmy to w siebie nawzajem, żeby znów stało się prawdą, za moment położyła ręce na moich plecach, a dłonie na karku. Drapała mnie w plecy, paznokciami badała nierówności na skórze. Usłyszała, że coś mówię, ale mój głos gdzieś jej zniknął. Czuła odgłos pulsu w uszach, jakby w domu był stolarz i mocno walił w ścianę młotkiem. Trochę później musiała zasnąć. Obudziła ją ciemność i ja unoszący jej udo. Poczowała, że znów w nią wchodzi, usłyszała, że mówię, jaka jest cudowna, jak cudownie nam było i że chcę ją jeszcze raz. Mój głos ciepłem wnikał do jej ucha, byłem spokojny i pewny, już się nie bałem. To ona dała mi ten spokój, a raczej daliśmy go sobie nawzajem. Spytałem, czy wyprawa na nartach się udała, potwierdziła. Chciałem, żeby mi opowiedziała, więc opowiedziała, jak daleko dotarli, jak ładnie tam było, jak cicho. Opowiadała o odgłosie nart, o świeżym śniegu, o trasach, księżycu, cieniach drzew na lodowatoniebieskim śniegu. Usłyszała, że pytam, kto szedł przodem, i już wiedziała, do czego zmierzam. Powiedziała, że początkowo pierwszy szedł on, a ona na niego patrzyła. Spytałem, czy się jej podobał, odpowiedziała, że tak, biegł tak ładnie, był silny i sunął w pięknym rytmie. Ja się poruszałem w niej, słyszała własny oddech i moje słowa: że mam go przed oczami, jego plecy, jego plecy na niej. Powiedziałem, iż wiem, że to się stanie, że to się musi stać, nie ma drogi odwrotu. Któregoś dnia będzie leżeć tak, jak leży teraz, na plecach, w łóżku z nim na sobie. Usłyszała, jak mówię, że chciałbym wtedy przy tym być, chciałbym móc ją wtedy zobaczyć, zobaczyć

jej ręce na jego nagich plecach, kiedy będzie leżał na niej.

- Tylko tak mówisz – powiedziała.
- Tak. Ale wyobrażam to sobie i wiem, że to się stanie.
- Nie wytrzymasz tego.
- Owszem, dopóki wiem, że jesteś moja, możesz robić, co chcesz.
- Ani trochę w to nie wierzę.
- Przekonasz się, to się stanie.
- Naprawdę tak myślisz? Otwierasz mnie na niego.

I tak dalej, ona nie chce więcej o tym myśleć. Nie może jednak o tym nie myśleć, o tym, jak leżała pode mną w ciemności i wyobrażała sobie, że jest w zupełnie innym miejscu, w innym łóżku, z innym mężczyzną, z nim. A potem, kiedy już skończyliśmy, nie chciałem więcej o nim mówić, jakby nie istniał, a ją to wzburzyło, chociaż nie bardzo mogła pojąć dlaczego. Pragnąłem tylko leżeć przy niej, obejmować ją, wtulać twarz w jej kark.

Na szczęście wkrótce potem zasnąłem i przespałem całą noc, nie budząc jej. Dzień później wstaliśmy, ona wzięła prysznic, ja obudziłem dzieci, zjedliśmy śniadanie. Dzieci poszły do szkoły, najpierw młodszy, potem starszy, dom opustoszał, zostaliśmy tylko ona i ja. Bała się, że zacznę ją wypytywać. Musiała wyjść, zaczęła się szykować, włożyła ciemnozieloną spódnicę sięgającą jej tuż nad kolana, białą bluzkę trochę cisnącą w ramionach, w której jednak często czuła się dobrze. Wiedziała, że mam słabość do tej bluzki, ale nie dlatego ją włożyła, już nie. Namalowała kredką kreski wokół oczu, muśnięciem tak lekkim, że prawie niewidocznym, lecz dzięki temu czuła się bezpieczniej. Przyglądałem się, jak to robi.

- Zamierzasz się z nim dzisiaj spotkać?
- Pójdziemy tylko na kawę po pracy.
- Stroisz się dla niego.
- Staram się wyglądać jak najładniej. Jak zwykle.

– Tak, ale teraz robisz to dla niego.

– Uważasz, że to takie głupie?

Pokręciłem głową. Miałem wilgotne oczy. Musiała szybko wyjść. Delikatnie odsunęła mnie na bok, wzięła swój plecak, telefon, wszystko, czego potrzebowała. Poszedłem za nią, jeszcze się nie ogoliłem, jeszcze nie wzięłem prysznicza, z jednej strony głowy włosy sterczały mi jak szczotka, pokazując, na którym boku spałem.

– Myślisz, że się z nim zwiążesz?

– To chyba nie jest scenariusz, jaki musimy sobie wyobrażać.

– A cóż to za wyrażenie? Nie rozumiem, co znaczy.

– Nie sądzę, żeby do tego doszło.

– Wiesz, nie musisz mnie tracić, nawet jeśli zwiążesz się z nim.

– Nie sądzę, żebyś to wytrzymał.

– Czego bym nie wytrzymał?

– Tego, że nie jesteś dla mnie numerem jeden.

– Numerem jeden?

– Tak.

– Byłbym numerem dwa?

– Tak.

Stałem i patrzyłem na nią, w jednej ręce trzymałem książkę, w drugiej szklankę z wodą. Na twarzy miałem plamy, jakbym dostał po głowie. Pomyślała: muszę wyjść, zanim to zajdzie za daleko, bo inaczej przeciągnie się na cały dzień. Powiedziała:

– Mam do ciebie ogromną czułość, Jon.

To oczywiście był błąd, nie powinna tego mówić, nie powinna tak się wyrazić, zrozumiała to natychmiast. Zobaczyła, że moja twarz nagle traci cały kolor, który wkrótce jednak na nią powrócił. Widziała, że się zirytowałem albo że jestem wytrącony z równowagi, jakbym się przewrócił i próbował się

podnieść, książkę rzuciłem na podłogę i poszedłem wylać wodę do zlewu, szklankę odstawiłem za mocno. Powiedziałem mniej więcej, że jej uzalanie się nade mną w niczym mi nie pomoże. Ona na to, że musi już wychodzić, z naciskiem na *musi*, jakby nasze obowiązki nie miały już dla mnie żadnego znaczenia, jakbym dążył do dramatycznych scen walki na śmierć i życie, w której obliczu wszystko inne przestaje istnieć. Ale tego oczywiście też nie mogła powiedzieć.

Staliśmy i patrzyliśmy na siebie.

Zarzuciła plecak, włożyła szal.

I wtedy stało się to, co tyle razy wcześniej: coś na mojej twarzy zmiękło.

Podszedłem do niej i uściskałem ją. Odwzajemniła uścisk, poczuła, że całuję ją w policzek. Pocałunek był trochę za mokry jak na jej gust. Podniosła na mnie wzrok, byłem od niej wyższy, ale nie tak wysoki jak on, i ta różnica ją zaskoczyła. Nie powinna teraz o tym myśleć. Przyciągnąłem ją do siebie i powiedziałem jej do ucha

– Wiem, że mnie kochasz,

i znów ją puściłem, lekko od siebie odepchnąłem, przypuszczalnie żeby zobaczyć jej twarz. A ona nie zdołała mi odpowiedzieć, nie miała pojęcia, co mówić. Próbowwała się uśmiechać, w końcu kiwnęła głową, przybrała uśmiech, który towarzyszył temu zawadiackiemu gestowi, w tej chwili tylko tyle była mi w stanie dać. Wyszła. Stałem, przytrzymując drzwi, żeby nie mogła ich za sobą zamknąć. Ale szła najszybciej, jak mogła. Nie chciała się odwrócić i na mnie spojrzeć.

Myśli o tym, i nagle już więcej o tym nie myśli. Wstaje i podchodzi do okna, na zewnątrz jest ciemno, widzi własną twarz odbitą w szybie. Przypomina sobie pewien wieczór w tym, co było naszym życiem, pod koniec, tuż przed tym, jak przestaliśmy się znać. Otworzyła drzwi do łazienki, bo usłyszała jakiś dźwięk dobiegający stamtąd, i zobaczyła, że stoję pochylony nad umywalką

i płaczę. Przeglądałem się w lustrze. Pamięta, że moja twarz sprawiała wrażenie pękniętej, przez chwilę patrzyła, jak płyną mi łzy, jak cieknie mi z nosa, z ust, szlochałem, łkałem, pomyślała, że ryczę jak dzieciak, jednocześnie patrząc sobie w oczy. Przypomina to sobie, siedzi i trochę o tym myśli, wstaje, wychodzi z pokoju i więcej tego nie pamięta.

10

To miała być rozmowa w dziennym świetle, w jakimś gabinecie czy w poczekalni przed gabinetem, mieliśmy siedzieć obok siebie i czekać na naszą kolej. Nie mogliśmy wstać i wyjść, dlatego nareszcie był czas na rozmowę:

– Co się z nami stało, rozumiesz to?

– Któregoś dnia nagle się ode mnie odsunęłaś, nie chciałaś mnie dotykać, nie mogłaś rozmawiać. Zakochanie było jak ciężka choroba. Nadciągnęło nagle i postawiło wszystko na głowie.

– Poczułam się tak, jakbym nagle wyzdrowiała. A nie wiedziałam nawet, że byłam chora, przecież lubiłam życie z tobą. Wydawało mi się, że jestem szczęśliwa, jeśli tego słowa wciąż można użyć. Ale jakiś czas po poznaniu jego odwróciłam się i jeszcze raz spojrzałam wstecz na to, co było moim życiem.

– I brakowało w nim właśnie jego?

– Na to nie muszę odpowiadać.

– Pamiętam pewien wieczór, kiedy stałaś przy oknie i uśmiechałaś się do siebie, a ja spytałem, dlaczego się uśmiechasz. Znałem odpowiedź, ale i tak musiałem spytać. Powiedziałaś, że coś ci się tylko przypomniało. Nie chciałaś tego zdradzać, ale dalej się uśmiechałaś, tajemniczo. Chciałaś mi chyba pokazać, że przydarzyło ci się coś fantastycznego. A fantastyczne było dla ciebie uwolnienie się ode mnie.

– Tego sobie nie przypominam.

- Chciałaś mi pokazać, jaka jesteś zakochana.
- Byłeś przecież najbliższą mi osobą, której mogłam o tym opowiedzieć.
- Trochę później zadzwonił twój telefon. Poszłaś do łazienki i tam go odebrałaś, słyszałem twój głos dobiegający stamtąd, rozmawiałaś z nim, ponad godzinę.
- Byłam wobec ciebie bezwzględna.
- Tak.
- To było nieuniknione.
- Cieszę się, że użyłaś tego słowa.
- Jakiego słowa? Masz na myśli *bezwzględna*?
- Tak. Pomaga, kiedy słyszę, jak to mówisz.
- Rozumiem. No, ale...
- Co ale...
- No wiesz.
- Co wiem? Aha, masz na myśli, że właściwie nie ty to mówisz.
- No bo przecież tak nie jest, wkładasz mi słowa w usta, wyobrażasz sobie, że tu jestem i że z tobą rozmawiam. Możesz mnie skłonić do powiedzenia wszystkiego, co chcesz.
- Nie wszystkiego, co chcę. Próbowałem, ale tak się nie da. Nie mogę cię skłonić do powiedzenia czegoś innego niż to, co – jak mi się wydaje – powiedziałaś, gdybyś naprawdę tu była. Ale i tak pomaga mi, że sobie to wyobrażam. Że słyszę, jak to mówisz.
- A co byś raczej wolał usłyszeć?
- Do czego nie mogę cię nakłonić?
- Tak.
- Może przepraszam.
- Czy przepraszanie nie jest za łatwe, Jon? I za co właściwie miałabym przepraszać?

– Może za to, że pozwoliłaś, aby to się stało? I za to, że wiedziałaś o sobie samej za mało, by zrozumieć, co robisz razem z nim, aż w końcu wyglądało to tak, jakbyś nie miała już żadnego wyboru.

– W końcu nie miałam żadnego wyboru.

– No właśnie. Chciałbym, żebyś umiała za to przeprosić, Timmy.

– Czy ty o czymś nie zapominasz?

– Masz na myśli mój udział w tym, co się stało? Chodzi ci o to, że powinienem był cię zostawić w spokoju, wytrzymać, że nagle zakochałaś się do szaleństwa, *madly in love*? Rzeczywiście powinienem był tak zrobić. Przygotowałem się, że coś takiego się stanie, ty i ja przygotowaliśmy się na to przez wiele lat, chociaż tego nie rozumieliśmy, dlatego powinienem był to wytrzymać i czekać, aż minie. Mogło potrwać długo, może rok, może kilka lat, zanim ten stan zakochania by ci przeszedł. Mimo wszystko powinienem był to wytrzymać. Stalibyśmy się jedną z tych par, które żyją osobno. Przecież wielu ludzi tak żyje. Bywałabyś w domu jeszcze mniej, wyjeżdżałabyś częściej i na dłużej. On by po ciebie przyjeżdżał i odwoził cię do domu. Sąsiedzi przywykliby do jego samochodu. Dzieci by się o nim dowiedziały. Wszyscy by się domyślali, o co chodzi, ale mało kto doprowadziłby tę myśl do końca. My też przestalibyśmy o tym mówić. Między nami zapanowałby taki milczący układ. Nie oczekiwałbym od ciebie zbyt dużo. Sypialibyśmy ze sobą rzadziej. Przestalibyśmy się całować, z wyjątkiem nadzwyczajnych sytuacji. Krótkie pocałunki jak koleżeńskie poklepanie po ramieniu. Każde z nas żyłoby własnym życiem, miało swoje zainteresowania i swoich przyjaciół. Z pewnością trochę bym się zaniedbał, ale tak się dzieje z wieloma mężczyznami. Za długo nosiłbym starą letnią kurtkę jesienią, a zimową wiosną. Jadłbym za dużo, chodził w rozdeptanych butach, zwlekał z pójściem do fryzjera i mniej bym o sobie dbał niż przedtem. Moja niedbałość straciłaby swój urok. A potem też zacząłbym więcej trenować, żeby zrekompensować

sobie upokorzenie. A może w ogóle nie potraktowałbym tego jako upokorzenie. W miłości chodzi o władzę, a rozkład sił stale się zmienia, również między dwojgiem ludzi, którzy razem żyją. Prędzej czy później i ja bym się zakochał, łagodnie, lekko i przelotnie, żeby odzyskać równowagę. Prawdopodobnie znalazłbym sobie kogoś na seminarium dla pisarzy. Kobiętę z krótkimi włosami, w delikatnych okularach, pachnącą drogim kremem do twarzy, w krótkim szarym sweterku z kaszmiru. Ten wzruszająco miękki sweterek! Przy każdym podniesieniu rąk do góry odsłaniałby jasną, nagą skórę w pasie, a kiedy bym ją obejmował, osuwałaby się na mnie z oddaniem, tak jak ty nigdy się nie osuwałaś. Mógłbym tak żyć, mógłbym być jej spokojnym, przyjaznym kochankiem. Dojrzały, trzeźwy związek, coś w rodzaju prostego szczęścia, patrząc z zewnątrz. Ale nie pozwoliłbym się temu posunąć za daleko, byłbym zbyt rozdarty i powoli bym się z tego wyplątał. Nigdy bym ci o niej nie opowiedział, bo nie dzielilibyśmy się już takimi sprawami. A gdybyś dalej żyła z Rękawiczką, prędzej czy później pokłóciłabyś się z nim i wróciła do domu. A ja bym tam był, jak zawsze. Zorientowałbym się, że coś się stało, i prawdopodobnie zrozumiałbym, że muszę zostawić cię w spokoju. Wykąpałabyś się, wbrew swoim zwyczajom zjadłabyś czekoladę. Może przyszłabyś i usiadła obok mnie, nic nie mówiąc, a ja bym cię objął, również bez słowa. Może zasnęłabyś z głową na moim ramieniu, a obudziwszy się, nie wiedziałabyś, na którym ramieniu zasnęłaś. I prędzej czy później znów poczułbym na sobie twoją rękę, ciepłą dłoń, która kładła się na moim karku, gdy jechaliśmy samochodem. Albo na przedramieniu jak wtedy, kiedy chciałaś mnie zatrzymać i coś mi powiedzieć. Ciągle myślałbym o tym, do czego używałaś tej dłoni, o wszystkich tych chwilach, kiedy byłaś z nim, a nie ze mną. Może jednak zaczęłoby ci brakować tego, co kiedyś nas łączyło, naszego flirtowania ze sobą za pośrednictwem innych i naszej wiary, że stworzymy inne życie. A może to tylko ja wierzyłem, że stworzymy coś, do czego nikt inny

nawet się nie zbliży? Ty do wszystkiego podchodziłaś w prostszy sposób, bardziej pragmatycznie. Ale jednak. Gdybym się tak nie bał i gdybym nie wpadł w taką rozpacz, gdybym tylko pozwolił, żebyś robiła z nim to, co chciałaś, przez rok, dwa albo trzy, to najprawdopodobniej byś wróciła i stała się tą, którą byłaś dawniej, razem ze mną, nie sądzisz, że tak by się stało? I czy nie żylibyśmy wtedy w dojrzałszej formie miłości, wśród powściągliwej i bardziej realistycznej czułości? Ze zniszczonym, ale stopniowo odbudowywanym zaufaniem? A nasze twarze, udręczone życiem, stopniowo zaczęłyby wyglądać na znoszone, bardziej miękkie i miłsze niż dawniej. Wyobrażam sobie, że nasze twarze szukałyby siebie nawzajem z osobliwą formą rezygnacji, ze zgaszoną, łagodniejszą ciekawością. Nie myślisz tak samo? I czy to życie nie mogłoby być mocniejsze od tego pierwszego, którego próbowaliśmy? Czy takie życie nie byłoby możliwe dla nas dwojga? Dlaczego nie odpowiadasz?

11

Kilka tygodni później coś się ze mną stało. Coś przybrało kształt w ciemności, w moim ciele, kiedy spałem. Nasz starszy syn jako jedyny rozumiał, co się dzieje, i nigdy nikomu o tym nie powiedział. Timmy i ja właśnie się rozeszliśmy, jak to określaliśmy, mieszkaliśmy teraz w domu co drugi tydzień, i akurat wypadał mój tydzień z dziećmi. Byłem w domu, nadszedł wieczór, młodszy już spał, starszy siedział przy komputerze w swoim pokoju. Grał w Simsów, ale drzwi do pokoju, o dziwo, miał otwarte, bo chciał wiedzieć, co robię.

Obserwowałem, jak opróżniam lodówkę, jak wyrzucam stare jedzenie. To, co sam kupiłem, zostawiałem. Nie ruszałem też produktów, które przyniosła Timmy, natomiast wszystko, co kupiliśmy razem, kiedy jeszcze byliśmy parą, kiedy byliśmy małżeństwem, wyciągałem z półek i wyrzucałem. Słoiczki z musztardą i tubki z pastą kawiorową, pojemniczki z oliwkami i sardynki, sosy do taco i chutney z mango, zatłuszczone słoiczki z suszonymi na słońcu pomidorami, ściemniałe kapary, wyschnięte dzemy, porośnięte pleśnią kubeczki z odtłuszczoną śmietaną, puszki z piwem i pomarszczoną kiełbasę, blade zapadnięte cytryny i zwłoki sałaty pociemniałej na brzegach. Wyrzuciłem też nieotwarty słoik z miodem, kilka tubek majonezu, nietknięte puszki tuńczyka i opakowanie wędzonego na gorąco łososia. Wyrzuciłem wszystko, co tam było wcześniej. Pozbywałem się naszego dawnego życia, zapełniałem jeden foliowy worek po drugim, zawiązywałem i wynosiłem do śmieci. Ciężka plastikowa pokrywa pojemnika stojącego na zewnątrz opadała

z trzaskiem, oporna i nieposłuszna, słyszał ją nasz syn. Ale później musiałem poczuć się lepiej, bo wracałem do domu, śpiewając. A on z ogromną niechęcią przyjął to, że śpiewam i że wyrzucam jedzenie należące do rodziny, bo to oznaczało, że jestem po niewłaściwej stronie, że przyspieszam gwałtowne zmiany, które w niej zachodzą. Najwyraźniej chciałem zapomnieć o wszystkim, co było, a on z tego powodu mną gardził.

Kiedy tylko zacząłem sprzątać w lodówce, przyszedł do mnie i spytał, co ja właściwie robię, dlaczego wyrzucam nasze jedzenie. Odpowiedziałem, że tyle jest tam starych rzeczy, a lodówkę trzeba umyć. Patrzył, jak dalej wyrzucam to, co kiedyś wystawialiśmy na stół, na śniadania i na kolacje, w tym życiu, które dawniej było naszym życiem. Puszka makreli z pieprzem, której nikt nie jadł i która nigdy nie została otwarta, ale była nieustannie wystawiana i powinna być wystawiana zawsze, żeby jego świat się utrzymał, a potrzebował tego teraz bardziej niż kiedykolwiek. Sortowałem stare i nowe produkty niewrażliwymi, prędkimi ruchami rąk. Nie wychwyciłem jego niechęci, wściekłości i rozpacz. Stał i patrzył na mnie, demonstracyjnie chrząkał, poczuł, że oczy mu wilgotnieją, że puls paskudnie szumi w uszach, a ja dalej robiłem swoje. Wsunąłem rękę głęboko do lodówki i wyciągnąłem coś, co przymarzło do ścianki, odwróciłem się do niego, trzymając w ręku zwiędłą paprykę, przypominającą pomarszczone zwierzęce serduszko, i spytałem, czy ma na nią ochotę, to miał być żart, ale on pokręcił głową z obrzydzeniem.

Odszedł i zamknął drzwi do swojego pokoju. Trzasnął nimi dość mocno, płakał z gniewu, lecz najwyraźniej na to też nie zwróciłem uwagi. Nieco później w kuchni zapadła cisza, więc zaczął się zastanawiać, co teraz robię. Może zamierzałem wyrzucić wszystko, co należało do naszego poprzedniego życia, może kasowałem zdjęcia. Wyszedł od siebie, udawał, że idzie pooglądać telewizję. Ale siedziałem teraz przy stole i czytałem książkę, do kuchennej szklaneczki nalałem sobie czerwonego wina. Spojrzałem na niego,

uśmiechnąłem się przelotnie, dziwnie, bo tak zacząłem się uśmiechać. Tego też nie znosił, tego mojego uśmiechu, który przyjąłem po rozwodzie. To on nazywał nasze rozstanie rozwodem, chociaż formalności nie zostały jeszcze załatwione. Nie znosił tego słowa i powtarzał je przy każdej okazji. Wypowiadał je jako dwa ewidentnie rozdzielone wyrazy, *ro* i *zwód*. W jego ustach brzmiało to jak straszny błąd i tym też było, zwłaszcza dla niego. Nasza rodzina pękła, wszyscy znajomi mogli do niej zajrzeć albo tak im się wydawało. On się nas wstydził. Spojrzał na mnie, siedziałem pochylony nad stołem, jakbym spał. Nagle podniosłem twarz znad książki i spytałem, czy jest głodny, może zjemy coś razem. Odmówił, po drodze do domu zjadł burgera, ale nie chciał mi o tym powiedzieć.

Siedział przed telewizorem i patrzył, jak znów podchodzę do lodówki. Z tych starych rzeczy nie miałem serca wyrzucić jedynie miseczki z resztkami risotta. Wiedział dlaczego, właśnie to ugotowałem dla niej na ostatni obiad, kiedy jeszcze byliśmy parą. Wyjechała gdzieś służbowo, a kiedy wróciła do domu późnym wieczorem, czekałem z gotowym jedzeniem. Nie było w tym nic niezwykłego, niezwykle było to, co wydarzyło się później. Siedzieliśmy przy stole, rozmawialiśmy i bardzo spokojnie zerwaliśmy ze sobą. Ona trochę popłakała, ale mało. Kilka łez popłynęło jej po twarzy i skapnęło w talerz. Ja dużo płakałem wcześniej, nasz syn w ciągu ostatniego roku tyle razy to słyszał i widział, więc przypuszczał, że w końcu jestem zimny i zdecydowany. Później ona poszła się położyć w pokoju gościnnym, a ja posprzątałem. Resztki jedzenia przełożyłem do miseczki, którą postawiłem na najwyższej półce w lodówce, od tamtej pory tam stała.

To było trzy tygodnie temu.

W miseczce leżały nasiąknięte wodą ziarenka ryżu do risotta, przyrządzone w białym winie, z włoskimi borowikami, usmażonymi na chrupko kawałeczkami bekonu i cząstkami buraka, z dodatkiem tymianku i startego

parmezanu. Przełożyłem teraz te zakrzepłe resztki na patelnię i podgrzałem. On siedział twarzą zwrócony do telewizora, ale bacznie śledził każdy mój ruch. Widział, że dalej wyrzucam jedzenie znalezione w szafkach. Mieszanki ziaren, opakowania rodzynek, pęknięte torebki z mąką i napoczęte opakowania herbatników. Do śmietnika trafiły nawet nieotwarte torebki chipsów i orzeszków ziemnych, tylko dlatego, że należały do naszego poprzedniego życia. Postanowił, że nazajutrz wyjmie ze śmieci chipsy i orzeszki, postanowił wyjąć ze śmieci wszystko i powstawić z powrotem do szafek, gdy tylko nadejdzie poniedziałek i sobie pójdę. Nie wyrzuciłem jedynie resztek starego posiłku rozwodowego, o dziwo, zamierzałem je teraz zjeść. Patrzył, jak stoję i mieszam na patelni, aż ryż się podgrzał, zmiękł i przyrumienił. Zjadłem prosto z patelni, stojąc przy blacie. Wyglądało to na demonstrację, nie było podobne do mnie. Przesiadł się na inny fotel, żeby mnie nie widzieć. Pozwolił pochłonąć się temu, co oglądał, filmowi dokumentalnemu o sektach religijnych w Ameryce. W jakimś momencie była członkini Kościoła scjentologicznego powiedziała, że już nigdy na powrót nie będzie sobą. Przekonano ją, że jej dawne życie było puste, ale teraz tęskniła jedynie za poprzednią zwyczajnością i normalnością. Podkreślił głośność, chciał, żebym słyszał, co ona mówi. Wypowiadane przez nią kwestie miały zupełnie inny wydźwięk u nas, w tych pokojach, akurat w tym momencie. Słyszał, że opłukuję patelnię, myję ją pod bieżącą wodą. Nie wiadomo, w jaki sposób, domyślił się, że resztki jedzenia zostawię w zlewie. To przecież ja zawsze powtarzałem, że zlew trzeba opróżnić z resztek, opłukać i wytrzeć do sucha. To zawsze ja chodziłem za nią i za dziećmi i poprawiałem po nich, bo posprzątali zbyt niestarannie. Teraz sam to po prostu zostawiłem, a nasz syn przeczuwał, że później też będę tak postępował. Okruchy, resztki jogurtu, listki herbaty, wszystko to będę zostawiał w zlewie jak dawniej ona. Przejrzał mnie na wylot, widział, że próbuję być taki jak Timmy, jakby to miało nam teraz

pomóc.

Później tego wieczoru zobaczył, że leżę w łóżku w ubraniu, z kołdrą do połowy naciągniętą na siebie. Zasnąłem. Już nie zamykałem drzwi do sypialni, tak jak zawsze robiliśmy wcześniej we dwoje. Leżałem na środku łóżka, w takiej pozycji, jakbym spadł z dużej wysokości. Spałem przy zapalonym świetle. To też mu się nie podobało, te otwarte drzwi, które sprawiały, że musiał mnie widzieć leżącego, kiedy przechodził korytarzem w drodze do łazienki. I to, że nie położyłem się porządnie, pewnie nawet nie umyłem zębów, dotknął mojej szczoteczki, wydała mu się sucha. Wszedł i zgasił lampkę do czytania nad moją głową. Nie obudziłem się. Zamknął drzwi, w kuchni usmażył sobie jajko sadzone. Kiedy szedł spać, znów otworzył drzwi do sypialni. Leżałem odwrócony na boku, najwyraźniej się rozebrałem, widział moją twarz w świetle z przedpokoju, wydawała się żółtawa, jak maska, jak orientalna twarz wyrażająca wieczny smutek. Spałem z otwartymi ustami.

Dwa tygodnie później zacząłem się zmieniać fizycznie. Schudłem, policzki mi się zapadły i kości policzkowe zdominowały twarz. Ale chyba sam byłem z tego zadowolony. Któregoś popołudnia musiałem kuchennym nożem zrobić nową dziurkę w pasku, stwierdziłem, że powinienem sobie kupić nowe ubrania, bo schudłem o dwa rozmiary. Łatwo było zauważyć, że bardzo mi to odpowiada, że użalam się nad sobą, a jednocześnie się cieszę, co jeszcze bardziej poruszyło naszego syna. Podchodził do mnie z rezygnacją, uważał, że nie rozumiem, co się ze mną dzieje. Był przekonany, że to za sprawą kupowanego przez nas specjalnie importowanego ekologicznego ryżu arborio, pochodzącego od niewielkiego włoskiego producenta, a w opakowaniu musiało się znaleźć kilka nieoczyszczonych ziarenek. Dostały się tam prosto z pola, z łupinką. Nie potrzeba było ich wiele, wystarczyły dwa małe ziarenka. Ułożyły się wysoko przy ścianie woka i mogły wyglądać na kawałeczki

przysmażonej na złoto cebuli, dlatego przygotowując posiłek, nie obróciłem ich łyżką do smażenia, ani też nie strąciłem na dno woka. Leżały nieusmażone, niezniszczone, najpierw na wierzchu risotta, a potem na dnie ciepłego dania. Być może przełożyłem do miseczki również tę porcję jedzenia, która została na jej talerzu, a sól zawarta we łzach mogła wywołać jakąś reakcję chemiczną. Czytał w internecie artykuły o życiu pod lodem na obcych planetach, o nowych chorobach, które powstają w jelitach ludzi spożywających zmodyfikowaną genetycznie żywność. Nieoczyszczone ziarenka ryżu mogły trafić do miseczki z resztkami, które podgrzałem i demonstracyjnie wepchnąłem sobie do ust prosto z patelni. Zjadłem wszystko, również te dwa pojedyncze ziarenka, które nieoczyszczone przysłało z pól ryżowych pod Genuą: zamknięte w łupinie życie tylko czekało na możliwość wykiełkowania.

Już tamtej pierwszej nocy, kiedy zobaczył mnie śpiącego z poślizgniętą twarzą i otwartymi ustami, maleńkie kielki musiały się zagnieździć w cienkiej błonie wyściełającej żołądek. Zakorzeniły się tam i zaczęły rosnąć, a kilka dni później delikatne roślinki zaczęły się rozrastać w wilgotnym ciepłym środowisku. Cienkie zielone źdźbła wylały się w ciemności żołądka, wchłaniając całe pożywienie, które ja powinienem wchłonąć. Jak wiadomo, życie organiczne odżywia się w głównej mierze innym życiem organicznym, a mój żołądek stał się teraz idealnym podłożem żywieniowym dla całego maleńkiego poletka ryżu.

Zrobił mi zdjęcie i pokazał je swojej matce. W napięciu czekał na jej reakcję. Ona i ja już się prawie nie widywaliśmy – w każdy poniedziałek rano jedno z nas opuszczało dom, a po południu przychodziło drugie. Przez ten tydzień, kiedy nie mieszkaliśmy w domu, nocowaliśmy u przyjaciół. Dlatego chciał, żeby zobaczyła, co się ze mną stało. Byłem wychudzony, spięty, na skraju wzburzenia, rozgorączkowany. Na zdjęciu stałem obrócony plecami do

okna, za mną było ciemno i patrzyłem w obiektyw wielkimi poważnymi oczami. Miał nadzieję, że ona się przerazi, że wystąpi z inicjatywą spotkania się ze mną, a to doprowadzi do zmiany wszystkiego między nami. Ona jednak tylko zerknęła na zdjęcie i skomentowała, że zapuściłem brodę. Nie miała przecież pojęcia, że mam w żołądku kiełkujące poletko ryżu.

Sam też nie wiedziałem, że zagnieździło się we mnie obce życie. Ale jego zdaniem mogłem cokolwiek przeczuwać, bo coraz częściej widywał, jak stoję i przyglądam się sobie w lustrze. Oczy zapadły mi się głęboko w czaszkę, skóra wokół nich pociemniała jak na starej damskiej torebce. Nad powiekami pojawiła się jaskrawoczerwona egzema. Teraz byłem już nie tylko jego ojcem, lecz poważnym mężczyzną o zapadniętych policzkach, który stracił ukochaną, bo odeszła do innego mężczyzny. Wstyd było o tym myśleć. Często przychodziłem do jego pokoju i chciałem rozmawiać o życiu, o tym, co uważałem za nasze życie, życie rodzinne, ale co dotyczyło jedynie mnie samego. Musiał się przede mną chronić. Dowcipkował sobie ze mnie w sposób, który miał mnie trzymać na dystans, nazywał mnie The Thin Man, Szkielet albo Starzec. A mimo to czasami śmialiśmy się razem z większą swobodą niż dawniej. Zaczął dostrzegać wyraźniej również swoją matkę, odkąd przestała być częścią tej pary, do której właściwie nie dawało się zbliżyć. Wieczorem, kiedy młodszy poszedł już spać, siedziała razem z nim i oglądała te filmy, które on chciał obejrzeć, czego wcześniej nigdy nie robiła. Zauważył, że za każdym razem, gdy na ekranie do kogoś strzelano lub go bito, zasłaniała oczy. Żal mu jej było, jej włosy przy samej głowie nabrały innego koloru, wcześniej nigdy czegoś takiego nie widział. Patrzył na jej kark, wydawała mu się trochę samotna i trochę komiczna. Była dorosłą kobietą, która zakochała się w innym mężczyźnie, i z powodu tego zakochania wszystko zniszczyła. Nie chciała rozmawiać o tym drugim mężczyźnie, którego ja nazywałem Rękawiczką. Coś stało się dla niej niemożliwe, bez trudu dawało

się to zauważyć.

Nie potrafił uzalać się nade mną, bo powinienem był wszystkiego lepiej dopilnować, nie powinienem był pozwolić na swoje dobrowolne upokorzenie. Wcześniej słyszał moje oświadczenia, że jego matka, gdyby chciała, mogłaby mieć dwóch kochanków. Tego nie mógł mi wybaczyć. Zrozumiał, że teraz musi pilnować swojej matki, ale nie miał pojęcia jak. zaproponował, żeby poszła do fryzjera i znów ufarbowała włosy. Stworzył sobie w Simsach alternatywną rodzinę, w której ona i ja byliśmy małżeństwem, wciąż byliśmy rodziną. Odtworzył te same pokoje, wyposażył je w podobne meble i w nasze wcześniejsze nawyki. Tam dbał o to, aby ona ciągle trenowała, ale już sama, a ja – siedział i czytał książki. Nadzorował, żebyśmy jedli, żebyśmy sprząтали po sobie, żebyśmy spali w nocy, a rano chodzili do pracy. Pilnował, żebyśmy ciągle zarabiali pieniądze, żeby nikomu niczego nie brakowało. Patrzył, jak rozmawiamy ze sobą, w podnieconym, jęśliwym języku simskim. Próbował wciągnąć mnie do gry, ale narzekałem, że nie rozpoznaję własnej postaci, mężczyzny z gładkimi, zaczesanymi do tyłu włosami. Spróbował dać mi rzadsze włosy, większe oczy, szczuplejsze policzki, dłuższy nos, ale z żadnego z tych rozwiązań nie byłem zadowolony. Któregoś wieczoru, kiedy zostawił mnie samego z grą na kilka minut, moja postać się podpaliła. Spłonąłem w kuchni, szykując jedzenie, razem słuchaliśmy oszalałych krzyków i trzasku strzelających fałszywych płomieni. Ale poza grą znów zacząłem się stopniowo zmieniać. Po kilku miesiącach ryżowe poletko w moim brzuchu zwiędło, prawdopodobnie roślinki zginęły z powodu braku światła. Znów codziennie się goliłem i zacząłem przybierać na wadze. Wkrótce mogłem stać się podobny do tego, kim byłem wcześniej.

Ale to też mu się nie podobało, to, że znów jestem sobą, jakby nic się nie wydarzyło. Był w szoku i miał w nim pozostać przez wiele lat. Nie miał się czym bronić. Dzieciństwo spędził pod kloszem, nic nie umożliwiło mu

przewidzenia takiego rozwoju sytuacji. To przecież on miał się zmieniać, nie my.

12

Ale na razie jeszcze nic z tego się nie wydarzyło. Ciągłe mieszkamy razem w tym samym domu, Timmy i ja śpimy obok siebie w nocy, wierząc, że pozostaniemy parą, chociaż nie bez trudności. Jest marzec, czwartkowy wieczór, ciała rozbierają się i ubierają w dużych albo małych pokojach, ale dla nas ten wieczór nigdy się nie kończy, ciągle trwa, pojawia się w replayu jako teraźniejszość: ona wraca do pracy po obiedzie, trochę przed albo trochę po tym, jak nasz młodszy syn pójdzie spać. Nie ma w tym już niczego niezwykłego. Dwa albo trzy razy w tygodniu wyczekuje na właściwy moment, siedzi przy stole, już kilka razy zdążyła sprawdzić maile i wiadomości, zamyka laptop, prostuje się i przeciąga jakby bez wysiłku, z rękami nad głową, jak zawsze miała w zwyczaju, i mówi

– No to idę,

a ja coś odpowiadam albo nie, tym razem tylko kiwam głową. Nie musi na mnie patrzeć, aby wiedzieć, że mnie to rozrywa. Jestem nią rozczarowany albo zrozpaczony sobą, nie wie i nie chce tego wiedzieć, usiłuje to od siebie odsunąć. Odkąd usiadła przy stole, czekała na ten moment, kiedy będzie mogła wyjść. Obserwowała zegar na kuchence, pomogła młodszemu w lekcjach i szepnęła mu do ucha, że jest najwspanialszym chłopcem na świecie. On siedzi, wciskając mostek w brzeg stołu, taką pozycję przyjmuje przez całą tę zimę i wiosnę. Przy każdym posiłku wciska się w blat i obserwuje. Każdy przedmiot stawiany na stole wytwarza wibracje, czasami również nasze głosy wprawiają w wyraźne wibracje blat, a on wyłapuje wszystkie drobne drgania

własnym szkieletem. Jest poważny i skupiony, ma krótkie gładkie włosy i miękkie ręce. Ona przelotnie gładzi starszego po karku, zaczął się odsuwać od wszelkich pieszczot, ale musi go dotknąć, mimo że on się od niej opędza.

W tym czasie tylko ona się odzywa. Jej głos nie brzmi tak intymnie, jak miała nadzieję, że będzie brzmiał, gdy zwróci się do mnie. Stoję przy blacie, obróciłem się do niej, unosząc brwi, widzi na moim czole głębokie zmarszczki, które dzieci lubiły liczyć, kiedy były małe. Stawały bosymi stópkami na moich udach, podnosiły rączki i dotykały palcami tych bruzd. Ona pamięta ich jasne, nagie dziecięce ciała, pupy w pieluchach i białe brzuszki, najpierw jeden, a kilka lat później drugi, włosy zawsze miękko skręcone po kąpieli. W jednej chwili dzieci skakały po naszym łóżku, w następnej chłopcy już szli do szkoły i zaraz potem mieli za sobą połowę dzieciństwa. Wzrusza ją ta myśl, czuje przyjemne ciepło, ale za moment traci równowagę i ma ochotę się rozpłakać.

To jak gorączka, czy ona oszalała, co ona właściwie wyprawia? Ale mu się i wyjść się z nim spotkać, nie potrafi inaczej. Żyje w dwóch światach. On krąży gdzieś w odległości zaledwie paru kilometrów od tego pokoju, jego złociste bezwłose ciało jest gładkie i sprężyste pod koszulą, pod garniturowymi spodniami w kant. Wyobraża go sobie, widzi, jak się do niej odwraca, uśmiecha się, przechyla głowę z powodu zażenowania albo tego przyciągania, które powstało między nimi, pożądania, potwierdzenia, niebywałości tego wszystkiego. To nieprawda, że ich zauroczenie powstało z niczego, jakby przypadkiem, oni pozwolili mu się zbudować, ona i on, świadomie wydobywali je z siebie nawzajem spojrzeniami, dotykiem i każdym słowem. A teraz nie potrafią się już z tego wycofać, w jakimś momencie doszło do nieodwracalnej zmiany: czują większą lojalność wobec siebie niż wobec kogokolwiek innego. Przynajmniej ona tak czuje. On mówi, że puls mu przyspiesza za każdym razem, gdy widzi jej imię pojawiające się

w telefonie. Mówi, że ona jest odpowiedzią na wszelkie braki w życiu, z których nie zdawał sobie sprawy. Może mówi coś innego, ale każde jego słowo tylko potęguje uczucia, wzmacnia oczekiwanie. Ona poddaje się pragnieniu odniesienia sukcesu, przejścia całej drogi, bez względu na konsekwencje. Czy mogło tak być? Tak, właśnie tak być musiało. Gdy później opowiada o tym innym, brzmi to obco, jak wymyślona historia. Ale teraz jest w samym jej środku, pragnie jedynie tego, niczego innego, mówi tak sobie i jemu, puszcza się i leci w gorącą ciemność.

A ja, jak się wydaje, stoję jej na drodze. Bardziej konkretnie akurat w tej chwili stoję przed nią w kuchni, czekam, żeby wyjaśniła albo obroniła swoje nagłe wyjście dziś wieczorem, żeby znów się z nim spotkać. To już czwarty wieczór w tym tygodniu. Ona jednak uznaje, że nie ma nic więcej do powiedzenia, nie chce być przytrzymywana. Odwracam się od niej i dalej sprzątam, chodzę po kuchni sztucznie spokojnymi ruchami. Żaden talerzyk nie może mocniej stuknąć o blat, aby nie pomyślała, że jestem zirytowany. Sam przecież ją do tego zachęcałem. Można nawet pomyśleć, że wciąż się wysilam, żeby jej to ułatwić, jeśli tak, źle mi to idzie. Bagaż emocjonalny przenosi się między dwoma żywymi ciałami szybciej niż dźwięk, a ona nie musi nawet patrzeć na moją twarz, by poczuć, że to nie w porządku, że nie jest dobrze.

Wszystkie te uczucia, które, jak jej się wydaje, może zarejestrować u mnie, budzą się w niej, jeszcze zanim uświadomi sobie, że pochodzą ode mnie. Ogarnia ją zniecierpliwienie, więc podnosi się gwałtownie, jej głos nagle brzmi bezbarwnie, kiedy mówi: *No to na razie*. Żałuje tego, ale już i tak jest spóźniona. Zamyka drzwi, trochę mocniej niż zwykle. Przysiada na ławce w przedpokoju, wciąga kozaki, sięgają jej prawie do kolan, kozaki z zamszowej skóry, wstaje, zdejmuje z wieszaka płaszcz, wsuwa ręce w rękawy, poprawia kołnierz i zapina guziki. Trzy duże białe guziki, jak z mrożonego szkła. Jej palce sprawnie przesuwają je przez wyczyszczone,

zdobione haftem dziurki. Obrzuca się wzrokiem, wyobraża sobie jego spojrzenie, sposób, w jaki by teraz na nią popatrzył. Płaszcz jest jasnoniebieski, wąski i elegancki, z cienkim paskiem. Nie za obcisły, takich rzeczy ona nie znosi, od razu czuje się zniewolona, ale na tyle wąski, żeby poczuła się elegancko. W niektóre dni wciąż ma wrażenie, że jest obejmowana, kiedy go zapina. Dostała go ode mnie na gwiazdkę i będzie go nosić jeszcze długo po tym, jak stanę się jej byłym mężem, tym, od którego już nie dostaje prezentów, nawet na urodziny. Ale nic w tym płaszczu nie przypomina jej o mnie ani o tym, co nazywaliśmy naszą miłością. Ma mnóstwo innych rzeczy, których nie może nosić, ponieważ dostała je ode mnie: krótką niebieską dzinsową sukienkę, długi szary kardigan, białe dzinsy i praktycznie całą biżuterię. Przestała nosić biżuterię. Ale nie płaszcz, on nie ma nic wspólnego ze mną. Chociaż to ode mnie go dostała. Na ostatnią gwiazdkę podarowaliśmy sobie drogie prezenty, zerwała papier z paczki, otworzyła karton i zobaczyła jasnoniebieski płaszcz z niewielkiego designerskiego sklepu. Sama oglądała ten płaszcz kilka dni przed świętami, w jednym z tych sklepów, do których zwykle chodziłem, szukając dla niej prezentów, i przez moment miała nadzieję, że może go dostanie. No i dostała, przyłożyła go do siebie, mówiąc: *Niewiarygodne, jaki śliczny*, i sama się zorientowała, że zabrzmiało to jak coś, co mogła powiedzieć dawniej, a to nie było dobre. Błąd polegał na tym, że powiedziała coś, co mogła powiedzieć rok temu. Wyciągałem właśnie spod choinki paczki dla dzieci, ale się wyprostowałem i zobaczyła, że poczułem się urażony. Twarz mi się zamknęła, wszystko, co we mnie żyło, zamarło, ukryło się w głębi ciała i stało niewidoczne.

Myśli sobie, że będę za nią tęsknił nieustannie. Czekająca mnie samotność jest wprost proporcjonalna do jej własnego gwałtownego szczęścia. Wypełnia ją czułość, zmieszana z radością z cudzego nieszczęścia w różnych zmieniających się proporcjach, często zlewając się w jedno uczucie: w gorycz

wywoływaną przez wszelkie prace wykończeniowe, które musi wykonać miłość, w ponurą czułość, która nie płynie wyłącznie z dobroci serca, w rozdartą formę współczucia, w której wszystkie drobne irytacje mieszają się z litością i chęcią odejścia ode mnie, ale tak, żeby nie wyglądało to na zdradę.

Dojrzeliliśmy razem i mieliśmy dzieci, aby potwierdzić naszą miłość nowym żywym ciałem. Dziecko jest ostatecznym potwierdzeniem miłości, również gdy miłość okazuje się krótkotrwała, również gdy miłość okazuje się tymczasowym fizycznym przyciąganiem, również gdy miłość okazuje się długa, ale bez głębszych podstaw. Wielu ludzi żyje razem bez głębszych podstaw, może z nami też tak było mimo wszystko? Wierzyła, że jesteśmy ze sobą niesłychanie głęboko i mocno związani, bardziej niż inni ludzie, których znaliśmy. Koniec miłości zadziałałby jak rykoszet, jeszcze tego nie przeczuwaliśmy, ale właśnie tak okazało się teraz: gdyby miłość pewnego dnia się skończyła, oznaczałoby to, że nie było jej również wcześniej.

Dzieci oczywiście wciąż istniały, ale nie stanowiły już potwierdzenia naszej miłości, z tego zadania je zwolniliśmy. Czekala je przyszłość taka jak inne dzieci rozwiedzionych rodziców, pozostawione samym sobie i naszej podzielonej opiece. Ale o tym nie wiedziały, jeszcze nie, podobnie zresztą jak my.

Ona wciąż stoi na schodach przed naszym domem, zarzuca granatowy szal na szyję, podciąga go aż do ust i czuje ciepło własnego oddechu. Zamyka za sobą furtkę i truchta szybkim krokiem po chodniku. Śnieg, uliczne latarnie, jaśniejące okna w domach. Serce tłucze się o żebra. Palce w rękawiczkach się zginają. Ściemnia się, ale w ciemności tkwi metaliczne niezałamywalne światło. Ono odpoczywa i wkrótce się podniesie, ona czuje to aż po koniuszki palców. Wkrótce śnieg zwietrzeje, wkrótce wieczory będą dłuższe, wkrótce

w ogrodach rozmarznie trawa, wciąż tak samo zielona jak wtedy, gdy spadł śnieg. Kiedy była dzieckiem, nieco ponad czterdzieści lat temu, trawa jesienią żółkła, ale teraz zachowuje zieleń, dopóki nie przykryje jej śnieg, i jest tak samo zielona, kiedy wyłania się w kwietniu. Na takich rzeczach skupia się teraz Timmy, aby odsunąć od siebie radość i wyczekiwanie do chwili, gdy dostatecznie oddali się od domu. Wkrótce rozrzucony zimą żwir wytopi się na asfalcie, wkrótce każda rzecz, którą ktoś powodowany złym nawykiem lub gwałtowną wściekłością odrzucił od siebie w śnieg, ujawni się przed wszystkimi, blada, nędzna i oburzająca. Wkrótce rankiem da się słyszeć ćwierkanie sikorek, wróbli, drozdów i tak dalej. Wkrótce będzie wiosna, wkrótce będzie lato, co się wówczas stanie z nami dwojgiem? Myśli o tym, że nie ma odwagi o tym myśleć, chociaż myśli o tym nieustannie.

Dwa albo trzy razy w tygodniu wraca wieczorem do pracy, żeby się z nim spotkać, podobnie jak w każdą niedzielę. Biuro jest jednym z nielicznych miejsc, w których mogą być razem, jeśli nie wybierają się na wycieczkę. Zaczęli planować wspólnie nowy projekt, wierzą, że może zostać zaakceptowany przez szefostwo: chodzi o przedstawienie problemów z perspektywy zdrowia publicznego w ministerstwie i w urzędzie. To im przynajmniej umożliwia wspólną pracę. U niej mało kto pracuje po godzinach, a poza tym i tak może zamknąć na klucz drzwi do pokoju, nikt im tam nie będzie przeszkadzał. Najczęściej wychodzi z domu, kiedy nasz młodszy syn już pójdzie spać, ale czasami trochę wcześniej. Zależy to od tego, co pasuje Haraldowi, on przecież też ma rodzinę. Dzieci, które trzeba zawieźć tu czy tam, małżeństwo, które ciągle ma być małżeństwem, przynajmniej na zewnątrz. Ona nie wie, co on mówi w domu, może nic. Nie wie, co on myśli, kiedy jest sam. Nie wie, czy on czuje to samo. Czasami aż kręci jej się w głowie, kiedy zadaje sobie pytanie: *Czy tylko ze mną tak się dzieje? Czy jestem w tym osamotniona?* Ale za każdym razem, kiedy on wreszcie staje w drzwiach do

jej pokoju w pracy, widzi na jego twarzy oddziaływanie własnej obecności. On robi jeden prosty krok z cienia do światła i ona widzi go w swoim własnym świetle. Otworzyła drzwi, żeby go wpuścić, idą jedno za drugim po schodach, ona przodem, i dopiero gdy się znajdą w oświetlonym punktowo korytarzu, ona się zatrzymuje, odwraca do niego i pozwala się objąć. Twarze poszukują się nawzajem. Ludzkie twarze są tak uderzająco nagie, proste do odczytania i pełne wyrazu, a ciała zawsze szukają innych ciał. Teraz to ona i on się odnaleźli, wszystko inne wokół nich znika. On obejmuje ją, ona obejmuje jego. Puszczają się i cofają o krok, żeby móc spojrzeć sobie w oczy. Gorejące szczęście, wzajemne przyciąganie, kto zdoła się temu oprzeć? Prawie nikt, a już na pewno nie ona, nie teraz. Wchodzi pierwsza do swojego pokoju. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że się spotykają, mają przecież współpracować, tak powiedzieli rodzinom i kolegom z pracy. Tego wieczoru siedzą obok siebie przed monitorem, na zmianę korzystają z klawiatury. On przysuwa udo do jej uda, ona wpycha udo w jego udo. Działo się tak już w wiele poprzednich wieczorów, siedzą blisko siebie, ona wie, że ja to sobie wyobrażam, rozmawiają ściszonymi głosami, śmieją się razem, przytrzymują się spojrzeniami. Już dawno przywykli do tego, że się dotykają i siedzą tak blisko siebie, nie mogą teraz z tym skończyć. Już dawno zaczęli się sobie zwierzać z małych i wielkich zdarzeń, opowiadać o dzieciach, o tym, co robią, kiedy nie są razem. Zapamiętują, co opowiedziało to drugie, pamiętają, żeby spytać, co z tym dzieckiem, które spadło ze schodów, z kranem w kuchni, który nagle zaczął ciec, i z hydraulikiem, który przyszedł i zamiast tego w kuchni naprawił kran w łazience. W ten sposób, z daleka, a mimo wszystko w intymnej bliskości, są świadkami swojego życia nawzajem. Ich głosy w niedużym pokoju biurowym są ściszone i poufale, dostosowują się do siebie pod względem tonu i napięcia, upodobnili się do siebie. Jak w małżeństwie, myśli ona, jakby już żyli razem. Może zawsze byli do siebie dość podobni, to

niewyjaśniony zbieg okoliczności, że akurat oni dwoje się teraz poznali. Może nic by się nie wydarzyło, gdyby nie zaczęli zatrzymywać na sobie wzroku odrobinę za długo, myśli później. Jedno nie chciało ustąpić drugiemu, poganiali się do dalszego działania, oczy nie chciały ustąpić, kiedy już raz zaczęły. U obojga nastąpił narastający wzrost dopływu krwi do najcieńszych naczyń.

Tego wieczoru on nagle kładzie prawą dłoń na jej lewej, leżącej na klawiaturze, i tak zastyga. Ona przestaje mówić. Czuje jego rękę. Nagle wyczuwa puls w jego nadgarstku, cyka o jej skórę niczym małeńki organiczny zegarek ukryty w tkance. To wzruszające, wprost niewiarygodne, że czuje jego puls. On coś mówi, ona nie wie co, nachyla się do niego, a on jednocześnie nachyla się do niej. Dziwne, że nie zdarzyło się to wcześniej, ale powstrzymywali się od tego przez blisko rok, odkładali ten moment, który teraz przychodzi: ona rozchyła usta i przyjmuje jego usta, wargi są suche i ciepłe, ale język na samym koniuszku chłodny, czuje to i myśli, że pewnie siedział z otwartymi ustami, był spięty, zrozumiał, że to się zbliża, a teraz wreszcie zamyka usta wokół jej ust.

Timmy i Harald się całują. Usta przysysają się do siebie. Jego ręce ją obejmują, przyciąga ją do siebie, dłonie przesuwają się po jej plecach, schodzą na biodra, na talię, na jedno ramię, z którego zsunął się sweter, więc może dotknąć jej nagiej skóry. Drugą dłonią chwyta ją za biodro, przyciąga bliżej, obrotowe krzesła stawiają lekki opór, stukają o siebie, usiłuje ściągnąć ją na swoje kolana, ale ona nie chce, jeszcze nie. On ma na sobie inne ubranie niż zwykle, kraciastą koszulę i podkoszulek. Ona kładzie mu ręce na plecach, jedną trzyma wysoko tuż pod barkiem, a drugą nisko, na krzyżu. Dotyka jego skóry pod koszulą, sunie koniuszkami palców wzdłuż kręgosłupa, to taki nierzeczywisty moment, ten pierwszy raz, gdy czuje jego nagą skórę pod własną nagą ręką. Myśli o tym dopiero później. Pocałunek, który trwa godzinę,

miesiąc, mógłby trwać całe życie. Oddycha przez nos i odpowiada mu własnym językiem, nie może się powstrzymać od westchnień i jęków – od odgłosów, które jedno ciało wydaje, by wyjść naprzeciw drugiemu. U niego pobudza to pewność siebie albo większy zapał, wsuwa jej dłoń za pasek spodni z tyłu, odrobinę popycha rękę i przyciąga ją do siebie, tak, ale tyle już wystarczy, to się nie da wywołać, ona nie pozwala, a tym samym nie jest to dostępne również dla mnie.

Ona spuszcza czarną zasłonę na to, co w ten wieczór dzieje się w jej służbowym pokoju. Pozwala, aby się to stało, bez patrzenia na siebie z zewnątrz, nie zmusza się do myślenia o tym później. Oczywiście i tak o tym myśli, to w niej jaśnieje, od środka, przez skórę, jak latarnia w namiocie rozstawionym na płaskowyżu. Tak, teraz jest na prawdziwej wyprawie, wyjechała, porzucając swoje dawne życie, zostawiła je za sobą, a to, co się z nią dzieje, przesącza się w każdy jej ruch i słowo w następnych dniach. Zmusza się jednak, żeby tego nie formułować, nie myśleć o tym w słowach i zdaniach. Jest zaczerwieniona, rozgorączkowana i zdyszana. Gubi rzeczy, zapomina, co ma powiedzieć. Odchodzi na bok za każdym razem, gdy tylko nadarzy się taka okazja, długo przesiaduje wpatrzona w jakiś odległy punkt i uśmiecha się do siebie.

Do domu wraca późno, jeszcze później niż zwykle, po cichu otwiera drzwi, ściąga kozaki i odwiesza płaszcz. Pokoje są pogrążone w półmroku i posprzątane, blaty czekają z błyszczącymi powierzchniami: samotny toster, zielone oczko ekspresu do kawy wiernie mruga, smukłe przejrzyste flaszeczki z oliwą i octem balsamicznym zachowują swoją godność, delikatne światło nad wypolerowaną do połysku płytą kuchenki świeci spokojnie i harmonijnie, jedynie przekrojone na pół mango leży na talerzyku, wystawiając ciemnozielony grzbiet w czarne plamki.

Ostrożnie otwiera drzwi do pokoi dzieci, żeby na nie popatrzeć. Najpierw

na młodszego, potem na starszego. Obaj śpią, oddechy mają pełne słodyczy. Są dziećmi, nawet ten, który już się nie uważa za dziecko. On nie wie nic o tym, o czym ona już wie. Śpi na plecach z rozchyłonymi ustami, jak dziecko, którym był tak niedawno.

Idzie do łazienki, stara się unikać swojego spojrzenia w lustrze, ale i tak musi je zobaczyć. Pospieszne, jedynie sprawdzające wejrzenie we własne oczy: *co ja zrobiłam, nie mogę żałować, taki wir uczuć, nie mogę się temu oprzeć, co to będzie, z czym, ze wszystkim, kto wie, spotkam się z nim jutro.*

Bierze prysznic, trochę niechętnie, nie chce go z siebie splukiwać, ale niesłusznie wydaje jej się położenie się obok mnie bez prysznic. W myślach stwierdza, że zmyła to, żeby mieć go w spokoju dla siebie, żeby nie dotknął tej jego cząstki, którą ze sobą przyniosła. Myje zęby i smaruje się kremem nawilżającym, sama się pieści tym kremem, myśli o jego rękach, o tym jak on. Myśli o własnych rękach, o tym jak ona. Nie, raczej szybko opuszcza łazienkę. Chce tylko spać i odpoczywać. A potem wchodzi w ciemność naszej sypialni, w której ja śpię po jednej stronie łóżka. Prześlizgnięcie się przez szczeliny w życiu jest łatwiejsze, niż się wydaje, przejście od jednej formy życia do drugiej. Teraz na krótką chwilę wraca do tego, co do tej pory było dla niej całym życiem.

Kładzie się ostrożnie po swojej stronie łóżka. Śpię w T-shircie i slipach, zauważa to, kiedy wsuwa się pod podwójną kołdrę. Cieszy się na ten widok. To jeszcze jeden znak, że nasz związek wszedł w końcową fazę, również dla mnie. Teraz nie będziemy już sypiać razem nago. Ledwie słyszy, że oddycham. A gdybym umarł, tak sam z siebie? Mógłbym dostać udaru albo zawału, jakaś nagła przypadłość. Dojrzałe mężczyźni często umierają nagle. Gdybym więc umarł teraz, z łatwością nosiłaby żałobę po mnie. Mogłaby się obnosić z cichą, wyraźną żałobą, a jednocześnie być szczęśliwa, zakochana i żywa. To ją zaskakuje, nagle zaczyna rozumieć, jak niektórzy mogą chcieć odebrać życie

osobie, z którą je dzieli, jak człowiek nagle nie widzi innego wyjścia niż przygotowanie trucizny lub strzelenie temu drugiemu w głowę, albo uduszenie gołymi rękami osoby, z którą zaledwie kilka dni wcześniej leżał w łóżku nago i był stosunkowo szczęśliwy. Przypuszczalnie dlatego, że nie ma innego sposobu na to, by się uwolnić. Ta druga osoba musi umrzeć w tobie, zatracić się w tobie i zniknąć. Ona musi się uwolnić ode mnie i już to zrobiła. W jej wewnętrznym życiu, które stało się jedynym rzeczywistym życiem, ja już umarłem, przepadłem, zniknąłem. Dość spokojnie wyzionąłem ducha, nagle stałem się nieważny, przesunąłem się na skraj jej życia, w ogóle o tym nie wiedząc.

Ale nie, trudne jest przecież to, że już wiem, że bardziej niż przeczuwam, co się z nią dzieje. Śledzę ją wzrokiem i rejestruję wewnętrzne zmiany w miarę, jak się pojawiają, niezależnie od tego, co mi mówi. Stałem się jasnowidzem, wszędzie dostrzegam oznaki i widzę, co się z nią dzieje. Tak działa zazdrość, umożliwia mi zobaczenie wszystkiego dużo wcześniej, niż się stanie. Mam wrażenie, że przewidywałem to tak długo, iż w końcu sam to wywołałem. Gdybym już nie uważał, że wiem wszystko o niej i o nim, mogłaby po prostu pozwolić, aby dni płynęły, mieć nadzieję, że to się jakoś rozwiąże samo z siebie.

Zasypia sama, na plecach, z jedną dłonią na drugiej, jakby była chora. Ale nie jest chora, jest zdrowsza niż kiedykolwiek, czuje się chroniona przez to, co się wydarzyło, przez to, co nadejdzie. Wszystko, co się teraz z nią dzieje, jest dobre, każda zmiana jest zmianą na lepsze.

Następnego dnia rano, w sobotę, jest przyjazna i trochę roztargniona, udaje jej się trzymać mnie na dystans. Informuje mnie, że dzisiaj też musi z nim pracować, mają wyznaczony termin i powinni coś skończyć. Rzuca to lekko i wprost, ledwie opiera się chęci napomknięcia, o czym tak naprawdę mówi.

Dodaje, iż ma nadzieję, że nie mam nic przeciwko temu. Mówiąc, krąży po domu, udaje jej się unikać mojego spojrzenia, mówi wszystko, co powinna powiedzieć, nie dając mi możliwości dotarcia do niej. Rejestruje opór, niechęć, rozczarowanie czy co to jest, ale nie dopuszcza tego do siebie, przecież teraz, kiedy żyje w innym świecie, z innym człowiekiem, to się już nie liczy.

Nie ma jej cały dzień, umowa o tym, że wróci do domu o trzeciej, zostaje przesunięta na piątą, potem na siódmą, *wszystko tyle trwa*, potem na dziewiątą, *przepraszam, już niedługo kończymy!* Wraca o wpół do dziesiątej. Jest z dziećmi, dopóki nie pójda spać, a potem sama chce się położyć. Potrzebuje побыć w spokoju, zamknąć oczy, wrócić do tego, co jest wyjątkowo rzeczywiste, nabrać sił z tego, co nowe i co ma decydujące znaczenie. Ale ode mnie nie może uciec, położyłem się w łóżku, na boku, w ubraniu. Przez moment ma nadzieję, że zasnąłem, ale potem widzi, że płacę albo przed chwilą płakałem, i kładzie się obok mnie. Gładzi mnie ręką po twarzy. Mówi do mnie cicho, powtarza moje imię, próbuje mnie pocieszyć, udaje jej się to, wreszcie przestaje łkać. Długo tak leżymy, obok siebie. Ona na trochę zasypia, budzi się i czuje, że zaniepokoiłem się jej zneruchomieniem, i znów mnie głaszcze. Uważa, że to bezpieczne, piękne i bliskie. Czuje ulgę, że mimo wszystko nic nie musi mówić. To chyba jednak zaleta, że domyśliłem się, co się stanie, jeszcze zanim się stało. Tym samym możemy spokojnie i czule zakończyć nasz związek, pomóc sobie nawzajem wyjść z niego z czymś w rodzaju godności.

Nagle odwracam się w jej stronę. Jednak nie zasnąłem. Ujmuję jej dłoń, gładzę ją po grzbiecie i po palcach. Dawniej, kiedyś, dawno temu, miałem zwyczaj przeciągania kciukiem i palcem wskazującym wzdłuż jej palców, po kolei, od nasady palca po koniuszek, jakbym ściągał z niego kawałek materiału, jakbym rozbierał jej dłoń, palec po palcu. A teraz robię to znów.

Zaczynam od kciuka, potem palec wskazujący, aż do małego, najpierw u jednej ręki, potem u drugiej. Kiedyś to lubiła, prosiła, żebym to robił, teraz tylko czeka, aż skończę.

Mówię, że ma ładne dłonie, że lubię na nie patrzeć, lubię myśleć, co może nimi zrobić. Ona sobie wyobraża, co nimi robiła, i czeka, aż powiem, że zrozumiałem, co się stało. Ale ja mówię:

– Pomyśl o tym wszystkim, co twoje ręce robiły ze mną. Któregoś dnia będziesz może robiła to z innym mężczyzną. Chciałbym to zobaczyć.

Widzi, że kładę się na plecach, że zsuwam slipy na uda, chcę, żeby mnie dotknęła, albo sam chcę się dotykać, gdy ona będzie patrzeć. Lekko odsuwa się ode mnie. Myśli, że pod tym względem już ze sobą skończyliśmy, sądziła, że wiem już wszystko, co wydarzyło się wczoraj i dzisiaj, była pewna, że to po niej wyczuwam. Do zrobienia razem pozostało nam jedynie znalezienie sposobu odejścia od siebie spokojnie, w cywilizowany sposób, z czymś w rodzaju czułej przyjaźni. Od tej pory mieliśmy być jak brat i siostra.

Ale ja znów poczułem się bezpieczny, ponieważ ona leży obok mnie albo dlatego że przed chwilą głaskała mnie po twarzy. A może nie potrafię sobie wyobrazić, że to się naprawdę mogło stać, to, co się stało, że ona nie jest już moją ukochaną – nie jest już dla mnie kimś najdroższym, nie może nim być, ponieważ ja nie jestem tym dla niej.

Zaledwie parę dni wcześniej powiedziałem: My dwoje mielibyśmy tego nie przetrwać? Miałbym nie znieść jej zakochania się w innym? Kto inny miałby to znieść, jeśli nie ja? Kto inny miałby się z kretelem pozamałżeńsko zakochać, jeśli nie ona? Nasza miłość miałaby tego nie przetrwać? Czy nie rozmawialiśmy zawsze o tych, których uważaliśmy za ładnych, pociągających, cudownych? Wszystko to mówiłem, ona pamięta, jak mój głos wydobywał się wraz z oddechem, słowa intymnie i czule uderzały ją w twarz. Staliśmy objęci

przed jej wyjściem z domu, całowaliśmy się między każdym moim słowem, aż w końcu spytała, czy uważam, że ładnie wygląda. Umalowała się, próbowałem żartować, że umalowała się dla niego. Potem odwróciła się przy furtce i pomachała mi. Nasze małżeństwo nie przypominało żadnego ze znanych jej małżeństw, tak wtedy pomyślała, ale teraz nie pojmuje, o co jej chodziło.

Siada, chce wyjść z pokoju, z domu, nie wie, co ma mi mówić. Właśnie pomyślała, że chętnie podzieliłaby się ze mną tym, co ją spotkało – tą ogromną radością, tym przeszywającym dotykiem. Nie zakochiwała się w nikim od tamtego zakochania we mnie przed blisko dwudziestoma laty. Z intensywnością przypominającą wściekłość myśli o tym, że w rzeczywistości nigdy nie była tak zakochana. Chce mi powiedzieć, że nigdy nie przeżyła czegoś podobnego, nawet ze mną, i to ona, która nigdy nie sądziła, że zakocha się w kimś innym, kiedykolwiek! A może na to czekała, może przygotowywała się do tego w sekrecie? Po czasie nie da się myśleć inaczej. Otworzyło się inne życie. Chciała się nim podzielić ze mną, ponieważ jestem najbliższą osobą, z którą mogła się tym podzielić. Pomyślała, że właściwie to powinno być możliwe, że możemy o tym spokojnie porozmawiać, może nawet podzieliłbym jej wielką radość. Ucieszyłbym się w jej imieniu i dzielił ją z nią, zachowując pełen szacunku dystans.

Ale ja przecież nie zrozumiałem, co się z nią dzieje, nawet po tym wszystkim, co mówiłem, i po tych fantazjach, które snułem. Wydawało mi się, że potrafię w nią wejrzeć, ona sama właściwie też w to wierzyła. A teraz, kiedy wraca do domu, już będąc kimś innym albo nareszcie sobą, mimo wszystko nie jestem w stanie tego zauważyć. Jej policzki są podrapane zarostem innego mężczyzny, lecz ja tego nie widzę. Jej dłonie robiły z jego ciałem wszystko, co potrafiłem sobie wyobrazić, ale nie wyczuwam zapachu ani tego nie czuję. Ona myśli, że musi mi o tym opowiedzieć, nie może zatrzymać tego dla siebie. I nagle słyszy, jak powtarzam:

– Chcę, żebyś to z nim zrobiła. Wiem, że to się stanie któregoś dnia. I chcę, żebyś potem wróciła do domu i o wszystkim mi opowiedziała.

* * *

Powtarzam to jeszcze raz, to dla niej nierzeczywiste, wręcz nieprzyjemne. Nie wyobrażała sobie, że może dojść do czegoś takiego, że będzie mnie słuchać, patrzeć na mnie nagiego i odbierać to jako przykre. Odrzuciłem kołdrę na bok, żeby mnie widziała. Chcę, żeby powiedziała, co ma ochotę z nim robić. A ona nie może opowiedzieć o tym, co się stało, nie teraz, kiedy leżę, wierząc, że wszystko, co ma dla niej jakiegokolwiek znaczenie, wciąż jest związane ze mną, że należy do mnie i do mojego życia. Nie może mi opowiedzieć o nim, o tym, co razem robili. I nagle rozumie, że już nigdy nie będzie mi opowiadać o tym, co najbardziej intymne, że od tej pory to już będzie tylko jej własne, musi tego strzec, to już nigdy nie może należeć do mnie.

Ale leżę obok niej, rozebrany od pasa w dół, kładę się na boku i sam zaczynam się dotykać. Ona patrzy, jak chwytam za penis, jak każdy mężczyzna, który obejmuje swój organ płciowy. Patrzy na mnie, nie potrafi odwrócić wzroku. Proszę, żeby mi o nim opowiedziała, o tym, co ma ochotę z nim robić. A ona nie może. Nie jest w stanie wydusić z siebie słowa, leży obok mnie w łóżku i słyszy, że sam zaczynam mówić. To coś w rodzaju historyjki, fantazji podobnej do tych, które snułem wcześniej, o tym, jak on przychodzi do nas do domu, nagle się pojawia, przyszedł ją odwiedzić. Słucha, jak opowiadam, że prowadzi go do sypialni, że stoję pod drzwiami i nasłuchuję wydawanych przez nią dźwięków, dźwięków, które wydaje, będąc naga razem z innym. Wyjątkowo interesują mnie niektóre szczegóły, to, że słyszę, jak drzwi zostają zamknięte na klucz, jej krzyk, kiedy leży pod nim. I to, że później zaczynają do siebie szeptać, a ja nie jestem w stanie rozróżnić słów, dociera do mnie tylko czułość w ich głosach.

Wszystko to słyszała wiele razy. A teraz słucha mnie jeszcze raz, patrzy, jak się onanizuję, mówiąc o tym, jak sam staję się zbędny, chcę uciec od siebie, chcę tylko widzieć i słyszeć, co ona robi z innymi, mnie ma już nie być. Ściskam w rękę penis, a ona myśli, że widzi go już po raz ostatni, robi się biały i czerwony, biały i czerwony, przesuwam napletek w górę i w dół, najpierw powoli, potem szybciej, rytmicznie, jakby odizolowany od wszystkich innych ruchów na świecie. Wkrótce będę tylko mężczyzną, którego kiedyś znała, z którym łączyła ją intymna bliskość, kiedyś, w dawniejszym życiu. Patrzy na moją poruszającą się rękę, szybko, szybko, w górę i w dół, w sposób niepodobny do niczego innego. Chociaż może tak, ten ruch przypomina drapanie psa, który skrobie się za uchem, mocno i rytmicznie, waląc przy tym ogonem o podłogę. Myśli, że pewnie tak właśnie jest. Drapię się, to wkrótce minie, próbuję się jedynie pozbyć straszego świądu, staram się tylko zrobić coś, żeby moje życie było lepsze.

Drugą ręką podciągam T-shirt na brzuchu. Chcę się jeszcze bardziej obnażyć przed nią albo przed sobą. Poza tym czuję, że niedługo dojdę, a nie chcę pobrudzić ubrania. Mam na sobie stosunkowo nowy T-shirt, z nadrukiem na brzuchu, z lśniąca niebieską pomarańczą. Niezbyt mi w nim do twarzy, jestem trochę za blady, żeby nosić rzeczy w tym kolorze, ale sam go sobie kupiłem, ona mi już nie kupuje ubrań. Obejmuje mnie za ramię, może żeby mnie wesprzeć, ostatni czuły dotyk. Może po to, żebym wiedział, że nie jestem aż tak samotny, jak jeszcze nie rozumiałem, że faktycznie jestem, sama nie wie, słyszy mój krzyk ulgi. Widzi drgnięcie mojego ciała i skoncentrowany wytrysk wydzieliny, białej i lepkiej, która rozlewa mi się po rękę, żałosna i jakby nieużyteczna spływa po kościstym grzbiecie dłoni. Orgazm przypomina reakcję chemiczną, z daleka prezentuje się nędznie i ubogo, ale dla kogoś, kto doświadcza rozkoszy, rozszerza się i na kilka sekund wypełnia całe istnienie. Ona patrzy, jak twarz mi się rozsypuje. Usta się otwierają, oczy zamykają, ręka

bez sił opada na prześcieradło. Przez kilka sekund leżę jak martwy, ale zaraz się budzę i ciągnę na siebie kołdrę. Ona pomaga mi się nią zakryć. Widzi, że pod przykryciem zwijam się w kłębek. Zasłaniam dłońmi twarz i zaczynam płakać, głuchym nieopanowanym szlochem, wydobywającym się z trzewi, mój głos brzmi głębiej niż zwykle. Nie jestem tym, którego znała dawniej, wydaję takie dźwięki, jakbym już nawet nie był człowiekiem. Ona leży za mną, wciąż trzyma mi rękę na ramieniu. Tłumaczy, że to minie, że przejdzie. To tylko uczucia. Co prawda silne, gwałtowne, niszczące wszystko i mieszające w głowach nam obojgu, tak silne, że z ich powodu rozpaść się może cały świat. A mimo to prędzej czy później przycichną, stracą swoją wagę i powoli ustąpią.

przypisy końcowe

1. Bob Dylan, *George Jackson*. [\[wróć\]](#)
2. W wersji polskiej Hipolit Świerszcz (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)
3. Piosenka nagrana w 1957 roku przez Bobby'ego „Blue” Blanda, później interpretowana przez różnych artystów. [\[wróć\]](#)

Odkrywca Knausgård po raz pierwszy po polsku

Geir
Zulliksen

HISTORIA PEWNEGO MAŁŻEŃSTWA

*Muszę sobie wyobrazić,
jak się czuła tamtej wiosny,
któregoś z tych dni,
zanim to wszystko się wydarzyło.*

